ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12½.

Druk ukończono d. 25 listopada 1898 r.

Kwestya Finansowa

W SEJMIE CZTEROLETNIM

I PROJEKT

Księdza Michała Ossowskiego.

W epoce sejmu czteroletniego, równie jak i w ciągu kilku lat poprzedzających chwilę otwarcia tego zgromadzenia prawodawczego, rozbudzenie umysłów w kierunku idei państwowéj przedstawia ruch imponujący. Pod wpływem oświaty zachodniéj i za wzorem sąsiednich monarchów zwolennicy reformy, to jest ogromna większość światłéj części narodu, z niestrudzonym zapałem zajęła się wszystkiemi kwestyami, odnoszącemi się do celów, potrzeb i warunków organizacyi państwa.

Wśród wielkiéj masy wydanych wówczas pism, traktujących administracyę, politykę, wojskowość, a przedewszystkiém sam ustrój państwowy, zaczęto zajmować się także i skarbowością państwa.

Już sama bowiem sytuacya polityczna wskazywała wyraźnie, że wydobycie się z przepaści, w którą rzeczpospolita staczała się gwałtownie od początku panowania Stanisława Augusta, wymaga wytężonéj pracy wszystkich sił narodu ku zaprowadzeniu ładu w rządzie i organi-

zacyi obrony krajowéj, a to zaś możebném było tylko przy należycie funkcyonującéj skarbowości.

Nie można jednak powiedziéć, aby w pomysłach nad reformą rzeczypospolitéj skarbowość zajmowała miejsce należne jéj ze względu na przeważne znaczenie finansów, tego głównego *nervus rerum* państw nowożytnych. Spostrzegamy nawet brak mądrych skarboznawców zarówno wśród pisarzy ówczesnych, jak i pomiędzy członkami sejmu i ministrami, chociaż musimy uznać ich wielką gorliwość w traktowaniu tego przedmiotu.

Sejm czteroletni dokonał wielu bardzo ważnych prac w zakresie skarbowości: ułożono i zatwierdzono po raz pierwszy w kraju budżet ogólny, zorganizowano znakomicie zarząd skarbu, zniósłszy wadliwy rozdział skarbów koronnego i litewskiego w utworzonéj świeżo komisyi skarbu obojga narodów, zaprowadzono doskonałą kasowość, zreformowano pobory i t. d.

Wszystkie te jednak przekształcenia, acz najzupełniéj odpowiadające potrzebie, nie mogły z natury rzeczy napełnić skarbu, nie mogły wpłynąć bezpośrednio na wytworzenie stałych źródeł dochodu dla państwa, chociaż dzielnie się przyczyniały do prawidłowego ruchu maszyny skarbowéj.

Tymczasem wymagania chwili koniecznie nakazywały nietylko podnieść budżet wydatków do normy niezbędnych potrzeb krajowych, za pomocą zręczniejszego korzystania z dotychczasowych źródeł dochodu, — ale jednocześnie, na mocy dokładnéj znajomości ekonomicznego stanu kraju i jego sił podatkowych, trzeba było wynaleźć nowe źródła, dostateczne dla zaspokojenia naglących wydatków.

Kwestya istnienia rzeczypospolitéj zawierała się w tym okresie w posiadaniu dużych zasobów pieniężnych, które otrzymać można było tylko przez wytworzenie i wykonanie odpowiedniego planu finansowego. Zbytecznie tu nadmieniać, że plan taki w wolnéj rzeczypospolitéj musiał trafiać do przekonania większości i być przyjętym przez sejm.

Lecz to właśnie zadanie przechodziło ogromem tkwiących w niém trudności miarę powszechnego uzdolnienia ówczesnego pokolenia światłych umysłów polskich i stało przed niém, jak sfinks starożytny z groźbą śmierci na otwartych pytaniem ustach, gdyby rozwiązanie nastąpiło mylne.

Ku zaszczytowi narodu naszego znalazł się wówczas mąż, który podał rozwiązanie świetne,—ale niestety, głos jego nie został dostatecznie zrozumianym przez współczesnych statystów, — i sfinks pochłonął ich wszystkich, bo fakt prawodawczy nie odpowiadał uwydatnionym w rozwiązaniu zadania wymaganiom,—i nastąpił za późno!

Już oddawna opinia publiczna zwróciła uwagę na zły użytek niezmiernych dóbr państwowych, które pod nazwą starostw, królewszczyzn, wójtowstw i emfiteuz stanowiły „majątek rzeczypospolitéj“, tworząc „niby fundusz nagrody dla załużonych, a w skutku samym zdobyczy dla możnowładzców, albo dla szczęśliwych bez zasługi dworaków“.

Wszystkie te ogromne dobra zostawały w posiadaniu dożywotniem obdarowanych, lecz za pomocą rozmaitych sposobów, a mianowicie odprzedaży, zamiany między małżonkami (*jure commutativo*) i innych, posesya przedłużała się nieraz na parę pokoleń.

Wartość dóbr ziemskich rzeczypospolitéj, nie włączając w to dóbr stołowych króla, czyli tak zwanych dóbr „ekonomiki królewskiéj“, jeden z lepszych znawcow tego przedmiotu, Witosławski, poseł podolski, oceniał w sejmie na 300 milionów złp. [1]). Zgadza się to również z obliczeniami p. Korzona w czwartym tomie jego dzieła [2]).

Rozdawnictwo starostw, które aż do r. 1775 należało wyłącznie do praw prerogatywy królewskiéj, stało się odrazu, siłą konieczności, główném narzędziem intryg elekcyjnych, skutkiem czego elekcyę królów nazywano w tym sejmie „targowiskiem starostw“.

Od r. 1775 możnowładzcy. nie tyle w chęci ograniczenia władzy monarszéj, jak w widokach własnéj chciwości, korzystając ze swojéj przewagi, przenieśli szafunek dóbr starościńskich i królewszczyzn do sejmu, pozostawiwszy do wolnéj dyspozycyi króla tylko cztery starostwa.

Z tych dóbr uprzywilejowani posiadacze obowiązani byli dawniéj wnosić corocznie do skarbu publicznego czwartą część dochodu, czyli tak zwaną „kwartę“, która obliczana była według prawem przepisanych lustracyi, peryodycznie odbywać się mających. Przekonywamy się jednak z konstytucyi sejmowych, zapadłych w latach 1567, 1624, 1626, 1627, 1638, 1667, iż lustracye nie odbywały się nigdy prawidłowo i że co gorsza, w obliczaniu intrat przeprowadzono prawnie takie wyłączenia, które zredukowały ten dochód skarbu rzeczypospolitéj do bardzo nieznacznéj sumy.

Podług ostatniéj lustracyi zarządzonéj przez sejm czteroletni w r. 1789, po zdwojeniu kwarty i podniesieniu opłaty od emfiteutów do wysokości $^7/_8$ części intraty, jak wiemy z przytoczonego wyżéj głosu posła Witosławskiego, dochód ze starostw miał czynić 10 milionów złp. rocznie,—ale wiemy i to, iż nigdy w takiéj sumie do skarbu nie wpłynął.

---

[1]) *Gazeta narodowa i obca.* 1791 r. str. 351 znajduje się w Bibliotece Głównéj w Warszawie.

[2]) Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta, 2 wyd. 1896 r.

Nic dziwnego zatém, że coraz częściéj i z wzrastającém wciąż oburzeniem wytaczano publicznie skargi na nadużycia i łupiestwa starostów; znienawidzono ogólnie samą instytucyę, jako „matkę prywaty”, sprowadzającą „upodlenie charakterów“ i „zgubę rzeczypospolitéj”. Znakomici publicyści współcześni, jak Staszic [1]), Hugo Kołłątaj [2]) i wielu innych, wskazywali na dochody ze starostw, jako na źródło, zkąd należy czerpać fundusz na potrzeby krajowe. Ale walka ze starostami była trudna i groziła nawet niebezpieczeństwem.

Przeważna część pomysłów obracała się około ustanowienia jeszcze jednéj kwarty, a zresztą zalecała podwyższenie niektórych podatków pośrednich, mianowicie czopowego i pogłównego żydowskiego. Czopowe stało się szczególnie ulubionym konikiem, na którym paradowało wielu mówców sejmu, nierozumiejących się bardzo na materyach skarbowych a przeciwnych projektowi sprzedaży starostw.

Aż do samych początków sejmu wielkiego najśmielsze projekty finansowe daléj nie sięgały. Chociaż w instrukcyach posłów wielkopolskich, ruskich i litewskich wyraźnie im zalecono, „aby naprzód do szukania dochodów ze starostw przystępowali“, nie powiedziano tam jednak, że posłowie mają się domagać nakazania sprzedaży starostw.

Pierwszy i jedyny jasno sformułowany projekt do prawa o sprzedaży starostw, o utworzeniu z zebranego stąd funduszu banku narodowego i o „antycypacyi“ takowego funduszu przez wypuszczenie biletów skarbowych na potrzeby bieżące rzeczypospolitéj pochodzi od męża cichéj zasługi, nie należącego nawet do grona członków sejmu, księdza Michała Ossowskiego.

Z głębokiém pojęciem doniosłości zamierzonych przekształceń ustroju rzeczypospolitéj i zrozumieniem działania środków finansowych, o wiele przewyższającém miarę uzdolnienia współczesnych mężów stanu, ksiądz Ossowski chciał stworzyć dla skarbu polskiego najpotężniejszą podstawę i zarazem dostarczyć obfitego zasobu na zaspokojenie naglących a wielkich i przedstawiających się w długiéj perspektywie wydatków, zabezpieczając przytém prawa uprzywilejowanych posesorów.

O osobistości ks. Ossowskiego i o kolejach jego życia wiemy bardzo mało. Najwięcéj szczegółów, odnoszących się do téj wysoce sympatycznéj postaci podał p. Korzon [3]). Encyklopedya dawna Orgelbran-

---

[1]) Przestrogi dla Polski.

[2]) Anonyma listów kilka do marszałka przyszłego sejmu. T. I. str. 75.

[3]) Dzieje wewnętrzne etc. T. III str. 264, 266, 334 i nast.

da zawiéra tylko krótką wzmiankę o rodzie Ossowskich, szlachcie wielkopolskiéj herbu Dołęga, a w paru wierszach F. M. Sobieszczański, wspominając tamże o naszym finansiście, wymienia częściowo tytuł jego drukowanego projektu: O urządzeniu starostw. Przy tém dodaje z własnego domysłu datę i miejsce wydania projektu, (Warszawa, 1791 r.), na oryginalnym jednak memoryale ks. Ossowskiego tego niema.

Z pomiędzy historyków naszych ks. Waleryan Kalinka poświęca projektowi ks. Ossowskiego zaledwie króciutką wzmiankę [1]). P. Władysław Smoleński w dziele swém: Ostatni rok sejmu wielkiego [2]), przytacza szczegółowo rozporządzenia projektu ks. Ossowskiego, który zna dobrze. Nadto, obejmując całą działalność prawodawczą sejmu wielkiego, podał także treściwie i zarazem dokładnie przebieg rozpraw sejmowych nad tym ważnym przedmiotem.

Niektórzy obcy historycy, wymieniając go, przekręcają jego nazwisko, jak Kostomarow [3]), który go pisze „Osnowskij“ i na tém poprzestaje. Widocznie nie znał jego pracy, ani wcale nad nią się nie zastanawiał.

Potomność wogóle mało się zajmowała zasługami ks. Ossowskiego, a jednak on sam jeden prawie wśród współczesnych mu patryotów rozumiał prawdziwie całą grozę ówczesnego położenia politycznego; on sam jeden przewidział ogrom wydatków koniecznych a ciągłych i pomimo zamieszania panującego w skarbie i w ogólnéj ekonomii narodowéj, stworzył projekt najdoskonaléj zaradzający potrzebom na uchwaloną niedawno stotysięczną armię i na prowadzenie długiéj, może bardzo długiéj wojny, a zarazem zapewniający na zawsze trwałą podstawę finansom państwa.

Z przytoczeń p. Korzona wiemy, że Ossowski, po długim pobycie zagranicą, był plenipotentem znakomitego bankiera ówczesnego, Prota Potockiego, jakotéż plenipotentem wielkiego domu bankowego holenderskiego w Hadze, pod firmą: „de Haän“.

Ten dom załatwiał kilkakrotnie pożyczki dla skarbu rzeczypospolitéj i pieniądze wypłacał przez ręce ks. Ossowskiego. Zapewne téż zasługi jego w tych okolicznościach, obok uznawanéj powszechnie przez współczesnych wielkiéj jego powagi w kwestyach finansowych, skłoniły króla Stanisława Augusta do wybicia na cześć Ossowskiego medalu w r. 1787. Podobizna tego medalu i portret naszego finansisty znajdują sie u p. Korzona w powołaném wyżéj dziele.

---

[1]) Sejm czteroletni. Kraków, 1-e wyd. T. I, str. 217.

[2]) Warszawa, 1896, str. 129—134.

[3]) „*Poślednije gody rieczipospolitoj*“, str. 368.

W przedstawionych na portrecie rysach twarzy uderza wyraz głębokiéj myśli i niezwykłéj skromności charakteru.

Całe téż, o ile nam jest znane, życie jego upłynęło wśród cichéj, skromnéj pracy w biurze bankowém, a niekiedy w dalekich podróżach i na usługach rzeczypospolitéj. Żadnéj bowiem funkcyi urzędowéj nigdy nie spełniał i nie był nawet posłem na sejm, jak to już wspomniałem, — dla tego zapewne powodu, że nie posiadał własności ziemskiéj.

Wśród swojéj spokojnéj i pracowitéj egzystencyi, ks. Ossowski bynajmniéj się przecież nie ukrywał. Znano go powszechnie i do grona jego przyjaciół zaliczali się ludzie należący do najwyższych sfer towarzyskich w Warszawie i w kraju. Dowiadujemy się naprzykład z dyaryusza sejmowego [1]), że księcia prymasa z naszym autorem wiązała od lat kilkunastu przyjaźń i szacunek i że on, prymas, „winszowałby sobie darów i przymiotów tego męża“.

Innym znowu razem jeden z niewielu posłów, najlepiéj rozumiejących doniosłe znaczenie projektu ks. Ossowskiego, Potocki, wojewoda kijowski, oddawał publicznie w sejmie hołd jego osobie i uważał „za najwyższy dar niebios i za najwyższy dla siebie zaszczyt, iż takiego posiada przyjaciela“ [2]).

W podobny sposób odzywali się i inni posłowie, a utworzona w sejmie deputacya konstytucyjna zapraszała go stale na swe posiedzenia, jako rzeczoznawcę przy opracowywaniu projektu do prawa o ewaluacyi monety złotéj [3]).

Obok tych dowodów szacunku i uznania ze strony swoich rodaków, ksiądz Ossowski musiał być jeszcze bardzo pewnym siebie, kiedy miał odwagę wystąpić do walki przeciwko starostom, co było równoznaczném z rzuceniem rękawicy przemożnéj potędze całéj oligarchii, uzuchwalonéj odwieczném użytkowaniem z tych dóbr, które uważali za swoją zdobycz i za swoje niezaprzeczone prawo.

Z przedmowy, zamieszczonéj na czele memoryału ks. Ossowskiego, okazuje się, że jeszcze w samych początkach sejmu czteroletniego wydrukował on „mniéj wykończony“, jak sam powiada, zarys swego projektu, pod tytułem: „O pomnożeniu dochodów publicznych, wynalezie-

---

[1]) Mowa prymasa na sesyi sejmowéj d. 28 Października 1791.

Objaśnić winienem, że wyjątki z mów i posiedzeń sejmowych przytaczam ważniejsze podług dyaryusza, a mniéj ważne podług porządnych sprawozdań w „*Gazecie narodowéj i obcéj*“ zamieszczanych. Większe mowy posłów są wydane oddzielnie.

[2]) Sesya sejmowa 24 Listopada 1791 r.

[3]) Oświadczenie marszałka sejmowego na sesyi 10 Października t. r.

niu kapitału publicznego ku zasileniu nowych potrzeb rzeczypospolitéj, z oszczędzeniem podatków". Pocieszającą wielce jest okoliczność, że ks. Ossowski zaraz już wtedy znalazł w sejmie poważnych zwolenników swego projektu.

Byli mianowicie takimi: Zieliński, poseł ziemi nurskiéj, a szczególniéj książe Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, i Wawrzecki, poseł bracławski, którzy natychmiast jeszcze w r. 1789 przedstawili ten projekt sejmowi [1]).

Nadto z powołanéj wyżéj mowy wojewody kijowskiego przekonać się możemy, że pomysły ks. Ossowskiego znane były temu dygnitarzowi jeszcze w r. 1778, to jest na jedenaście lat przed ukazaniem się ich w prasie i w sejmie.

Nie można się doczytać w dyaryuszach sejmowych, jakie były następne losy tego pierwszego projektu. Nie ulega jednak wątpliwości, że projekt nie dostał się wówczas pod obrady *in ordine* deliberacyi. Myśli kierowników narodu zajęte były w owéj chwili wyłącznie aliansem pruskim i „ostatnia godzina dla starostów na zegarze dziejowym jeszcze nie wybiła".

Dwukrotnie już były starostwa przedmiotem ostréj napaści stronnictwa postępowego w pierwszém dwuleciu sejmowém. Ale odebrano im tylko sądownictwo i zdublowano kwartę. Dotknięta w najczulszy punkt osobistych interesów, partya starostów była jeszcze zbyt silna i potrafiła odeprzéć ataki [2]).

Trzecią i ostatnią kampanię przeciwko starostom zainaugurował dzielnie dopiéro Ossowski ogłaszając, najpewniéj że w r. 1791, swój znakomity memoryał, pod tytułem: O urządzeniu starostw. Rada y projekt do prawa.

Memoryał jest bardzo starannie wydrukowany bez oznaczenia miejsca i czasu wydania na dwudziestu i jednéj nieliczbowanych kartach *in folio* i znajduje się w bibliotece głównéj w Warszawie [3]).

Rozpoczyna się od przedmowy, zawiérającéj w ośmiu ustępach obszerny wykład motywów, sam zaś projekt do prawa obejmuje 34 artykuły.

Jako godło swéj pracy, ks. Ossowski zamieścił następujące zdanie Cycerona „*Nos legem bonam a mala, nulla alia nisi naturae norma dividere possumus, haec autem in opinione existimare, non in natura posita, dementis est*" [4]).

---

1) „Gazeta narodowa i obca", 1791. N. 95, str. 379.

2) T. Korzon. Dzieje wewn. etc. T. IV, str. 335.

3) Sala 4, szafa 5, półka 1, n. 174.

4) „*De legibus*", I.

Samo przystosowanie téj tezy do przedstawienia zasad projektu uderza zadziwiająco trafnością. Rzadko który bowiem ze współczesnych ks. Ossowskiego pojmował tak jasno i trzeźwo, jak on, naturę zasadniczéj kwestyi, na któréj opierała się całkowita przyszłość planów reformy, a przedewszystkiém losy państwa polskiego. Nikt inny nie odczuwał tak, jak on, naglącéj konieczności natychmiastowego i skutecznego zajęcia się sprawą skarbową, a jeśli odczuwał, to nie był w stanie podać właściwéj rady.

Już tedy w samym początku sejmu, przejęty trwogą o zagrożony byt rzeczypospolitéj, spieszył z podaniem swego, chociaż niewykończonego należycie projektu; bo jak sam powiada: „sądziłem tak potrzebny w tém dziele pośpiech, iż rzeczą niebezpieczną zdawało się podawać układ roboty doskonalszéj z przedłużeniem czasu"...

Przejrzawszy okiem wytrawnego znawcy ciemną głębinę położenia politycznego, które dla stronnictwa postępowego ukazywało się naówczas w tak różowém świetle, ks. Ossowski pojął, że bez wytworzenia zaraz i przedewszystkiém nadzwyczajnéj siły finansowéj, bez postawienia obrony krajowéj na właściwéj stopie, wszystkie reformy, acz najzbawienniejsze, na nic się nie przydadzą i nie wydobędą państwa z fatalnego upadku.

Jakoż rzeczywiście wynalazł on „nowy a trwały fundusz dla skarbu rzeczypospolitéj" i podał wielce umiejętny i sprytny system zużytkowania go za pomocą oryginalnie obmyślanéj kombinacyi.

Punktem wyjścia dla jego projektu finansowego jest głęboki, czysto realny pogląd na warunki bytu państwowego. Podług niego, w pojmowaniu spraw politycznych należy nigdy nie spuszczać z uwagi „natury rzeczy", która zarazem jest téż „naturą człowieka". W tém miejscu starannie zastrzega, że oprócz natury, człowiekiem mogą rządzić jeszcze „powody rozumu i światło religii."

Taki pogląd, w epoce kiedy najważniejsze materye polityki i finansów państwa traktowane były z właściwą wiekowi XVIII sentymentalnością i emfazą, — przynosi zaszczyt naszemu finansiście. Ten pogląd wznosiłby go bezwątpienia do rzędu największych mężów stanu, gdyby ks. Ossowskiemu daném było znajdować się na takiém stanowisku władzy, na jakiém naprzykład byli postawieni współcześni mu William Pitt i Necker.

Ze spokojną, lecz pełną siły stanowczością usiłuje zwrócić prawodawców sejmowych od tych „łudzących kierunków", na których oni chcieliby szukać środków uszczęśliwienia narodu. Nie wierzy w skuteczność i „nie uznaje" żadnéj innéj roboty ustawodawczéj tylką taką, co jest oparta na zasadzie natury stosunków i potrzeb państwa, to jest

na pojęciu „ogółu istotnych własności każdéj rzeezy, każdego tworu, podług ktorych téż rzeczy i te twory jestestwo swoje utrzymują“.

Wysoce umiejętną, realną metodę swoich dociekań i pomysłów ks. Ossowski zawdzięcza nietylko długoletniéj praktycznéj działalności w interesach finansowych i znajomości instytucyi europejskich. Praca bowiem jego nosi na sobie wybitne piętno umysłu wszechstronnie wykształconego na najwyższych naukowych wzorach epoki, które aż do dni naszych pozostały jeszcze podstawą studyów umiejętnych nad społeczeństwem i państwem.

Częste podróże ks. Ossowskiego do Anglii i Holandyi dały mu bezwątpienia sposobność do zapoznania się gruntownie z filozofią szkocką, a mianowicie z teoryami Bacon'a i Dawida Hume'a, które tak potężnie przyczyniły się do rozwoju wiedzy ludzkiéj. Widoczny jest na ks. Ossowskiego wpływ téj filozofii, wprowadzającéj do badania świata i człowieka metodę szczegółowéj analizy, a przytém dalekiéj od płytkości materyalistycznych systematów francuzkich, będących wówczas w modzie.

Najsilniéj zaś uwydatnia się w całéj pracy naszego autora wpływ nauki wielkiego myśliciela i twórcy umiejętności ekonomii politycznéj, Adama Smith'a, którego dzieło „*Wealth of Nations*“ przed kilkunastoma laty, w r. 1776, po raz pierwszy ogłoszone zostało.

Ks. Ossowski, zupełnie tak samo jak Adam Smith, bezustannie kładzie stanowczy nacisk na to, że jego dzieło opiéra się jedynie na naturze rzeczy i potrzeb społecznych; że wszelka inna praca niczemu zaradzić nie zdoła, a „tylko pozory szczęścia okazać może". Zupełnie na wzór Smith'a pojmuje ks. Ossowski znaczenie przemysłu krajowego, który „najprędzéj przyspieszy naturalny wzrost powszechnego bogactwa"; jest tak samo przeciwnikiem posiadania i eksploatowania przez państwo dóbr ziemskich, zakładów przemysłowych i t. d. Nazywa to „zabytkiem feudalnych rządów i zwyczajów", uzurpacyą dającą środki do zaspokojenia chciwości małéj garstki obywateli kraju, kiedy podług niego zawsze „na pierwszym planie powinno stać szczęście ogólne". Z zadowoleniem powołuje się na fakt, „że rozchodzące się coraz więcéj czyste światło jednéj z najzbawienniejszych dla rodzaju ludzkiego nauki, ekonomii politycznéj, rozpędza już dosyć sporo grube dawnych wieków ciemności, — i moc prawdy rozbija błędy".

Podobnie jak Smith przypisywał największe znaczenie wytwórcze pracy indywidualnéj i osobistéj inicyatywie pojedyńczych obywateli, uważa też za najpłodniejszy czynnik bogactwa narodowego własność prywatną i pod tym względem jego wyborna obrona własności jest

jakby całkowicie natchniona myślami Adama Smith'a, wyłożonemi w 4 rozdziale II księgi jego dzieła [1]).

Oprócz Adama Smith'a, znał widocznie naukę dawniejszéj szkoły ekonomicznéj fizyokratów, która podówczas liczyła w Polsce wielu zwolenników. Że mu nie były obce prace Quesnay'a i Turgot'a, to się pokazuje zarówno z gorliwości, z jaką przemawia za rozdrobnieniem wielkiéj własności ziemskiéj, jako téż stąd, że bardzo mu leży na sercu „poprawa wewnętrznego stanu osiadłości włościan w królewszczyznach", któréj poświęca obszerny (IV-ty) ustęp w swoich motywach. Propozycye zaś jego, odnoszące się do uregulowania téj „poprawy", obejmują aż sześć artykułów (art. 11 — 16), w których znajdujemy rozporzędzenia, dotyczące pomiarów, podziału i rozgraniczenia gruntów włościańskich oraz zrównania ich pod względem powinności i danin z włościanami dóbr prywatnych. Dwa artykuły wyłącznie są poświęcone przemysłowi wiejskiemu.

Cały plan finansowy ks. Ossowskiego osnuty został na niewzruszonéj podstawie praktycznéj, to jest na zamierzoném „przeistoczeniu majątku publicznego rzeczypospolitéj w dziedzictwa ziemiańskie czyli prywatne", za pomocą sprzedaży przez licytacyę wszystkich królewszczyzn, starostw i t. d.

Głównym zaś celem planu jest utworzenie banku narodowego, opartego na tym funduszu i posiadającego prawo emisyi biletów kredytowych, czyli właściwie skarbowych. Te bilety, wypuszczane przez bank w ilości nie mniejszéj niż 3 miliony złp., winny być umarzane corocznie, odpowiednio do zapasu gotówki, napływającéj z licytacyi dóbr starościńskich.

Podziwiając uderzającą jasność, prostotę i zasadność tego planu, musimy zarazem przyznać, że nadzwyczajna jego doniosłość w skutkach, jakieby napewno przyniósł krajowi, ocenioną nawet właściwie dzisiaj być nie może.

Ks. Ossowski, zalecając swój projekt, wyraża skromnie nadzieję, że gdyby tenże został przyjęty, to „wtenczas wszystko ku uszczęśliwieniu rzeczypospolitéj olbrzymim krokiem postępować będzie i Polska niezadługo na podziw całéj Europie inną, niż dotąd miała, postać weźmie".

Najśmielsza wyobraźnia nie zdoła sobie dziś przedstawić kolei, po których potoczyłyby się dzieje, gdyby naród skwapliwie zaraz w początku sejmu przyjął i wykonał projekt ks. Ossowskiego; gdyby rzecz-

---

[1]) Ks. Ossowski, jak twierdzi za Wolskim p. Smoleński, rozpowszechniał dzieło Smith'a na język francuzki przełożone. „Ostatni rok" etc. str. 130.

pospolita ze swoim kolosalnym skarbcem, który był gotowy, który podawała jéj w rękę szczęśliwa idea jednego z jéj synów, stala się na kontynencie wielką potęgą finansową.

Ale następował właśnie rok 1792 i teraz było już zapóźno na szerokie plany!

Jeżeli ks. Ossowski szukał gdzie wzorów dla swojéj pracy, to tylko w Anglii mógł znaleźć przykład znakomitych reform finansowych. W tym samym czasie (1784—1792) rządził tym krajem wielki Pitt (młodszy), będąc zarazem kanclerzem szachownicy i pierwszym lordem skarbu. Mąż ten zdołał wyratować państwo z głębokiego upadku finansowego, w ciągu trzech lat usunął zastraszający deficyt i zapewnił skarbowi poważną przewyżkę dochodów nad wydatkami, w ilości około miliona funtów sterlingów. Nadto potrafił zgromadzić potężny zasób, który mu umożebnił stać się duszą koalicyi europejskiéj i całą jéj potęgę, niewidzianą dotąd, zwrócić przeciw Francyi po śmierci Ludwika XVI-go.

Zastanawiając się nad świetnemi i po mistrzowsku przeprowadzonemi planami finansowemi Pitt'a, a szczególniéj nad reformą organizacyi kompanii wschodnio-indyjskiéj, która się okazała najdonioślejszą w skutkach dla skarbu angielskiego, moglibyśmy bezwątpienia upatrzéć pewne analogie w jego pomysłach z projektem ks. Ossowskiego. Działalność Pitt'a, zmieniająca radykalnie stanowisko Anglii wśród mocarstw europejskich, bezwarunkowo nie mogła ujść bacznéj uwagi naszego finansisty, gdyż były to umysły pokrewne. Obaj posiadali w najwyższym stopniu dar trafnego objęcia sytuacyi, obaj wykazali nadzwyczajne zdolności w rozwiązaniu zadań, jakie im się przedstawiały, lecz kombinacya, podana przez ks. Ossowskiego, odkrywająca takie wielkie prawdopodobieństwo, prawie pewność ocalenia rzeczypospolitéj, pozostanie zawsze najpiękniejszym pomnikiem chwały projektodawcy.

Nie należy się zresztą zapuszczać zbyt daleko w porównywaniu dzieła dwóch tych mężów. Każdy z nich pracował nad wytworzeniem nowych sił finansowych dla swego kraju w odmiennych warunkach i rozporządzał wcale innemi środkami. Pitt piastował najwyższą władzę, więc mógł przeprowadzić wykonanie swoich pomysłów i nazwisko jego otoczone zostało urokiem, jaki zawsze posiadają dla nas znakomite czyny. Ks. Ossowski zaś miał możność tylko działać na przekonania, nie mogąc przy tém bronić nawet swoich projektów w sejmie, bo nie był posłem. A jednak nieoceniona wartość podanego przezeń planu daje mu zupełne prawo stać w szeregu największych re-

formatorów skarbowości państwa obok genialnego angielskiego ministra.

Najniesłuszniéj w świecie stronnictwo sprzeciwiające się sprzedaży starostw usiłowało w sejmie depopularyzować projekt ks. Ossowskiego, zarzucając mu powinowactwo z reformami głośnego podówczas Neckera, który na rok wcześniéj (we wrześniu 1790 r.) po paru niefortunnych próbach zarządu skarbem Francyi ustąpił ostatecznie bez chwały z widowni świata.

W tém usiłowaniu partyi starościńskiéj przebija się tylko gruba nieznajomość faktów historyi spółczesnéj i jeszcze większa a nader smutna nieznajomość zasad projektu przedłożonego sejmowi.

Wiadomo nam bowiem, że wahający się ciągle i bojaźliwy Necker nie przedsiębrał nigdy żadnéj radykalnéj poprawy finansów francuskich. Wszystkie jego środki ograniczały się do zaprowadzenia oszczędności w wydatkach dworu królewskiego oraz do powściągnięcia nadużyć poborców i dzierżawców skarbowych. Jego tyle sławne *Compte rendu*, ogłoszone w r. 1781, było poprostu zbiorem niedokładności i fikcyi, na podstawie których ustanawiał fałszywie równowagę budżetu, a nawet zwiastował przewyżkę w dochodach. W ogóle nie spotykamy się za jego rządów z żadnym pomysłem finansowym, przedstawiającym dla kraju jakąś większą doniosłość [1]).

Śmiéch więc tylko w nas wzbudza odezwanie się prymasa Poniatowskiego w jednéj mowie sejmowéj, że Necker zgubił naród francuski przez wypuszczenie pieniędzy papierowych [2]).

Wiemy przecież dobrze, iż prawo o *assygnatach* zapadło w konstytuancie dopiéro po dymisyi tego ministra i na wniosek podany przez Mirabeau.

Trzeba téż dodać, że bilety skarbowe ks. Ossowskiego w niczém nie były podobne do asygnat francuskich ani do fantastycznych biletów osławionego Law'a, co jest widoczném już z pierwszego rzutu oka na podstawy i zakres operacyi.

Jeżeli dzisiaj gotowi jesteśmy zupełnie aprobować a nawet uwielbiać pomysły ks. Ossowskiego, to przed stu laty sprawa ta inaczéj się przedstawiała naszym przodkom i przeprowadzenie jéj było najeżone rozmaitemi trudnościami.

---

[1]) Znany pamflecista rojalistowski, Rivarol, bardzo trafnie wyraził się gdzieś o nim: „*il eut le malheur d'être toujours insuffisant dans un système qui ne suffisait pas*“.

[2]) Sesya sejmowa 28 października 1791 r.

Większość polityków ówczesnych nie widziała położenia kraju w tak czarnym kolorze. Chociaż poważniejsi między nimi mieli przeczucie niebezpieczeństwa, ale nie rozumieli tego, że chwile niezależności państwa były policzone. Zostawali bowiem pod wpływem ogólnéj suggestyi umysłów, które w ustawie 3-go maja, w zrzuceniu gwarancyi, w przymierzu pruskiém i w powszechnie rozbudzonéj tendencyi ku poprawie upatrywały zadatki przyszłéj pomyślności narodu. I oto dlatego nie rozumiano właściwie tego trwożliwego pośpiechu, z jakim ks. Ossowski zaraz w początkach sejmu podawał swój „niewydoskonalony" jeszcze projekt. A cóż pomyśléć o tych trudnościach, które wynikały z saméj nowości pomysłu dla pokolenia przeważnie bardzo słabo przygotowanego fachową wiedzą do traktowania tych kwestyi! Największa jednak trudność tkwiła w konieczności wyjednania przedewszystkiem uchwały sejmu na alienacye dóbr rzeczypospolitéj, zostających w posiadaniu starostów. Fundusz ze sprzedaży tych dóbr pochodzący, był przecież fundamentem, na którym wznosiła się cała budowa projektu. Pojmował to doskonale jego twórca i dlatego z największą starannością zajął się naprzód w motywach rozbiorem kwestyi sprzedaży królewszczyzn. To zadanie o tyle tylko miał ułatwione, że opinia publiczna stale, chociaż w sposób nieokréślony, wskazywała te dobra, jako źródło, mające służyć do zabezpieczenia potrzeb skarbu.

Nie poprzestając na saméj ekspozycyi odnośnych zasad ulubionéj jego nauki, ekonomii politycznéj, z wielką starannością powołuje się jednocześnie na praktykę rządów państw europejskich. Przytacza świéże rozporządzenia cesarza Józefa II o sprzedaży dóbr kameralnych i ostrożnie przypomina przykład dany przez naród francuski. Jakoż istotnie wiemy, że przed kilkoma miesiącami zgromadzenie ustawodawcze dwoma dekretami, z d. 21 listopada i 1 grudnia 1790 r., uchwaliło sprzedaż w drodze licytacyi wszystkich dóbr narodowych. Nie brakło zatém wydatnych autorytetów ustawodawstwa zagranicznego dla poparcia sprawy wniesionéj przed sejm.

Następnie zbija zarzuty podniesione tu i owdzie w prasie przeciwko jego projektowi,—przy czém bardzo oględnie, aby nie drażnić zbytecznie swoich wrogów, ale niezbicie dowodzi, że ich opozycya, rozpatrywana z jakiéjbądź strony, ma zawsze za podstawę prywatę i tylko prywatę, więc tém samém dąży do wyrządzenia krzywdy ogółowi. Dla niego zaś we wszystkich kwestyach i po wszystkie czasy jedynym celem i jedyném prawem jest *salus populi*. To jego argument najsilniejszy.

Nie zaniedbuje wykazywać dobitnie korzyści, jakie sprzedaż dóbr ziemskich rzeczypospolitéj przyniesie narodowi w podwyższeniu ceny ziemi, w podniesieniu dochodów konsumpcyjnych, w ukróceniu lichwy,

zniżeniu stopy procentowéj, przez zaprowadzenie w kraju fabryk i rękodzieł oraz przez ściągnięcie do Polski obcych przemysłowców i kapitalistów, których dopuszcza do nabywania starostw na licytacyi pod warunkiem, aby poprzednio otrzymali naturalizacyę. Niekiedy przerywa swoje wywody, kréśląc w ponętnych zarysach obraz przyszłego przemysłu i dobrobytu krajowego, i pociesza się myślą, że wtedy „dopiéro każdy uzna do czego Polska jest zdolną".

Wiadomo, że szlachta i sejmy okazywały się zawsze bardzo czułemi w kwestyi podatków i opłat, przeto objaśnia na rachunku, jakie znaczne zyski naród osiągnąć może w zmniejszeniu podatków, skoro taki ogromny kapitał ze sprzedaży dóbr państwa corocznie do skarbu wpływać będzie.

Jako przeciwnik latifundjów, ks. Ossowski żąda poczynienia w prawie ułatwień do wprowadzenia w rolnictwie krajowém gospodarstwa intensywnego według zasad, jakie głosił jeszcze rzymianin Columella i jakie podawała ówczesna ekonomia polityczna i „ekonomika wiejska." W tym celu proponuje podzielić obszerne dobra starościńskie na mniejsze działy i przez stosowne urządzenia ułatwić jeszcze ich dalsze rozdrobnienie. Słusznie bowiem utrzymuje, „że podzielność ziemi użytkującéj wypływa z ograniczonéj mocy człowieka, który ani fizycznemi ani moralnemi siłami pojęcia i chęci swojéj nazbyt wiele rzeczy razem objąć i osiągnąć nie zdoła, ani dostatkiem swoim i zamożnością nad pewną miarę kosztom i nakładom potrzebnym nie wystarczy".

Niejednokrotnie i obszernie nalega na to, iż gospodarstwo narodowe może się prawidłowo rozwijać tylko w warunkach powszechnego spokoju i „zwolnienia od uciążliwości pieniactwa." Więc zaleca ukończenie jeszcze przed sprzedażą sporów miast i wsi ze starostami, wiszących w asesoryach nadwornych, jako téż procesów starostów z właścicielami sąsiednich dóbr ziemskich, dla których ustanawia sąd polubowny, czyli tak zwany przez niego: „sumienno-przyjacielski".

Opracowując bardzo troskliwie wszystkie szczegóły techniczne wykonania projektu, określa sposób i termin licytacyi królewszczyzn, ustanawia komisarzy nadzwyczajnych, których obowiązkiem jest zająć się dokładnym opisem dóbr przeznaczonych na sprzedaż, rozdziałem tychże na folwarki, rozgraniczeniem, urządzeniem osiadłości włościańskich, pomiarem wszystkich gruntów i sporządzeniem planów. Komisarze winni ukończyć swoje czynności w ciągu lat pięciu, po upływie których miała się rozpocząć kolejna sprzedaż starostw, według porządku wskazanego przez losowanie.

Tymczasem zaś skarb rzeczypospolitéj może antycypować dochód ze starostw przez wypuszczanie biletów skarbowych bez kursu przymusowego, przyjmowanych w kasach rządowych z zapewnieniem dla kontrybuentów pół od sta procentu przy każdéj wpłacie.

Projekt zbija nieuzasadnione obawy, jakie często były wyrażane co do biletów, wykazuje ich ogromne zabezpieczenie, pewność i regularność amortyzacyi oraz dogodność przy większych tranzakcyach majątkowych, jak naprzykład przy kupnie dóbr starościńskich na licytacyi. Zabezpiecza zupełnie prawa dotychczasowych posiadaczy starostw (art. 22), wyznaczając dla nich dożywotni dochód w takiéj saméj proporcyi, jak dotąd pobiérali, to jest procent w stosunku 4% od sumy osiągniętéj na licytacyi z potrąceniem z takowéj 1/10 części na korzyść rzeczypospolitéj, jako właścicielki. Zobowiązuje daléj nabywców do zwrotu starostom nakładów użytecznych, oileby takowe poczynili w dobrach,—a to w ciągu trzech miesięcy od daty licytacyi, i dozwala tymże nabywcom układać się dobrowolnie ze starostami o sknp ich praw dożywotnich.

Przy licytacyi nabywca obowiązany był złożyć zaraz dziesiątą część postąpionego szacunku, a reszta pozostawała u niego na długoletnie rozpłaty. Przy tém do szacunku doliczał się skapitalizowany za cały czas procent po 4% rocznie i od téj całkowitéj sumy nabywca opłacać był winien procent po 4% w ratach kwartalnych pod utratą zaliczenia i eksmisyą.

Łatwo mógł przewidywać ks. Ossowski, że ceny, jakie dobra starościńskie osiągną przy sprzedaży przez licytacyę będą znacznie przewyższać tę wartość, którą możnaby wyprowadzać z dotychczasowych lustracyi, a cały ten kapitał miał stanowić żelazny fundusz banku narodowego i „jedynie w gwałtownéj potrzebie na obronę kraju w przypadku wojny mógł być ruszony". Rozumie się, że do tego potrzeba było zawsze uchwały sejmu, a władza wykonawcza nie miała prawa dysponować żadną częścią tego funduszu pod karami zagrożonemi w ustawie *de crimine peculatus*. Nie wolno było także nigdy używać tych pieniędzy na jakiekolwiek nagrody dla „zasłużonych".

W czasach pokoju kapitały banku, powiększające się ciągle przez naturalny przyrost procentu, miały być rozpożyczane krajowcom w celach produkcyjnych na procent po 4% rocznie i na długie termina.

Zapoznawszy się z zasadami i rozporządzeniami projektu ks. Ossowskiego, zobaczmy teraz, jakie były koleje jego w sejmie i w jakiéj postaci ostatecznie zamieniony został w obowiązujące prawo.

Po raz pierwszy projekt ten był złożony do laski marszałkowskiéj dopiéro na sesyi sejmowéj dnia 29 września 1791 r. przez Mikołaja Ja-

roszyńskiego, posła bracławskiego, [1]) i poparty zaraz przez posła poznańskiego, Gliszczyńskiego.

Na następném posiedzeniu, 10 października, Sołtyk, poseł krakowski, bardzo dobry znawca kwestyi skarbowych, żądał, aby projekt urządzenia starostw, do przedstawienia którego już dawniéj z łona sejmu wyznaczoną była depntacya, zaraz był czytany i wzięty pod rozwagę. Gdy większość się na to zgadzała, Plater, kasztelan trocki, jako członek deputacyi, podał w obszernym głosie szczegółowe objaśnienie opracowywanego projektu, opartego całkowicie na zasadach ks. Ossowskiego. Sam projekt jednakże nie był jeszcze w sejmie czytany.

Już na tém pierwszém posiedzeniu podniosła się zaraz opozycya przeciwników sprzedaży starostw, których w sejmie było bardzo wielu. Ci radziby byli odrzucać wszelkie projekta w téj materyi, lub przynajmniéj uchwałę prawodawczą odraczać *ad infinitum*.

Nie chciano tedy dopuścić do czytania projektu pod pozorem, że według regulaminu sejmowego tylko wnioski od posłów pochodzące mogą być przedmiotem deliberacyi, jak dowodził Zambrzycki, poseł nurski. Ten rzecznik starostów gniewał się na deputacyę, że nie uwzględniła projektu, jaki podał on wraz z kolegą swoim Sokolnickim, ale „przywiązała się" wyłącznie do pracy ks. Ossowskiego, który „śmiał wdzierać się do Izby".

Widzimy z téj pierwszéj próby opozycyi, przeciwnéj prawu o starostwach, że jéj taktyka nie zalecała się bynajmniéj wielką zręcznością. Wystąpiła na oślep z takim zarzutem, który nie przedstawiał żadnych trudności w odparciu. Gruntownie go zbijał Linowski, poseł krakowski, wykazując, że chociaż wszystkim wiadomo, iż projekt pochodzi od ks. Ossowskiego, to wiadomo również, ze do izby wniósł go Jaroszyński, więc od téj chwili stał się już projektem poselskim i dyskutowany być winien. W imię dobra publicznego zachęcał izbę, aby się nie ociągała z przystąpieniem do rozpraw, bez względu na to, że sama myśl tego projektu nie wyszła z głowy żadnego posła. „Bo, — jak przemawiał uczciwie — chociaż wszyscy mamy światło, ale bez zarumienienia wyznać to powinniśmy, że są osoby, które w pewnych wiadomościach mają go od nas więcéj". Zaraz téż następnego dnia na wniosek Siemińskiego, posła sieradzkiego, sekretarz sejmu odczytał projekt deputacyi, obejmujący całkowity plan ks. Ossowskiego i zredagowany w ośmiu artykułach, pod tytułem: „*Urządzenie wieczne dóbr dziedzictwa publicznego*".

---

[1]) *P. Korzon* wymienia Gliszczyńskiego, jako wnoszącego projekt, ale w tém jest tylko prosta omyłka. *Dzieje wewnętrzne*, t. III str. 334.

Z księdzem Ossowskim deputacya różniła się tylko na tym pnnkcie, że emisyę biletów, opartą na funduszu ze starostw, powierzyła istniejącym jeszcze wówczas komisyom skarbu, koronnéj i litewskiéj, zaś utworzenie instytucyi banku narodowego miała zaprojektować oddzielnie.

Zaczęły się nareszcie rozprawy, w których udział wzięli: wspomniany już Siemiński, oraz posłowie: Rożnowski, Krzucki, Nosarzewski i Sokolnicki. Jednakże początkowa dyskusya sejmu obracała się prawie wyłącznie w sferze niejasnych ogólników, nudnych omawiań i krytyki małoznacznych rozporządzeń projektu. Mówcy byli jeszcze nieprzygotowani, ale widoczną już była szerząca się powszechnie zawziętość przeciwko starostom. Sędzic ciechanowski, Nosarzewski, nazwał ich publicznie *fidefragi*, a Siemińskt podniósł niesłychanie drażliwą sprawę, domagając się wprost unieważnienia nieprawych nadań smutnéj pamięci delegacyi sejmowych 1775 i 1776 roku.

Po zwłoce zażądanéj przez króla dla dokończenia leżącéj mu wówczas ua sercu pracy nad organizacyą komisyi skarbowéj obojga narodów, na posiedzeniu sejmu 28 października znany już nam Sołtyk wniósł swój projekt o sprzedaży starostw, przedstawiający prostą przeróbkę pracy ks. Ossowskiego. Spostrzegłszy między członkami sejmu wielu zapatrujących się nieufnie na bilety skarbowe i bank narodowy, Sołtyk ograniczył swój projekt tylko do saméj sprzedaży dóbr starościńskich. Zastanawiając się nad powodem zmiany dokonanéj w projekcie przez Sołtyka, nie mamy żadnéj przyczyny wątpić o dobrych chęciach lub o rozumie tego posła. Prawdopodobnie chciał on ułatwić praktycznie możność strawienia zbyt ciężkiéj dla umysłów prawodawców sejmowych kombinacyi i rozdzielając ją na części, przyspieszyć przeprowadzenie pożądanego prawa.

Niepomierną otuchę musiał wlać w serca partyi starostów i nieprawych posiadaczy dóbr złupionych na rzeczypospolitéj książę prymas, kiedy pierwszy w ich imieniu podniósł się dla zwalczania zasadniczo całego projektu. W gładko utoczonych frazesach dowodził, że „nie jest w stanie przeświadczyć się, aby sprzedaż starostw sprawiedliwą, potrzebną i użyteczną ojczyznie być mogła". Według jego zdania „dosyć znaczną ofiarę uczynili już starostowie, kiedy połowę intraty oddali do skarbu a emfiteuci, zostawieni przy ósméj części swoich dochodów, są raczéj administratorami, niz possessorami". Z właściwą sobie obłudą szafuje słodyczami pod adresem ks. Ossowskiego, ale zarazem powiada, że „egzekucya tego co napisał, zawierając wiele pracy i zawiłości, staje się niepewną, a związany projekt jego z projektem pieniędzy papierowych ostatnią grozi rzeczypospolitéj zgubą".

Opowiada, jak to pieniądze papiérowe nie jeden już kraj zniszczyły, wśród cytacyi łacińskich przewiduje dla Polski fatalne skutki z zamierzonéj operacyi, podobne do nieszczęść ściągniętych na Francyę przez nowatorskie tendencye Necker'a (!), i nakoniec żąda głosowania dla swego wniosku: „aby nie traktować w stanach téj materyi, lecz zająć się wynajdywaniem zkądinąd źródeł dochodu dla skarbu".

Spodziéwał się chytry prymas, że powagą swego dostojeństwa i braterstwa z królem raz na zawsze zada śmiertelny cios projektowi grożącemu starostom.

Ale na szczęście nie były to już czasy jego tryumfów w epoce rządów Repnina!

Nie pomogła błyskotliwość wymowy, chcącéj olśnić izbę fałszywemi pozorami znajomości rzeczy! Jak jeden mąż, powstała znaczna większość posłów, oświadczając, że na propozycyę księcia prymasa niéma zgody.

Zrażony upokarzającém niepowodzeniem, prymas już tylko raz jeden w ciągu téj długiéj, bo trzy miesiące trwającéj dyskusyi zabrał głos, jak to późniéj zobaczymy.

Obrady poszły daléj swoim torem i na tém samém posiedzeniu Sokolnicki dzielnie bronił projektu, popiérając Sołtyka, a za nim Skórzewski, Butrymowicz i Gieysztor.

O wiele sprytniejszym szermierzem opozycyi, niż prymas, okaza się Suchodolski, kasztelan radomski, występując z zarzutem, iż skoro sejm ma prawo rozporządzać tylko intratą z dóbr rzeczypospolitéj, przeto jedynie właściciel tychże dóbr, to jest naród, może zadecydować o ich alienacyi. Należy więc nad projektem przejść do porządku dziennego a odnieść się po instrukcye do samego narodu bezpośrednio. Był to paradoks w gruncie bezzasadny, ale że zręcznie był postawiony, musiał dawać do myślenia i budzić skrupuły nawet w najgorętszych zwolennikach projektu. Zbijał go, acz przy pomocy nie zbyt wyszukanych argumentów, Sokolnicki, przypominając znane instrukcye posłów z województw wielkopolskich, ruskich i litewskich, powołując się na prejudykat w wyznaczeniu już przez sejm deputacyi do urządzenia starostw, która wygotowała projekt o sprzedaży, oraz dowodząc, że protest jednego posła nie może obalać decyzyi przyjętych przez większość.

Widocznie zaś już wtedy przewaga opinii zaczynała być po stronie projektu, bo na téj saméj sesyi jeszcze kilku mówców gorliwie popiérało takowy. Godną uwagi jest gruntowna mowa Witosławskiego, posła podolskiego, wybornie obeznanego z praktycznemi sprawami skarbu rzeczypospolitéj, który, wskazując na wielki gotowy zasób le-

żący w starostwach, najmniéj podług jego wyliczeń 300 milionów złp. sięgający, uzasadniał konieczność sprzedaży starostw wielkiemi potrzebami państwa i deficytem przenoszącym wtedy 9 milionów złp., to jest tyle, ile stanowiła trzecia część ogólnych dochodów skarbu. Z wielkim taktem wystąpił téż Sołtyk do krytyki zarzutów Suchodolskiego, wyjaśniając rozumnie właściwe znaczenie gwarancyi prawa własności, zapewnionéj ustawą 3-go maja. Ostrzegal, iż przeciwnicy projektu nietylko nie myślą dać za wygraną, lecz „w różne przywdziéwając się szaty, odsuwać wciąż będą te materyę pod tysiącznemi pozorami". Powodowany taką obawą, oświadczył energicznie, że na żaden nowy gatunek podatku nie pozwoli, „dopóki kwestya sprzedaży starostw udecydowaną nie będzie." — Za nim powtarzali mniéj więcéj to samo Narbutt i dwaj Rzewuscy, z których jeden, kasztelan witebski, był „przeciwny ustawie biletów, jako szkodliwéj i niebezpiecznéj dla narodu".

Przed końcem tego posiedzenia uchwalono także połączenie w jedną dwóch deputacyi: konstytucyjnéj i drugiéj zajmującéj się projektem do prawa o pomnożeniu dochodów skarbowych dla pokrycia deficytu. Zalecono im wynalezienie skutecznych środków dla prędszego uchwalenia ustawy o sprzedaży starostw.

Łatwo rozpoznać w tym fakcie manewr opozycyi, któréj téż dziełem była zapewne i owa massa projektów od rozmaitych posłów, jakiemi zasypywali deputacyę. Cel tych i tym podobnych machinacyi leżał w pożądanéj odwłoce, skoro pokazało się jawnie, że obrońcy starostów tylko na tém wygrać mogą, gdy wstępnym bojem nic już nie wskórają.

Wciskając się wszędzie, opozycya potrafiła wśród członków deputacyi wynaleźć sobie jawnych lub skrytych stronników tém bardziéj, że wśród niéj zasiadał znany biskup lubelski, Skarszewski, gdyż na posiedzeniu 10 listopada marszałek sejmowy widział się w konieczności oświadczenia, że deputacya nie mogła dotychczas przedstawić swego projektu z powodu niespodziewanéj obfitości złożonego materyału.

Rozprawy pociągnęły się nieprzerwanie zwykłym porządkiem.

Wniesiono kilka nowych poprawek do niewykończonego jeszcze projektu, a zatém bezużytecznie. Jednakże posłowie przemawiający na tém posiedzeniu wystąpili z kilkoma nader ciekawemi wnioskami, idącemi dość daleko w kierunku radykalnym, chociaż wszyscy bez wyjątku zalecali projekt ks. Ossowskiego, jako najzbawienniejszy.

Książe Czetwertyński, kasztelan przemyski, żądał podciągnięcia pod sprzedaż wraz ze starostwami i dóbr stołowych króla, czyli dóbr tak zwanéj „ekonomiki królewskiéj".

W tym samym sensie odzywał się Leżeński, poseł bracławski, a najgoręcéj Zakrzewski, poseł województwa poznańskiego.

Ten domagał się nietylko sprzedania dóbr ekonomiki królewskiéj ale i dóbr biskupstwa krakowskiego, zostających od czasu pierwszego rozbioru pod administracyą rządową.

Uzasadniał swój wniosek cyframi, wykazując wielkie korzyści dla skarbu, gdyż dobra biskupstwa krakowskiego, które przynosiły biskupowi tylko 50,000 złp., dawały za gospodarstwa komisyi ustanowionéj z ramienia rzeczypospolitéj prawie dwa razy tyle dochodu, to jest 90,000 złp.—Skoro komisya rozporządziła oddanie ich w dzierżawę przez licytacyę, on sam, Zakrzewski, postąpił na licytacyi 141,000 złp. Gdyby zaś chciano mu sprzedać, to ofiarował dać za nie cenę wyrachowaną na podstawie dochodu równającego się 180,000 złp. i to zapewne ze znacznym jeszcze zyskiem dla siebie!

Możemy ztąd brać miarę, jaką była rzeczywista wartość dóbr zostających w użytkowaniu starostów i jak umiarkowanie Witosławski oceniał tę wartość na przeszłéj sesyi, kiedy przypuszczał, że przez licytacyę starostw dochód z nich tylko o $^1/_3$ część powiększony zostanie. Jednakże wniosek Zakrzewskiego przepadl, bo sejm nie był usposobiony do słuchania projektów o sprzedaży dóbr kościelnych, témbardziéj gdy memoryał ks. Ossowskiego w osobnéj „przestrodze" zastrzegał wyraźnie, iż do tych dóbr wcale się nie odnosi. Obiecywał tylko przedstawić późniéj inny projekt względem pożądanych modyfikacyi w tym przedmiocie. Jednego tylko zwolennika myśl Zakrzewskiego znalazła w osobie posła wileńskiego, Romanowicza.

Dał się słyszéć także ks. Hugo Kołłątaj, pierwszy i jedyny raz zabiérając głos w téj materyi. Ale mowa jego nie sprawia dodatniego wrażenia. Pełna pedantycznéj frazeologii, nie odznacza się dostateczną znajomością traktowanéj kwestyi, lecz obraca się wciąż w omawianiu zasad projektu ks. Ossowskiego, który ostatecznie wychwala. Nie zaniedbał przy téj okazyi żądny popularności trybun demokracyi wystąpić z propozycyą, aby pewna część dóbr starościńskich w każdym okręgu podzielona była na takie parcele, któreby łatwo nabywane być mogły przez ubogą szlachtę [1]) jedynie za czynsz wieczysty, bez składania $^1/_{10}$ części szacunku.

Na téj propozycyi zyskała zapewne wśród szaraczkowéj rzeszy wziętość podkanclerzego koronnego, ale rzeczpospolita zajęta była

---

[1]) Liczył téj szlachty w Polsce ogółem 300.000 ludzi.

wtedy wykonaniem wręcz odmiennych zadań, zawisłych ciężkiém brzemieniem nad jéj losami.

Nastąpiła mowa królewska, jak zawsze, w tonie najtkliwszego patryotyzmu. Król Jegomość ofiarował narodowi całkowity dochód z dóbr swojéj ekonomiki, pozostałych po rozbiorze, wynoszący 200,000 złp. Zresztą mowa jego toczy się w kole utartych komunałów. Stanisław August nie był wcale biegłym w sprawach skarbowości i finansowe zdolności objawił tylko w nieporównanéj zręczności, z jaką umiał zaciągać na swoje potrzeby długi, gdzie się tylko dało. Potrafił téż zawsze dla siebie „wyłabudać"—jak mawiał — gotówkę od ambasadorów państw zostających nawet w otwartéj wojnie z rzecząpospolitą.

Posłowie, wzruszeni wspaniałością daru, przystąpili według zwyczajnego ceremoniału do ucałowania ręki monarszéj i zakończyło się posiedzenie naznaczeniem na wniosek Sokolnickiego tak zwanéj sesyi prowincyonalnéj u marszałka sejmowego na dzień następny, w celu wysadzenia komisyi do rozgraniczenia starostw.

Jakoż rzeczywiście odpowiednie projekta zostały wkrótce przedłożone sejmowi przez obu marszałków konfederacyi generalnéj.

Przerażenie opozycyi musiało być nie małe, skoro w parę dni potém, 14 listopada, marszałek sejmowy wniósł do izby ukończoną już pracę deputacyi, a raczéj pierwsze ośm artykułów projektu do prawa o sprzedaży starostw.

Dziewiąty i ostatni artykuł przedstawiony został sejmowi zaraz następnego dnia. Ta jednak redakcya, jak wkrótce zobaczymy, uległa znacznym zmianom.

W saméj zasadzie niczém się ten projekt połączonych deputacyi nie różnił od projektu deputacyi konstytucyjnéj, podanego przed miesiącem na sesyi 11 października.

Podobnie jak tamten i stosując się w zupełności do myśli Sołtyka, zawiérał przepisy regulujące sprzedaż dóbr starościńskich, a pozostawiał na boku kwestyę banku narodowego i biletów skarbowych.

Przyłączenie się deputacyi do projektu Sołtyka pochodziło niewątpliwie z téj przyczyny, że była powiadomioną o zabiegach i przygotowaniach opozycyi, a do tego być może przeceniała jéj siłę. Nadto deputacya mogła się obawiać znanéj dobrze z praktyki sejmowéj chwiejności zdania swoich własnych stronników. Nie chciała za tém narażać głównego celu przez wprowadzenie do projektu takich postanowień, które, chociaż wysnute i skombinowane z nadzwyczajnym talentem według jednéj idei ks. Ossowskiego, bądź co bądź dla ogółu posłów sejmowych były nowością, przechodzącą o całe niebo wszystkie finansowe spekulacye, do jakich byli zdolni.

Jak tylko projekt ukazał się w izbie, opozycya zawrzała na całéj linii i zapełniła głosami swych adherentów prawie całe posiedzenie. Podniósł się naprzód w jéj imieniu Jeleński, poseł mozyrski, rozwodząc się żałośnie nad tezą, iż żaden urząd dożywotni, żadna danina bez sądu odbieraną obywatelowi być nie może.

Skarszewski, biskup lubelski, będący posłem od województwa chełmskiego, również obszernie rozprawiał o niewłaściwości sprzedaży starostw i zamiast niéj doradzał po śmierci dożywotników oddawać starostwa *„per emphiteusim"* na lat pięćdziesiąt. Hryniewiecki, wojewoda lubelski, chciał przekonać sejm, że projekt nietylko nie zaradzi deficytowi, ale owszem zwiększać go będzie; że „te obiecane miliony zawiodą nadzieje" i pochłonięte zostaną przez płace dla komisarzy, koszta rozgraniczenia i podziału starostw i t. d. Konkludował wreszcie, aby zażądać specyalnych instrukcyi od sejmików. Zabiełło, kasztelan miński, powtarzał znane dobrze hasła o konieczności ze strony narodu dotrzymania wiary zapewnionéj starostom, o świętości unii z Litwą i t. d., zapewniał, że szacunek dóbr starościńskich będzie się wciąż podnosić, a starostowie dostarczą chętnie nowych funduszów na potrzeby kraju.

Jako obrońca projektu, odznaczył się Bolesz, w wymownych i gorących słowach przedstawiając nagłość potrzeby rzeczypospolitéj i przerażającą pustkę w skarbie.

Następne dwie sesye, 15 i 18 listopada, zeszły na niczém bez ważniejszych rozpraw, pomimo usiłowań ze strony zwolenników projektu.

Właściwa dyskusya jeszcze się nie rozpoczęła i zbliżała się z wielką powolnością.

Na posiedzeniu 21 listopada Kossakowski, biskup inflancki, starał się krytykować projekt wszechstronnie i zalecał zamiast sprzedaży nowe zwiększenie kwarty. Jego czcze wywody znalazły zaraz dzielne odparcie w mowie Dembińskiego, posła krakowskiego, który bardzo trafnie przypominał, że „starostwa nigdy nie były funduszem ratującym rzeczpospolitą". Przytoczył także piękny ustęp z jednéj mowy Demostenesa, w któréj tenże wyrzuca gorzko ateńczykom, że uchwaliwszy naprzód wyprawę w pomoc Olintowi, roztrwonili późniéj pieniądze publiczne na widowiska i uciechy. „Tacyśmy byli—kończył Dembiński,—uchwalając sto tysięcy wojska, strzeżmy się naśladowania ku końcowi".

Wielu mówców za tém przemawiało za projektem. Z pomiędzy nich Gieysztor, poseł żmudzki, przedstawił zajmujący przegląd historyi starostw, zaś kolega jego, Nagórski, jakotéż Potocki, marszałek w. l. i Mielżyński, poseł poznański, proponowali rozmaite poprawki.

Ten ostatni, lubo sam był posiadaczem starostwa wałeckiego, złożył do laski formalny wniosek: „o zwrot donatyw na sejmie 1775 r. nienależnie w ziemskość zamienionych".

Pod koniec posiedzenia zabrał znów głos król. Prawdopodobnie pozyskany przez opozycyę, pragnąc zapewnić jéj dłuższą odwłokę, a po części także w chęci okazania swéj kompetencyi w sprawach skarbowych, zapowiedział przedstawienie od siebie nowego projektu o sprzedaży starostw i do ułożenia takowego zaprosił z pośród dygnitarzy sejmu: księcia biskupa płockiego, Chreptowicza, podkanclerzego litewskiego, i Ostrowskiego, podskarbiego nadwornego koronnego.

Na razie wyznaczenie téj nowéj a niespodziewanéj deputacyi przez króla przyjęto jakoś w milczeniu, ale nazajutrz książe Czetwertyński, kasztelan przemyski, podniósł w sejmie tę kwestyę, domagając się wyjaśnienia, w jakim to właściwie charakterze ci panowie zasiadać mają w deputacyi, kiedy podług prawa tylko sam sejm mocen jest wyznaczyć deputacyę.

Wyjaśnienia, poczynione przez biskupów Naruszewicza i Kossakowskiego, oraz przez Kublickiego, posła inflanckiego, zajęły połowę posiedzenia, a zakończył je nareszcie marszałek konfederacyi litewskiéj, książe Sapieha. Ten, widząc, jakiéj kaszy król nawarzył i pragnąc wyprowadzić go z kłopotu, oświadczył że wybrani wczoraj dygnitarze mają tylko przedstawić osobiste J.K.Mości myśli członkom deputacyi. Stanisław August natychmiast skwapliwie tę deklaracyę potwierdził, i nieporozumienie się zatarło.

Zatém popisywało się jeszcze kilku mówców, popierając projekt, ale uwagę sejmu zajęli wyłącznie swemi interesującemi głosami dwaj posłowie, z których każdy uchodził za powagę w materyach skarboznawstwa. Pierwszy mówił Fryderyk Moszyński, poseł bracławski, którego p. Korzon, zbyt łaskawie mojém zdaniem, mieni być jedną z najtęższych głów pomiędzy finansistami sejmu. Jakkolwiek oświadczył się niby za sprzedażą starostw, jednakże mowa jego zmierzała wyraźnie do tego, aby projektowi deputacyi odjąć główną racyę bytu, która go wywołała. Na mocy ułożonych przez siebie wyciągów z tabel dochodów i ekspensów skarbowych przedstawiał on sejmowi, że stan finansowy kraju jest bardzo pomyślny, bo nietylko nie grozi mu deficyt, ale jeszcze przewyżka dochodów w ilości trzech milionów złp. pozostanie.

Pierwszym warunkiem dobrych wykazów finansowych jest rzetelność i pewność cyfr, na których się opiérają. Tymczasém rachunki, podane sejmowi przez Moszyńskiego, były wynikiem błędnie przyjętych pozycyi i fałszywych zestawień, jak go zaraz przekonano. Całe jego

„*exposé*”, dające w każdym razie wielce pożądaną broń w ręce partyi starostów, nosi na sobie widoczne cechy roboty dyletanckiéj, albo też wręcz machiawelskich dążności, i do zaszczytu dobrego sprawozdania budżetowego podnosić go nie będziemy.

Nie czekał długo pan poseł bracławski na odpowiedź. Tuż po nim zabrał głos Witosławski, dobrze znany nam poseł i zarazem trzymający pióro w deputacyi egzaminującéj skarb koronny. Z dokładną znajomością spraw skarbowych wykazywał on fikcyjność cyfr przyjętych za podstawę obliczeń Moszyńskiego, udowodnił że ten do dochodów skarbu dołączył zamierzenia budżetowe, które w istocie do kas nie wpłynęły, a w wydatkach pominął takie pozycye, jak naprzykład całkowity etat świeżo utworzonéj komisyi policyi.

Wykazawszy tym sposobem oczywistą bezzasadność wywodów Moszyńskiego, potwierdził zarazem podany przez siebie na jednéj z poprzednich sesyi bilans skarbu, podług którego dochody rzeczypospolitéj wynosiły 27 milionów złp. a wydatki zwyczajne 36 milionów złp.

Deficyt zatém był wyraźny, a przecież rzeczypospolitéj chodziło nietylko o deficyt!

Moszyński ani jedném słowem nie mógł zaprzeczyć Witosławskiemu.

Na posiedzeniu 24 listopada znaczna liczba posłów popiérała uchwalenie sprzedaży starostw. Z opozycyi przemawiał tylko jeden Siwicki, poseł trocki. Najlepiéj zaś bronił projektu Potocki, wojewoda kijowski, i rozpraszał niewczesną obawę niektórych co do biletów skarbowych. Gdyby sejm na ustanowienie biletów się nie zgodził, proponował natomiast zaciągnięcie pożyczki i zobowiązał się ułatwić ją na warunkach wielce wygodnych dla rzeczypospolitéj.

Sołtyk w końcu nalegał na konieczność przyspieszenia téj sprawy, domagał się zmian we wstępie do projektu deputacyi, mianowicie co do osławionych donatyw z r. 1775, zapowiadając, że jeśli to się nie stanie, to on „z żalem dla siebie przymuszony będzie zerwać maskę i odkryć, jakie w tém są zamiary”.

Nie potrzebował zacny Sołtyk zrywać z nikogo maski i odkrywać zamiarów opozycyi, bo z łatwością przeniknąć się pozwalały i zresztą partya starostów bynajmniéj się z niemi nie ukrywała.

Korzystając z przydłuższéj przerwy w posiedzeniach, deputacya jeszcze raz opracowała projekt w nowéj, chociaż nie ostatecznéj — jak zobaczymy—redakcyi, i marszałek sejmu przedstawił go izbie w d. 5 grudnia.

Zaczęły się nareszcie rozprawy stanowcze.

Opozycya wystawiła ze swéj strony działa najcięższego kalibru, jakie miała do swego rozporządzenia.

Między jéj przywódcami nie było wprawdzie jawnie ludzi wielkich imion i wielkich wpływów. Żaden z obecnych wówczas w kraju magnatów nie miał dość odwagi, aby otwarcie bronić starostw wobec jednomyślnéj opinii publicznéj i większości sejmowéj. Sprawa starostów stała się tak nienawistną i wstrętną ogółowi, potrzeba ocalenia państwa była tak głęboko i tak powszechnie odczutą, że występować przeciw temu prądowi nikt z możnowładzców się nie ośmielił. Ci z nich, którzy posiadali dostateczną zuchwałość do przeciwdziałania dążnościom całego kraju, byli wtedy na obczyźnie, i pracowali już w Jassach nad wykonaniem zdradzieckich planów, lub téż pozostali na uboczu.

Bądź co bądź, prosta bezstronność nakazuje zaznaczyć, że w téj haniebnéj walce z najmądrzejszemi i najszlachetniejszemi dążeniami narodu i sejmu nie szargały się nazwiska znakomitych rodów.

Na czele zażartych szeregów kliki starościńskiéj arystokracyę zastąpiła inna potęga, a mianowicie najwyżsi dostojnicy kościoła, których większa część używała w kraju nieosobliwéj opinii!

Rzecz godna zastanowienia i smutna zarazem, gdy w pierwszym rzędzie téj falangi wstępującéj w rozpaczliwy bój z ogólnie pojętym celem ocalenia państwa spotykamy prymasa a za nim cały zastęp biskupów. Pierwszy w obronie starostów mówił prymas. Z namaszczeniem przepowiadał, że zamiast korzyści kraj tylko straty poniesie, sprzedawszy starostwa. Nazywał projekt „machiną wzruszającą spokojność wszystkich obywateli". Przedewszystkiém zaś i nagląco domagał się „usunięcia z projektu słów groźnych i zohydzających dzieła delegacyi 1768 i 1775 r." Pomimo niedawnéj porażki, wpadał w ton imponujący, grożąc, że dopóki pożądana przezeń zmiana redakcyi nie nastąpi, on na żadną deliberacyę nie pozwoli.

Po obszernéj mowie prymasa proponował Rogowski, poseł warszawski, oddanie starostw na czynsz wieczysty, mający być opłacanym w połowie pieniędzmi a w drugiéj połowie zbożem na prowiantowanie armii. Nakoniec Siwicki, największy krzykacz ze stronnictwa starostów, biadał nad „zamierzonym gwałtem" i prorokował zgubę narodowi, wołając: „*Vae sine fide genti*".

Na posiedzeniu 9 grudnia przeciw sprzedaży starostw prawił biskup lubelski, Skarszewski, ale mu daleko więcéj niż o starostwa chodziło o zabezpieczenie ustawą nadań z r. 1775, o przyznanie królowi prawa patronatu w dobrach starościńskich, oraz możności rozporzędzenia dwoma jeszczę dotąd wakującemi starostwami. Potém Rupejko, Kublicki i Krzucki, poseł wołyński, proponowali różne poprawki. Ten ostatni

chciał, aby sześć królewszczyzn na Wołyniu rozdane były między wysłużonych towarzyszów kawaleryi narodowéj w liczbie pięciu tysięcy ludzi. Mówcami zaś opozycyi byli: Kretkowski i Grabowski.

Posiedzenie sejmu 12 grudnia rozpoczął Rybiński, biskup kujawski, zalecając usilnie nie sprzedawać lecz wypuszczać starostwa na czynsz wieczysty. Był to już dobrze i oddawna przez opozycyę protegowany wniosek, który w praktyczném zastosowaniu tyle znaczył, co pozostawienie sprawy „*in statu quo*". Jednakże powracano do niego nie raz jeszcze aż do ukończenia rozpraw, zapewne chyba w braku lepszych pomysłów.

Odpowiadali mu różni zwolennicy projektu. Potém książe Jabłonowski, kasztelan krakowski, doradzał, aby się nie spieszyć zbytecznie z uchwaleniem prawa, zanim każdy szczegół nie będzie należycie rozważony i obrobiony. Na projekt w takim kształcie, jak obecnie jest przygotowany, mówca się nie zgadza, lecz przyłącza się do zdania wyrażonego przez prymasa, któremu składa powinszowania za okazaną odwagę.

Największe wrażenie na tém posiedzeniu sprawiła rozumna mowa szambelana Olędzkiego, posła żmudzkiego, który broniąc wybornie projektu deputacyi, popiérał także założenie banku narodowego podług myśli ks. Ossowskiego i w tym celu wnosił, aby zaciągnąć pięcio-milionową pożyczkę oraz do wysokości takiéj-że sumy wypuścić bilety skarbowe. Proponował téż, aby dla ułatwienia licytacyi dozwolić nabywcom, zamiast składania $^1/_{10}$ części w gotowiźnie, przedstawiać dobrą ewikcyę hypoteczną na $^1/_5$ część postąpionego szacunku i dopuścić do udziału w licytacyach poddanych zagranicznych.

Przemawiający po nim: Plater, Czetwertyński i Gutakowski powtarzali tylko lub rozwijali niektóre punkta mowy Olędzkiego.

Zdawało się, jakgdyby decyzya sejmu już była gotowa, więc w téj myśli Jabłonowski, poseł nurski, zaproponował głosowanie co do przyjęcia projektu w zasadzie, ale większość potrzebowała jeszcze wypowiedzieć przygotowane oracye i nie decydowała się na zamknięcie rozpraw. Zresztą nie mówiono jeszcze dotychczas nic o bardzo ważnym punkcie w téj kwestyi, a mianowicie o tém, czy sprzedaż starostw ma następować bezzwłocznie po wydaniu prawa, to jest za życia uprzywilejowanych posiadaczy, lub téż dopiéro po ich śmierci albo renuncyacyi? — Skutkiem tego na sesyi sejmowéj 13 grudnia marszałek wezwał izbę, aby zajęła się tym przedmiotem. Chociaż kwestya była bardzo jasna i z natury rzeczy nawet niepodobna było dopuszczać możliwości odłożenia wykonania prawa do czasu nieokreślonego, wylały się przecież nad

nią potoki elokwencyi. Leżeński przez parę godzin dowodził konieczności postanowienia sprzedaży natychmiastowéj.

Równie długo mówił król, ale po za patetycznemi tyradami, po za rozczulającym obrazem krwawéj szaty Józefa biblijnego, po za chłopami, do których z innych przyczyn [1]) się zwrócił, wysuwał powoli na pierwszy plan swoje zamiary osobiste oraz interesa starostów w miejsce interesu rzeczypospolitéj. Ostatecznie zalecał, aby sejm postanowił odbywać sprzedaże królewszczyzn aż po śmierci posesorów. Właściwym celem jego ojcowskich rad było wyproszenie sobie u sejmu możności rozporządzenia dwoma wakującemi jeszcze starostwami, za co, dogadzając próżności szlacheckiéj przyszłych nabywców dóbr starościńskich, ofiarował łaskawie zrzeczenie się prawa patronatu pozostawionego mu w tych dobrach.

Wszyscy mówcy zabierający po królu glos na téj długiéj sesyi, za wyjątkiem Zambrzyckiego i Trębickiego, domagali się, aby starostwa sprzedawać zaraz.

Wawrzecki, poseł bracławski, popiérając swoje żądanie, wykazywał znów deficyt skarbowy, zbijając jeszcze raz błędne wywody Moszyńskiego własnym jego rachunkiem. Ponieważ Wawrzecki mówił logicznie i mowa jego robiła wrażenie, więc Moszyński czuł się w konieczności próbować w krótkich słowach objaśnienia swoich wyliczeń, ale nikogo nie przekonał. Gieysztor, który był wybornym znawcą prawa publicznego polskiego, wniósł bardzo ważną poprawkę, aby w ciągu czasu gdy komisarze nadzwyczajni dopełniać będą swoje czynności, zobowiązać starostów do opłacania czterech kwart z pięciu intrat według konstytucyi z r. 1567, tych zaś starostów, którzy wbrew ustawie z r. 1736 posiadali więcéj niż dwa starostwa, usunąć zaraz z posesyi i znieść ekspektatywy.

W chęci skrócenia obrad nad tą kwestyą, Potocki, marszałek w. l., poddał myśl, aby głosować razem nad dwoma projektami, które przygotowałaby deputacya, a mianowicie jeden miał rozporządzać natychmiastową sprzedaż starostw a drugi dopiéro po śmierci posiadaczy. Pomimo usilnych starań wielu posłów, a w ich liczbie i Sołtyka, do głosowania skłonić izby nie można było.

Również bezowocnie przeszła następna sesya 15 grudnia.

Kolejno za i przeciw szły mowy różnych posłów sejmowych. Opozycya, sądząc, że na tym właśnie punkcie może coś wygrać, i widząc, że zdanie większości nie jest jeszcze dość silnie utrwalone, dobywała ostatnich sił, aby żadnéj kwestyi „*ad turnum*” nie dopuścić.

---

[1]) Wł. Smoleński. „Ostatni rok sejmu Wielkiego“, str. 139.

Chociaż więc marszałek chciał rozstrzygnąć przez głosowanie małą lecz wielce trafną poprawkę wniesioną przez Mikorskiego, posła kaliskiego, o wyłączenie ze sprzedaży królewszczyzn, nad morzem położonych, przestrzeni zajętych przez lasy towarowe i kopalnie kruszców, opozycya potrafiła znaleźć sposoby przeszkodzenia głosowaniu. Dziwny widok zmięszania i rozpaczliwych wysiłków ze strony opozycyi przedstawia przedostatnie posiedzenie sejmu, poświęcone sprawie sprzedaży starostw, z d. 16 grudnia.

Obrońcy starostów, jakkolwiek przekonali się zupełnie o swojéj bezsilności, jednakże do samego końca téj męczącéj sesyi trwali namiętnie w zapale tamowania wszelkiéj uchwały w téj materyi i jeszcze raz mogli się cieszyć chwilowym, ale bezowocnym dla nich tryumfem.

W każdym razie obraz tych dwóch ostatnich posiedzeń sejmu jest niezmiernie ciekawy i przyszły historyk naszych stronnictw parlamentarnych, chcąc wyjaśnić ich wzajemną taktykę, znajdzie tu obfity materyał do badań po rozwikłaniu chaosu sprawozdań sejmowych.

Interesujący ten przedmiot nie należy wszakże do zakresu niniejszéj pracy.

Przemawiali sami poplecznicy starostów, do których przyłączył się także jeden dezerter z większości, Zagórski, poseł wołyński. Ten zapewniał sejm, iż rzeczpospolita nie ucierpi z braku pieniędzy, jeżeli zamiast wystawienia na sprzedaż królewszczyzn nałoży na starostów jeszcze jedną kwartę a od emfiteutów każe pobiérać całkowity dochód według ostatniéj lustracyi.

W lot pochwycili tę propozycyę, niewątpliwie już poprzednio wspólnie ukartowaną, wszyscy następni mówcy i zajmowali nią izbę przez długie godziny. Matuszewicz, znany ze swoich wydanych pamiętników, poseł brzesko-litewski, mówił najobszerniéj. Jego mowa pokazuje nam jurystę, posiadającego wielką znajomość interesów, łatwość wysłowienia i niezachwianą pewność siebie, ale za to bardzo mało kompetencyi w rzeczach tyczących się skarbowości. Wszystkie projekta dla niego są złe i wszystkie krytykował, zacząwszy od ks. Ossowskiego, rozwijając wzamian za to własne poglądy, które jednak nie były nowe. Zaproponował nawet sejmowi sporządzenie przez siebie jeszcze jednego projektu, ale sejm milczał. Rozumié się, że konkludował za odrzuceniem projektu deputacyi, a w najgorszym razie wnosił, aby sprzedaż starostw następowała dopiéro po śmierci posesorów uprzywilejowanych.

Podczas kiedy tak opozycya rozpościerała się swobodnie, większość, przychylna projektowi, ani myślała wziąć udziału w rozprawach. Rozpraw już było dosyć.

Przywódcy jéj wraz z marszałkiem sejmowym starali się bezustannie o sprowadzenie wszystkich niesfornych żywiołów izby do wspólnego mianownika. Więc wciąż podsuwali im głosowanie nad zasadniczą kwestyą, przedstawianą w najrozmaitszych formach. Opozycya nie dała się nakłonić i ze swéj strony chciała poddać kilka podstępnych formuł, na które znowu wahała się zgodzić większość.

Izba rozeszła się, nic nie postanowiwszy.

Nie lepiéj się działo i na ostatniém, pamiętném w dziejach czteroletniego sejmu posiedzeniu 19 grudnia, na którém ostatecznie zapadła uchwała o sprzedaży królewszczyzn.

Niesłychanie uciążliwa sesya ta trwała od południa do godziny 4-éj w nocy. Z początku przywódcy stronnictw nie mogli się wydostać z zaklętego koła przeróżnych formuł, na które miano głosować, ale pewna siebie większość zgodziła się nareszcie na wszelki sposób postawienia kwestyi i nie zawiodła się. Projekt deputacyi, będący właściwie projektem Sołtyka, 150 głosami przeciw 57 został przyjęty i stał się prawem obowiązującém rzeczypospolitéj [1]).

Nie widzę potrzeby powtarzania znanych już nam rozporządzeń tego prawa, którego redakcya w 14 artykułach opiéra się głównie na zasadach projektu ks. Ossowskiego, lecz jak wiadomo nie obejmuje go w całości.

Jakkolwiek prawo o sprzedaży starostw było tylko częścią projektu podanego przez Ossowskiego,—to jednak uchwalenie tego prawa było wielkiém zwycięztwem stronnictwa patryotycznego. Skarb odzyskiwał ten majątek, który, będąc zawsze jego własnością, przynosił dochody tylko garstce zauszników króla lub protegowanym przez obce dwory.

Na uzyskanéj przez zwrot starostw podstawie mogła już skarbowość państwa polskiego rozwinąć się w sposób nowy a potężny.

Prawdopodobnie dalsze plany ks. Ossowskiego uzyskałyby sankcyę sejmu i weszłyby w życie.

Lecz w końcu roku 1791 nie było już na to czasu. Z wiosną stanęły w polu wszystkie siły zbrojne, na jakie zdobyć się mogła rzeczpospolita, a 29 maja sejm ogłosił limitę i nie zebrał się już więcéj.

Całą ważność projektu zrozumiemy dobrze, jeśli będziemy pamiętać, że po wszelkich wysiłkach sejm czteroletni zdołał ustanowić w r.

---

[1]) Cyfry głosów są przytoczone przezemnie z pierwszego głosowania: między propozycyą od laski (połączone projekta Sokolnickiego i Sołtyka) a propozycyą Świętosławskiego, posła wołyńskiego, (za odrzuceniem projektu). Była to bowiem kwestya główna. „Gaz. nar. i obca“ 21 grudnia 1791 r. str. 407.

1792 najwyższy budżet rozchodów skarbu rzeczypospolitéj na sumę 39 milionów złp., wedle obliczeń p. Korzona. Jak nieznaczącą była ta suma, łatwo jest przekonać się, zestawiając ją z budżetami innych państw europejskich. W tym samym czasie rozchody małego państwa pruskiego wynosiły 180 mil. talarów; Rosya obliczała swoje wydatki zwyczajne na 400 mil. rub., a rzeczpospolita francuska wydawała na potrzeby państwa blizko miliard franków!

Cóż wobec tego mogł przedsięwziąć sejm czteroletni i na co się przydały najlepsze ustawy, jakie ogłaszał, jeżeli nie postarano się o zabezpieczenie finansów przed wszelką inną reformą?

Jeszcze raz przed zalimitowaniem sejmu ks. Ossowski wydrukował swój dawny plan banku narodowego emisyjnego, p. t. „O sprzedaży starostw, wójtówstw i królewszczyzn i o banku narodowym".

Wiedział on dobrze, że wszystkie działania w celu obrony rzeczypospolitéj musiały być sparaliżowane w samym zarodzie przez brak środków finansowych. Więc jeszcze rozbudzał świadomość mężów kierowniczych narodu na sprawę najgłówniejszą.

Ale usiłowania jego pozostały daremnemi, jak równie bezskuteczną była w dwa lata późniéj podjęta przez ówczesnego bankiera warszawskiego Jana Kapostasa próba wykonania myśli ks. Ossowskiego za krótkich rządów naczelnika.

Stanisław Pyrowicz
Mag. Pr. i Adm.

Z CYKLU

„DUSZA i ZMYSŁY".

Po bezmiernym, po morskim odmęcie...

Po bezmiernym, po morskim odmęcie,
Śród lazuru niebiosów i fal
Chciałbym płynąć na pustym okręcie
W bezkresową, nieznaną gdzieś dal.

Bez załogi, bez żagli i steru
Chciałbym wiatrom na wolę się zdać,
Słuchać z tobą sennego fal szmeru
I w milczeniu z twych ustek czar brać.

I tak błądzić samotnie tą drogą,
O twe piersi oparłszy swą skroń,
I nie widzieć nikogo... nikogo,
Tylko ciebie — i niebo — i toń!

Wszystkie ziemskie zostawić tęsknoty
I ten smutek, co serce mi rwał,
Czuć na szyi pieściwe rąk sploty
I mieć jedność i duchów i ciał.

Na bezdennym, na cichym błękicie
Święcąc razem wieczysty serc ślub,
Z ciebie czerpać natchnienie i życie
Na twém łonie, u drogich twych stóp.

Dnie i noce kochaniem wyzłacać,
Wydrzéć z serca pamięci zły chwast
I źrenice z gwiazd nieba obracać
Do dwóch ziemskich promiennych mych gwiazd.

A gdy życia konała-by zorza,
Niech się okręt rozbije śród skał,
Na dalekiém na wielkiém dnie morza
W twych uściskach ja spocząć-bym chciał.

I tak z tobą — na piasków posłaniu,
Kołysany pieśniami bez słów,
Śnić przez wieki o naszém kochaniu,
Snić, że kochać zbudzimy się znów...!

Tajemnica.

Sam się swym złotym pieszczę snem,
A światu kłamię w każdém słowie;
Kto mém kochaniem, życiem mém,
Tego się z ludzi nikt nie dowie.

Maskę przez cały noszę dzień
I tylko w nocy jestem sobą,
Nie taję wtedy serca drżeń,
Serca, co rwie się wciąż za tobą!

I do twych drogich leci stóp
I w ukochane patrzy lice, —
Ach! wolę mękę, wolę grób,
Niż zdradzić życia tajemnicę!

I ty jedyna, ty mój śnie,
Co mi jak rajski kwiat zakwitasz,

Tak, jak i inni nie znasz mnie,
Nic z serca mego nie wyczytasz.

W przędziwie czarném moich lat
Będzie się snuła nić różana
I w zagrobowy ze mną świat
Pójdzie ta miłość — niewyznana!

Bo sam się pieszczę złotym snem,
A światu kłamię w każdém słowie,
Kto mém kochaniem, życiem mém,
Tego się z ludzi nikt nie dowie!

Or-Ot.



Z PAMIĘTNIKÓW

Adama Raczyńskiego,

Majora b. wojsk polskich.[1])

W r. 1824, przed samym wymarszem z pułkiem z Warszawy, otrzymałem list od matki mojéj, uwiadamiający o śmierci wuja Antoniego Brezy z Siekierzyniec, w powiecie Ostrogskim.

Śmierć ta zagadkowa nigdy nie została rozjaśnioną pomimo najusilniejszych starań ciotki Breziny, jak również poszukiwań władz policyjnych.

Nim przystąpię do opisu śmierci pana szambelana Brezy, muszę coś wspomnieć o jego przeszłości.

Ojciec Antoniego Brezy, zaraz po pierwszych objawach przygotowującéj się wielkiéj rewolucyi francuskiéj, w 1782 roku, emigrował z Francyi do Polski z dwoma dorastającymi synami i, jak było wogóle, doznał u nas bardzo serdecznego przyjęcia.

Osiedliwszy się w Warszawie, poznał się z księciem Dymitrem Jabłonowskim, starostą kowelskim, ojcem księcia Maksymiliana, a że jak powiedziałem—arystokracya polska interesowała się szczerze położenieniem przybywającéj do kraju emigracyi francuskiéj, to téż

---

[1]) Obacz „Ateneum“ zeszyt czerwcowy r. b., str. 513.

książę Dymitr Jabłonowski, poznawszy się z Brezą, wziął do serca los jego.

Brezowie należeli do arystokracyi francuskiéj, nosili tytuł „marquis", prócz tego byli jeszcze grandami hiszpańskimi pierwszéj klasy, jak się to zdarzało między dawną arystokracyą francuską, aby koniecznie posiadać kilka lub kilkanaście tytułów. Nazwisko Brezów pisało się po francusku „Dreux-Brézè".

Ojciec pana szambelana Antoniego Brezy był mistrzem ceremonii przy Ludwiku XVI, lecz kiedy w Francyi zaczęło się burzyć, wtedy mistrz ceremonii, jaśniéj widząc od drugich na co się zanosi, był niemal pierwszym emigrantem francuskim przybyłym do nas.

Książę Dymitr Jabłonowski, poprzyjaźniwszy się z francuzem, wyrobił mu jakąś synekurę na dworze Poniatowskiego, syna zaś Brezy, Antoniego, późniejszego szambelana, pomieścił w szkole kadetów. Młody Breza miał zdolność do języków, wyuczył się więc dobrze polszczyzny, był przytém bardzo stateczny, więc po skończeniu szkoły kadetów wyrobił mu tytuł szambelana, powierzywszy zarząd dóbr ostrogskich, uważając go zawsze, jakby najbliższego krewnego.

Pan Breza był staranny, zapobiegliwy, cudzego nie wziął, ale i swego nie darował, a przytém niemal skąpy, prędko więc uciułał kapitalik, za swoje zasługi otrzymał prawem zastawu w powiecie Ostrogskim wieś Siekierzyńce od Jabłonowskiego, którą późniéj darował mu na własność Maksymilian Jabłonowski, syn Dymitra; książę Maksymilian był w równym wieku z panem Antonim i jego osobisty przyjaciel.

Breza, osiedliwszy się na stałe na Wołyniu, zaczął się rozglądać za ożenkiem; bywając w Krzemienieckiém w Jaśkowcach u podkomorstwa Drzewieckich, poznał tam wnuczkę ich, starościankę Czarnecką Annę, starszą siostrę mojéj matki. Ciotka Anna po śmierci swéj matki często bawiła przy babce.

Pan Breza zaczął się starać o pannę, uprosiwszy sobie w dziewosłęby księcia Dymitra, a że był, jak mówią, „*bene natus et possessionatus*", w dodatku szambelanem króla jegomości, że miał i protekcyę Jabłonowskich, jako klient ich domu, Drzewieccy więc nie byli przeciwni temu związkowi i uprzedzili o zamiarach Brezy ojca panny, starostę Nikodema Czarneckiego. Zostawało jeszcze Brezie pokłonić się ojcu panny, którego nie znał, pojechał więc z powinnym do Stobychwy; było to już po upadku powstania Kościuszkowskiego i pan starosta stale mieszkał w swoich poleskich dobrach.

Breza nosił się po francusku, starosta zaś nie lubił tego stroju; otóż kiedy powiedziano mu w Jaśkowcach o zamiarach pana szambe-

lana, a przy tém że się wybiera z czołobitnością do Stobychwy, starosta rzekł:

— Jako szambelana, musiał go król po swojemu przebrać; otóż, jeśli w pludrach i z harcapem, to za takiego szołdrę córki nie wydam.

Breza, dowiedziawszy się o tém odezwaniu się ojca panny, znając go przytém z opowieści, że co raz postanowił, tego nie zmieniał, a czując afekt do panny, mając również na względzie jéj znaczny posag, gdyż starosta był człowiek bogaty, nie długo się namyślając, obciął włosy, miał zaś tak długie, że po ślubie ciotka Brezina z warkocza mężowskiego zrobiła sobie szynion.

Breza, prowadząc ogólne interesa Jabłonowskich, nie nadużywał swéj władzy z podwładnymi; postępował, chociaż surowo, jednak sprawiedliwie tak z dzierżawcami, jak również z włościanami, nie dając powodu do zemsty. Żył z rachunkiem, bardzo oszczędnie, liczył się z każdym wydawanym groszem, nic dziwnego, krescytywa była niewielka, a dzieci Bóg dał sporo. Było czterech synów, z których najstarszy Józef, późniéj córka Johanna, daléj Achilles, Maksymilian, Teofil, Hipolit, i córki: Tekla, Teresa i Róża, wszystkie nie wiele były starsze jedno od drugiego.

Bywaliśmy często z rodzicami w Siekierzyńcach, nas było czworo, bawiliśmy się zawsze wesoło, Józef Breza, jako najstarszy, nie liczył się do naszego grona, był już w szkołach w Krzemieńcu. Kiedy więc nas zebrało się dwanaścioro dzieci, a w niepogodny dzień nie można było biegać po dworze, to w domu powstawał nieraz taki hałas, że jedno drugiego nie słyszało co mówi, mitygowano nas wprawdzie, ale nie wiele to pomagało. Do większego hałasu przyczyniało się jeszcze szczekanie dwóch małych pokojowych piesków, które na nasze wołania: Piram!! Terror!!—przeciągle szczekały, które jeszcze w dodatku przedrzeźniała hodowana sroka, znajdująca się w klatce, w stołowym pokoju po którym zwykle biegaliśmy jedno za drugiém, trajkocząc patykami po krzesłach ze szczeblami ustawionych pod ścianami.

Najczęściéj po kolacyi, przed spaniem, w dzień zimowy, odbywały się te biegania i trajkot po krzesłach, sroka raptownie rozbudzona ze snu starała się powtórzyć go i tak się doskonale nauczyła udawania tego odgłosu, że nieraz w dzień, szczególniéj kiedy była głodna, zaczynała trajkotać i nawoływać pieski, formował się więc hałas nie do opisania, a nam się za to najczęściéj dostawało.

Przypomniałem sobie pocieszne przejście wskutek zdolności sroki wyuczania się każdego słyszanego odgłosu.

Breza ucierał zwykle nos tak głośno, że słychać go było z trzeciego pokoju; sroka wyuczyła się doskonale naśladowania pana szambelana.

Raz przyjechał ktoś do Siekierzyniec, nie pamiętam już nazwiska, w jakimś interesie do szabelana; ponieważ gość zjawił się późnym wieczorem, tego więc dnia nie widział się z Brezą, który zwykle szedł spać wcześnie.

W Siekierzyńcach był zwyczaj, że rano, kiedy służący sprzątał pokoje, otwierał klatkę sroki, która wylatywała do ogrodu, zkąd punktualnie zjawiała się w czasie obiadu, kiedyśmy już siedzieli u stołu.

Była jesień, przybyły wstał rano, poszedł do ogrodu odmawiać pacierze, kiedy naraz usłyszał w przeciwnym końcu ogrodu szambelana ucierającego nos. Chcąc załatwić jaknajspieszniéj interes, poszedł na głos, kiedy dochodził już do miejsca, ucieranie nosa dało się słyszéć w przeciwnym kierunku, zwrócił się więc i poszedł spiesznie w tę stronę, lecz i tam nie znalazł szambelana, tak to powtórzyło się kilka razy, zniecierpliwiony poszedł do domu, a spotkawszy służącego zapytał:

— Czy pan szambelan już wstał?

— Pan szambelan jeszcze śpi!—była odpowiedź.

— A któż w ogrodzie ucierał nos tak głośno, jak pan szambelan?..

— Sroka, proszę pana!

— Jaka sroka?

Dopiéro pachołek objaśnił, że to hodowana sroka, która tak doskonale naśladuje ucieranie nosa przez pana szambelana.

Breza pilnował gorliwie gospodarstwa. Zawsze przed południem wyjeżdżał na podjezdku dla obejrzenia pól. Mierzyn, na którym odbywał ten gospodarski przegląd, tak był zwykły do tych codziennych przejażdżek, powtarzających się zawsze w jednym kierunku i o jednéj niemal godzinie, że nieraz, jak rozpowiadał sam Breza, szedł bez kierowania, z powrotem zaś zwykle wielkim kłusem wbiegał na dziedziniec i zatrzymywał się przed gankiem nieściągnięty nawet cuglami.

Otóż pewnego dnia, szambelan, jak zwykle, wyjechał w pole, gdzie przeciw zwyczajowi zabawił dłużéj, nakoniec postrzeżono jeźdźca, który przyspieszonym kłusem wbiegł na dziedziniec i kiedy koń zatrzymał się na zwykłém miejscu przed gankiem, Breza zachwiał się w siodle i upadł z konia na ziemię.

Rzucono się do niego, aby go ponieść, był już martwy w téj saméj chwili dostrzeżono krew na lewéj piersi ubrania, gdzie

okazał się postrzał od kuli, która przeszyła serce, wyszedłszy na wylot przez plecy.

Że Breza nie spadł z konia w drodze, tłómaczy się to tém, że postrzał musiał go dosięgnąć w chwili kłusowania konia, a że kula przeszyła serce, śmierć więc nastąpiła momentalna, nie było przedśmiertnéj agonii rozprzęgającéj siły.

W czasie kampanii 1831 roku widziałem podobny przykład, kiedy żołnierzowi lekko rannemu siedzącemu na rowie kula armatnia urwała głowę, śmierć była piorunująca, żołnierz zaś został w téj saméj siedzącéj pozycyi, w któréj tak skostniał, że trudno było go rozprostować.

Przekonawszy się, że Breza został ustrzelony, rozpoczęto wszelkie możliwe poszukiwania w celu wykrycia zbrodniarza, jednak wszystkie usiłowania zostały bezskutecznemi, podejrzenie na nikogo nie padło. Policyi w owe czasy nie było prawie żadnéj, więc zbrodnia ta została na zawsze niezbadaną tajemnicą, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaszła tu jakaś pomyłka, lub téż być może prosty wypadek.

Wracam do mego wymarszu z Warszawy. Dywizya Krukowieckiego przeznaczoną została do zluzowania wojska stojącego w Lubelskiém. Szósty pułk, w którym służyłem, pierwszy wystąpił. Zostałem naznaczony ze swoją kompanią, jako kwatermistrz. Przyszliśmy do Kocka, gdzie miała być dniówka, przybywszy do miasteczka posłałem wachmistrza Skwarę, aby poszukał odpowiedniego pomieszczenia dla pułkownika i oficerów sztabowych.

Z początku wszystko szło dobrze, nie było oporu ze strony żydów. Przy wyznaczaniu kwaterunku, dom podrabina, stojący w rynku, okazał się najodpowiedniejszym do pomieszczenia w nim pułkownika, wachmistrz więc skierował się ku niemu, aby uprzedzić o tém gospodarza, który domyślając się zapewne, że dom jego zostanie zajęty pod kwaterunek, jako najokazalszy w miasteczku, a nie życząc tego sobie zupełnie, jak się późniéj okazało, wyszedł na próg domostwa oczekując na idącego wachmistrza, stanął w wyzywającéj pozycyi, zagrodziwszy sobą drzwi.

Kiedy wachmistrz podszedł do niego i oznajmił mu w grzeczny sposób, że chce obejrzyć dom dla wyznaczenia w nim kwaterunku dla pułkownika, żyd krzyknął:

— Mój dom jest tylko dla mnie! — u mnie niéma kwatery dla pułkownika! Ja sam u siebie pułkownik!

— To proszę iść do oficera i jemu to powiedzieć,—odrzekł wachmistrz—gdyż ja tu przyszedłem z jego rozkazu.

— Figa dla mnie wasz oficer!—Ja jego znać nie chcę! na mojém podwórku ja sam oficer!

Po takiéj odpowiedzi podrabina, wachmistrz przyszedł do mnie z raportem, kazałem żyda przyprowadzić.

Skwara poszedł z kilku żołnierzami, prosił z początku grzecznie, lecz kiedy żyd rzucił się do niego z kułakami, chcąc go uderzyć, wachmistrz pchnął go od siebie, ale że żyd był stary, więc się nie utrzymał na nogach, upadł, stłukł nos, krew się z niego ciurkiem polała; wachmistrz, że to był służbista, nie zważając na to, przywykły wykonywać rozkaz co do joty, kazał żołnierzom wziąć żyda na ręce i nieść go do mnie; żyd zaczął jęczyć głosem strasznym, jakby go ze skóry odzierano:

— Giewałt! giewałt! giewałt!!

Ponieważ był to podrabin, całe więc miasteczko zbiegło się na jego krzyk, starzy i mali, baby, bachory z ogromnym krzykiem rzucili się na żołnierzy, a poturbowawszy ich trochę, odebrali żyda. Jeszcze mu ciekła krew z nosa, wtedy każdy z żydów podbiegał do niego, maczał palec we krwi i mazał sobie nią twarz, ciskając przytém kamieniami na żołnierzy!

Zrobił się w miasteczku istny sądny dzień, cały tłum żydowski, krzycząc i rwąc na sobie odzież, rzucił się do mego mieszkania; widząc co się dzieje, kazałem wystąpić kompanii i nabić broń ostremi ładunkami; lecz w téj saméj chwili wszedł pułk do miasta, żydostwo się cofnęło, ja zaś raportowałem pułkownikowi o całém zajściu.

Żydzi zaś ochłonąwszy z momentalnego strachu przed nadciągającym pułkiem, znowu podnieśli krzyk.

— Giewałt! zabił! zabił!

Rzucili się do pułkownika, skarżąc się, że z mego rozkazu żołnierze tłukli ich kolbami i poranili.

Pułkownik Kozłowski, człowiek energiczny, ale nie zapalający się, znając mnie zdawna, był gruntownie przekonany o prawdziwości złożonego mu przezemnie raportu o całém zajściu, podejrzywając zaś, że błoto i krew, któremi byli umazani żydzi, muszą być pożyczane, chcąc się o tém przekonać, momentalnie otoczył wojskiem cały tłum żydowski, kazał podać wody w cebrach i umywać żydów po kolei, zacząwszy naprzód od samego podrabina, który udawał umiérającego, lecz zimna woda wnet go orzeźwiła.

Po wymyciu żydów okazało się, że żaden z nich nie był nawet draśnięty; wtedy pułkownik kazał im rozejść się do domów, uprzedziwszy, że wrazie uporu i nieposłuszeństwa poprosi ich o to, ale zupełnie inaczéj; zwróciwszy się zaś do dyżurnego oficera przy pułku rzekł:

— Proszę kazać ulokować moje rzeczy w domu podrabina, a przed domem postawić pułkowy kiesson.

Żydzi rozeszli się do domów, jednak nie darowali swego. Po wyjściu wojska, wysłali deputacyę do wielkiego księcia Konstantego, zanosząc skargę o gwałt, morderstwo i pobicie. Zrobila się z tego ogromna historya: dla zbadania sprawy na miejscu ustanowiona została komisya, na prezesa któréj wyznaczono jenerała Lewickiego z korpusu litewskiego, tego samego, do którego miałem list polecający od Chylińskiego przy wstąpieniu do wojska.

Lewicki był dla mnie źle usposobiony za to, że nie przyjąłem jego protekcyi, więc nie rozpatrując prawie sprawy, kazał mnie aresztować jako sprawcę całego zajścia. Wreszcie znalazłem sposobność dać znać o wszystkiém Krukowieckiemu, który został jeszcze w Warszawie, nic nie wiedząc o wyznaczeniu komisyi, ani téż o całém wydarzeniu, gdyż mój pułkownik, uznając całą sprawę za rzecz nie mającą najmniejszego znaczenia, nie raportował o tém jenerałowi. Krukowiecki w ten moment przyleciał do Lublina, gdzie stał nasz pułk, nie zwracając się wcale do panów komisarzy, sam przeprowadził najszczegółowsze badania i spiesznie wróciwszy do Warszawy, poszedł z raportem do Wielkiego Księcia, gdzie dowiedział się, że Lewicki przedstawił mnie, jako człowieka niespokojnego ducha, czego dowodem miało być moje przejście w szkole podchorążych, o którém wyżéj wspomniałem.

Z początku bardzo trudno szło Krukowieckiemu przekonać Wielkiego Księcia o fałszywém przedstawieniu mu całéj sprawy przez Lewickiego, gdyż jak już to mówiłem książe Konstanty był źle usposobiony dla Krukowieckiego, z tego powodu nie przedstawiał go nigdy ani do awansu ani téż do orderów, tak że dopiéro przed samym 1830 rokiem jenerał dostał pierwszą gwiazdę.

Wielki Książe nie mógł nie uwzględnić przedstawionych sobie przez Krukowieckiego protokółów o mojéj niewinności, stwierdzonych zeznaniem pułkownika, jak również żołnierzy mojéj kompanii; w ten moment uwolniono mnie z pod aresztu, który jednak wpłynął niekorzystnie na mój awans, — a wszystko to zawdzięczam jenerałowi Lewickiemu.

Złe usposobienie Wielkiego Księcia dla Krukowieckiego wywołane było przez niekorzystne odezwanie się o senatorze Nowosilcowie który go miał za zażartego malkontenta, zdanie to wypowiedział Nowosilcow przez złość dla Krukowieckiego, z którym miał podobno kiedyś jakieś zajście wywołane gorącym temperamentem jenerała. Chociaż i Wielki Książe nie paktował również z panem senatorem, czując do niego osobistą urazę jeszcze z czasów, kiedy książe Konstanty był adjutantem przy cesarzu Aleksandrze, jednak w niektórych razach polegał, na zdaniu pana senatora, starając się jednak usunąć go z Warszawy.

Prędko po skończeniu się mojéj sprawy z żydami z Kocka, pułk mój został rozlokowanym po wsiach w Lubelskiém. Trafiło się tak, że mój batalion stanął kwaterunkiem w majątku Żmichowskich, rodziców naszéj poetki, Narcyzy Żmichowskiéj. Do domu Żmichowskich zostałem wprowadzony przez kolegów wojskowych, Dunina i Fiszera. Dunin był już żonaty ze starszą panną Żmichowską, Fiszer zaś starał się o średnią, najmłodsza Narcyza, późniejsza autorka Gabryela, była jeszcze bardzo młodziutką.

W domu Żmichowskich bywało bardzo dużo gości, zawsze było to wyborowe towarzystwo; sami gospodarstwo używali opinii ludzi bardzo zacnych i wykształconych, cieszyli się ogólnym szacunkiem bliższego i dalszego sąsiedztwa. Sam Żmichowski był to stary żołnierz napoleoński; kiedy był w dobrym humorze, barwnie rozpowiadał o przebytych wojnach, tak żywo malując każdy swój opis, że to, o czém rozpowiadał, miało się przed oczyma. Dostałem raz prezent od starego Żmichowskiego, była to jego bojowa szpada, z którą odbywał wszystkie wyprawy napoleońskie, a mająca tę własność, że ostrzegała o tém, jeżeli noszący ją przy boku miał być rannym, co gdy miało nastąpić, zwykle w przeddzień bitwy skówka znajdująca się na końcu pochwy na szpadzie spadała.

Bardzo byłem wdzięczen za uczyniony mi dar, gdyż klinga była pyszna, Toledańska, ale aby miała przepowiadać, w to nie wierzyłem; doświadczyłem jednak téj prawdy w przeddzień bitwy pod Ostrołęką, o czém wspomnę na swojém miejscu.

Dunin był znacznie starszy odemnie, lecz z Fiszerem byłem prawie w równym wieku, zostawałem więc z nim w ściślejszych stosunkach. Konsystując tedy w majątku Żmichowskich, jako przyjaciel starającego się o pannę, byłem u nich codziennym gościem, późniéj nawet Fiszer, upoważniony przez Żmichowskich, ofiarował mi mieszkanie w oficynach.

Żmichowscy posiadali ładną bardzo bibliotekę, oprócz tego wszystkie dzieła, wychodzące wtenczas u nas, były przez nich sprowadzane, również jak i francuzkie, zwykle poważniejszéj treści.

Młodziutka panna Gabryela, chociaż chętnie podzielała nasze zabawy, jednak więcéj się zajmowała czytaniem i poważniejszemi studyami; już wtedy można było wnioskować, że kiedyś zacznie pisać.

Najbliższém sąsiedztwem był dom państwa Stanisławowstwa Boskich, mieli dwoje dzieci, córkę Ludwikę i syna Kazimierza.

Panna Ludwika była bardzo ładna, jednak w rozmowie głos jéj sprawiał bardzo przykre wrażenie na słuchającym; jeszcze w dzieciństwie zostawiona na opiece niesumiennéj niańki, chwyciła do ust jakiś

ostry przedmiot, z którym biegając tak fatalnie upadła, że przebiła podniebienie, było ono tak silne, że nie pomógł ani wiek dziecinny, w którym rany łatwo się goją, została niewyraźna wymowa przez nos. Biedna dziewczyna, wiedząc, jak przykre sprawia wrażenie swoją mową na słuchaczach, odzywała się bardzo rzadko, kiedy była zmuszona prawie do tego, widoczném było, że nawet to przymusowe odezwanie się sprawiało jéj wielką przykrość, charakter miała bardzo łagodny, była uprzejma i gościnną.

Często z Fiszerem bywaliśmy u Boskich, bawiliśmy się tam bardzo wesoło, Kazimierz Boski był w równym wieku z nami, a panna Ludwika, ładna, pomimo swego kalectwa, bardzo jednak ładnie śpiewała; oprócz tego Boski był myśliwy, więc i to był punkt, który mnie z nim bliżéj łączył; urządzaliśmy rozmaite spacery, śpiewy, piesze wycieczki i t. d., czas bardzo mile upływał.

Jadąc raz z Fiszerem do Boskich, spostrzegłem rosnącą kukuruzę, spytałem więc, czy jedzą jéj tak dużo, że taki ogromny łan jest zasadzony?—gdyż to doskonała jest potrawa, szczególniéj młoda, gotowana w osolonéj wodzie, a podana gorącą do świéżego masła.

Na moje zapytanie Fiszer się roześmiał i odpowiedział:

— Mój kochany, któżby to świństwo jadł? sadzą ją tu jedynie na karm trzody chlewnéj!

Powróciwszy, posłałem żołnierza usługującego mi, aby kupił kilkadziesiąt kaczanów kukuruzianych, byle ziarno było młode, nie przejrzałe; widocznie ze zdziwieniem słuchał mego rozkazu, nie domyślając się, co zamierzam robić z kukuruzą; po przyniesieniu kazałem ją zgotować w osolonéj wodzie, gdy była gotowa, zaprosiłem kilku kolegów na ten specyał. Śmieli się z początku, że przyjmuję ich podobną potrawą, którą karmią prosięta, lecz kiedy skosztowali przez ciekawość, podobała się bardzo Mazurom moja potrawa; późniéj już często przyrządzaliśmy sobie to jedzenie, codziennie zbierano się u mnie na kukuruzę. Podług mojéj informacyi, jak ją gotować, zaczęto ją podawać do stołu u Żmichowskich i u Boskich.

Konsystując z pułkiem w lubelskiém, odwiedzałem parę razy mego wuja, pana Konstantego Przewłockiego, który miał w tych stronach niewielką osiadłość. Przewłocki żonaty był z rodzoną siostrą mojéj matki, Zofią Czarnecką.

Wielka to była historya z ożenieniem Przewłockiego, szczegółów dobrze nie znam, wiem jedno, że Przewłocki Konstanty, służąc w ułanach, w 1812 poznał się i zaprzyjaźnił z bratem mojéj matki, Kajetanem Czarneckim, także ułanem, z którym był w równym wieku.

Po 1815 roku Przewłocki wszedł do korpusu wojsk polskich, jako major ułanów, pamiętając zaś o tém, że kolega jego, Czarnecki, ma siostrę, bogatą pannę, pojechał jako remontyer pułku na Wołyń, odwiedził kolegę Czarneckiego w Stobychwie, ten go zawiózł do Jaśkowic do Drzewieckich, i tam Przewłocki poznał pannę starościankę, która bawiła przy babce. Pan Konstanty był bardzo przystojny, przytém i mundur miał swój urok, więc bardzo podobał się pannie. Ale ponieważ nikt go nie znał na Wołyniu, skąd i kto jest, więc kiedy pani podkomorzyna dowiedziała się o jego matrymonialnych zamiarach, odmówiła stanowczo. Przewłocki jednak, będąc pewnym wzajemności panny, nie tracił nadziei, mając po swéj stronie brata panny, z którym razem hulali.

Pan Kajetan Czarnecki rozmaitemi sposobami trafiał do babki, która była prawowitą opiekunką panny Zofii, ale te wszystkie zabiegi nic nie pomogły, gdyż za każdym razem pani Drzewiecka, zaczepiona w téj kwestyi, stanowczo odpowiadała: — Nie, i nie! — postanowiono wykraść pannę, trudno to jednak było uskutecznić, gdyż czujna babka miała oko na wszystko. Przewłocki więc, niby pożegnawszy się ostatecznie, wyjechał do pułku, ale nie do pułku, lecz ukrył się w okolicach Stobychwy tak sprytnie, że pomimo rozwiadywań się pani Drzewieckiej, która w ten odjazd nie wierzyła, tajemnica się nie wydała.

Po przejściu pewnego czasu, panna Zofia pojechała w odwiedziny do brata na Polesie na parę dni, tam w ten moment zjawił się pan Konstanty i wziął ślub za przygotowanym już indultem w parafialnym Stobychowskim kościele w Nabrusce. Tego samego dnia wyjechał do mająteczku swego w Lubelskiém, a przybywszy do domu, podał się do dymisyi i osiadł na gospodarstwie.

Tymczasam pan Bóg dał dwoje dzieci, dwóch synów, starszego Zenona i młodszego Józefa, majątku zaś wcale nie przybywało, lecz przeciwnie, gdyż pan Konstanty hulał po dawnemu; już było bardzo kuso, kiedy nastąpił dział między bratem i siostrami, najstarszą Anną Breziną, moją matką i Zofią Przewłocką.

Dział się odbył, jak wyżéj powiedziałem, z krzywdą mego ojca: Antoni Breza i Konstanty Przewłocki wzięli najwięcéj. Jednak nie na długo wystarczyło Przewłockiemu to, co wziął po żonie: znaczny posag poszedł między ludzi, jak i mająteczek w Lubelskiém, nakoniec wuj Przewłocki umarł, a ciotka wyjechała do brata do Stobychwy, który osadził ją w drugim swym majątku poleskim, Werchach, gdzie też umarła.

Synowie zostali na opiece swoich krewnych, Rulikowskich, starszy

Zenon zaciągnął się do ułanów korpusu litewskiego, a Józef był w szkołach w Lublinie.

Zenon, podobny z ducha i twarzy do ojca, nie skończywszy szkół, przypasał szabelkę do boku, a ponieważ miał protekcyę, prędko więc został oficerem; oprócz tego naznaczono go remontyerem pułku, w tym celu wyjechał na Wołyń do matki, aby stamtąd prowadzić potrzebny zakup koni. Wyjechawszy raz do Łucka w interesie, poznał się tam z niejakim Zbijewskim, właścicielem Wiszenek i Nawozu w powiecie łuckim, zawiązała się między młodymi ludźmi przyjaźń.

W okolicy była jakaś zabawa, pan Zenon razem ze Zbijewskim, jako młodzi ludzie, zostali zaproszeni, na tém zebraniu była panna Chrząstowska Kamilla, córka sprawnika łuckiego od wyborów. Panna była bardzo ładna, Przewłocki, jako profesyonalny bałamut, znany z kochliwego usposobienia w pułku, że kilka razy na tydzień kochał się w coraz to nowéj pannie, szalenie się zakochał i tym razem, ale już nie na żarty, jak się pokazało. Że był chłop bardzo przystojny, a mundur ułański dodawał jeszcze wdzięku, więc pozyskał łatwo serduszko panny Kamilli. Dość, że: „przyszła kréska na Matyska".

Panna Chrząstowska była to jakaś daleka krewna Zbijewskich; bywała często w Wiszenkach, tam więc rozkochani mieli sposobność często widywać się z sobą. Przewłocki, ów sławny pożeracz serc panieńskich, został sam pożarty przez Kupida. Przerobił się na statecznego w miłości kawalera, postanowiwszy zwalczyć wszystkie przeszkody i ożenić się z panną Kamillą.

Partya to dla panny była dobra, gdyż Przewłocki, chociaż goły ułan, miał ładne koligacye, mógł przy protekcyi, jaką miał, dosłużyć się wyższéj szarży; panna zaś, chociaż nie posażna i córka sprawnika, była jednak, jak się mówi z dobrego gniazda; ale matka Przewłockiego zupełnie inaczéj zapatrywała się na tę sprawę. Dowiedziawszy się od syna, że ma stałe postanowienie żenienia się z panną Chrząstowską, uprzedziła go, że użyje wszelkich sposobów, aby przeszkodzić temu związkowi, który wedle niéj był zupełnie niestosowny. Spełniło się jednak przysłowie, że: „śmierć i żona od Boga przeznaczona".

Przewłocki, puściwszy mimo uszów słowa matki, żywo się zaprzątnął około wesela, uzyskał indult, gdyż nie miał czasu czekać wyjścia zapowiedzi z powodu wezwania do pułku. Matka, dowiedziawszy się o tych przygotowaniach, cichaczem pchnęła posłańca do Łucka do księdza biskupa, prosząc o cofnięcie indultu, gdyż nie zgadza się na ten związek syna i odmawia swego błogosławieństwa.

Ślub miał się odbyć w kościele w Wiszenkach w dzień naznaczony. Kiedy państwo młodzi ubierali się już, aby stanąć na kobiercu,

miejscowy proboszcz dał znać, że otrzymał rozporządzenie od biskupa, aby nie ważył się dawać ślubu, gdyż indult jest cofnięty wskutek prośby matki pana młodego.

Przewłocki, nie namyślając się ani chwilki, jak był ubrany, tak wsiadł w ten moment na brykę i pomknął do Łucka, przyjechawszy do miasta udał się do pałacu biskupiego, prosząc o natychmiastowe posłuchanie, niedługo czekał, wezwano go.

— Jestem Zenon Przewłocki — rzekł, wchodząc — przyjechałem błagać waszą excelencyę, aby raczyła łaskawie uwzględnić moją prośbę i odmieniła postanowienie co do cofniętego indultu.

— Nie mogę, kochanku! nie mogę, matka twoja pisze mi, że tego związku nie błogosławi. Nieposłuszeństwo rodzicom wlecze za sobą niebłogosławieństwo Boskie. Oprócz tego, jak wiem, niestosowna to dla ciebie, kochanku, partya.

— Proszę waszéj excelencyi, kiedy ja nie żenię się dla matki, a sam dla siebie. Panna jest zacna, poczciwych rodziców, więc partye są zupełnie równe.

— Tak, to tak; ale widzisz, moje dziecko, matka jest zawsze matką; ma najzupełniejsze prawo rozporządzać się swém dzieckiem. Starsi przytém mają więcéj doświadczenia, niżli młodzi; namiętność ludzi zaślepia. Pomimo najszczerszéj chęci, nie mogę ci być pomocnym i sprzeciwiać się woli twéj matki.

— Więc ksiądz biskup stanowczo mi odmawia?

— Stanowczo, kochanku!

— Kiedy tak, zawołał Przewłocki — wyjmując krucicę z kieszeni, — ponieważ nie mogę połączyć się związkiem małżeńskim z kobietą, którą kocham nad życie, to nic innego mi nie pozostaje, jak skrócić to życie! — i podniósł krucicę do skroni.

Zacny starzec zerwał się z siedzenia i jednym susem przyskoczył do Przewłockiego, a chwytając go za rękę, krzyknął:

— Czekaj! czekaj kochanku! Oto kawaler w gorącéj wodzie kąpany! Hej! jest tam który! — zawołał na służbę.

— Prosić tu do mnie księdza sekretarza! — rzekł do wchodzącego sługusa.

W parę minut po tém wszedł ksiądz sekretarz, biskup, zwracając się do niego, rzekł:

— Proszę temu szalonemu kawalerowi w ten moment napisać moje pasterskie rozporządzenie do proboszcza z Wiszenek, że pozwalam dać ślub temu młodzieńcowi i daję moje pasterskie błogosławieństwo. — Zwracając się zaś do Przewłockiego, dodał: idź kochanku za księdzem

sekretarzem i proś, aby ci ten papier prędzéj napisał, gdyż, jak wnoszę ze wszystkiego, musi ci być bardzo pilno.

Przewłocki ucałował ręce zacnego starca i w godzinę czasu po audyencyi u biskupa z formalnym pozwoleniem na ślub pędził napowrót do Wiszenek. W kilka dni po weselu pan Zenon zabrał żonę i pospieszył do pułku. Jak powiedziałem, znany był jako sławny bałamut, coraz to w innéj pannie się kochał, zrywając późniéj bez najmniejszego powodu, ot jedynie dla tego, że świeżo poznana wydawała się mu ładniejszą; tak było bez końca. Więc kiedy z żoną przyjechał, wielkie było zdziwienie kolegów, każdy chciał widzieć tę, która zwyciężyła pana Zenona, zmieniwszy go z bałamuta w stałego człowieka; odwiedzinom więc kolegów nie było końca. Ja również, znając Zenona, zapisałem się do bractwa ciekawych i wziąwszy urlop na tydzień, pospieszyłem poznać kuzynę, którą ujrzawszy, przestałem się dziwić Przewłockiemu; nie mogę powiedzieć, aby była klasyczną pięknością, chociaż rysy miała regularne, była jedynie bardzo uroczą i zgrabną.

Rozpowiadali mi oboje, że kiedy znaleźli się już na miejscu, Zenon za cały fundusz oddał do rozporządzenia żonie sto sześćdziesiąt sześć złotych i groszy dwadzieścia!—na dzisiejszą monetę było to dwadzieścia pięć rubli! — Życie wtedy było bardzo tanie, mogli się więc z tego jako tako utrzymać przez pewien czas do wzięcia lafy; oprócz tego i panna Kamilla wniosła téż kilkaset złotych posagu.

Dziś na życie idą tysiące, i jeszcze ludzie nie mogą zadowolić się tém, co mają; dużo razy myślałem nad tém, czemu dawniéj wystarczały bez porównania mniejsze sumy? i przyszedłem do tego przekonania, że chociaż mieliśmy te same wydatki, co i dziś, dawniéj jednak umieliśmy lepiéj zastosować się do naszych funduszów.

Nie przeczę, że wszystko było o wiele tańsze, nawet porównać nie można z dzisiejszemi cenami, powiém jednak szczerze, że chociaż tak niedrogo płaciło się za wszystko, jednak każdy produkt czy wyrób był w lepszym gatunku niźli dziś.

Pamiętam suknie mojéj matki: otóż materye jedwabne były tak sztywne i grube, że postawione na ziemi stały, były nie znoszone prawie, również jak polskie ubrania mego ojca, z których po jego śmierci brat mój, Ludwik, niektóre poprzerabiał dla siebie i chociaż już były noszone, po przerobieniu wyglądało jak nowe i trwało bardzo długo. Być może, iż to, co w młodości widzieliśmy, wydaje się nam z wiekiem piękniejsze i lepsze; powiém jednak z całą szczerością, że wedle mnie niéma najmniejszego nawet podobieństwa między tém, co jest, a co było; wszystko się zmieniło na gorsze, nawet i uczucia rodzinne, niéma téj braterskiéj serdeczności, która kiedyś nami rządziła, być może, że ten

nadmiar uczucia był nieraz przyczyną naszych nieszczęść; jednak ja go wolę, jako więcéj szlachetny, niźli dzisiejszy egoizm.

Wracam do moich wspomnień. Za moich czasów wiara w rozmaite upiory i duchy tak była rozpowszechniona, że nawet ulegało jéj i wojsko; słysząc opowiadania o rozmaitych strachach i pojawiających się duchach, wielką miałem ochotę zobaczyć chociażby jednego stracha; jednak nie udało mi się to, pomimo najusilniejszych starań: tak się nieszczęśliwie składało, że po moim przybyciu do miejsca, gdzie straszyło, strachy nie chciały się pokazywać.

Jak wyżéj nadmieniłem, w wojsku polskiém dużo było staréj wiary, co służyła jeszcze w szeregach napoleońskich, lub pod księciem Józefem Poniatowskim; na tych widoczny był wpływ téj ogólnéj niewiary ośmnastego wieku, zamiast któréj wyrobiło się wierzenie w strachy, gusła i zabobony, każdy z nich łatwiéj-by poszedł sam na dziesięciu żywych, niż przeciw najsłabszemu upiorowi, lub duchowi, a że tak było, miałem tego dowód na moim dzielnym wachmistrzu Skwarze, niegdyś żołnierzu napoleońskim.

Skwara raz wpadł do mnie, raportując, że u włościanina, u którego stał kwaterunkiem, co nocy coś jęczy na strychu, tocząc przytém po pułapie niby ogromne kamienie, taki jest hurkot; czasem również się zdarza, że z pułapu sypią się na izbę jakieś gnaty i to wtedy, kiedy światło zgaszone, po zapaleniu którego wszystko znika, gnaty te leżące na ziemi przy zapaleniu światła mają wygląd ni to ludzkich, ni to zwierzęcych kości.

— Powiedz mi—spytałem—czy byłeś świadkiem tego co opowiadasz? czy może słyszałeś tylko opowiadających?

— Sam, panie poruczniku, słyszałem hurkot nad pułapem, słyszałem również, jak gnaty waliły w ziemię, ale ich nie widziałem.

— Czemużeś nie poszedł na strych, aby się przekonać jaka tego jest przyczyna?

— Wedle rozkazu—miałem wielką ochotę... ale... przyznać się do prawdy, wolałbym mieć do czynienia, proszę pana porucznika, z dwudziestu żywymi prusakami, niźli z jednym upiorem!

— Skąd-że wiesz, że to był upior? — może koty biegały po strychu, łapiąc szczury?

— Nie ten hałas, proszę pana porucznika.—Ja już raz widziałem upiora, proszę pana, było to w Hiszpanii, jakeśmy przechodzili z pułkownikiem Kozietulskim przez góry Szejne morejne (Sierra-Morena), stałem w awangardzie na straconym posterunku z kilku ułanami i dwoma szwoleżerami, aż tu naraz przed nami, było już niedaleko północka,

coś w wąwozie zaszumiało po ziemi, niby stado kartaczy, ze skały wyskoczyła głowa bez tulowia, z gęby i z oczów padał na ziemię żar, później powoli głowa zaczęła się toczyć ku nam pod górę, staliśmy na wzgórku... Mróz poszedł po skórze... a że to ja jeden wierzyłem jeszcze w moc Najświętszéj Panienki, więc rzekłem zcicha: Jezus! Marya! Józef Święty!—zamknęłem oczy, aby nie widziéć upiora, towarzysze zaczęli się śmiać! żaden z nich nie widział, tylko ja jeden — otworzyłem oczy—upior zniknął. Pytają mnie, co to było,—mówię,—jeden ze szwoleżerów, który nauczył się trochę naszéj gwary, zaśmiał się i powiada: „sztuk żeziuit"—nie wiém, co to znaczy.

— Wierzę, odpowiedziałem, nie chcąc zadawać mu kłamstwa,— ale w każdym razie, proszę cię mój Skwara, daj mi znać w ten moment jak zacznie u was straszyć, niech zaglądnę temu strachowi w oczy!

— Wedle rozkazu, proszę pana porucznika!

Na trzeci dzień po téj rozmowie, około godziny dwunastéj w nocy przybiegł wachmistrz z oznajmieniem, że coś na strychu jęczy i hurkocze tak silnie jak nigdy; wyskoczyłem z łóżka, momentalnie się ubrałem i poszliśmy.

Chłopa nie było w domu, sama gospodyni, blada, wystraszona, z dwojgiem małych dzieci przykucnęła w kącie chałupy, oniemiała ze strachu.

Kazałem przynieść drabinę, sądząc zaś, że może jakiś drab zakradł się na strych w celu złodziejstwa, gdyż gospodarz był zamożny, nie chcąc dostać drągiem po głowie, kazałem zawiesić latarnię na długim kiju, z pomocą którego oświeciliśmy wejście na strych, wtedy wszedłem na drabinę, latarkę zaś w téj saméj chwili podniósł jeszcze wyżéj żołnierz, wezwany przez Skwarę gdy szedł do mnie, oświeciła ona cały niewielki strych nad chałupą, wachmistrz, który nabrał odwagi widząc mnie wstępującego na drabinę, przyłączył się do mnie, przeszukaliśmy cały strych, nic na nim nie znalazłszy. Od tego czasu przestało straszyć, widocznie strach musiał się sam nastraszyć.

Ta moja wyprawa miała dobry skutek, gdyż od téj pory, chociaż Skwara zawsze rozpowiadał o swém widzeniu w Hiszpanii, jednak zgadzał się na zrobioną mu przezemnie uwagę, że w chwili, kiedy widział toczącą się niby głowę, w tym samym momencie musiał się zapewne zdrzémnąć ze znużenia, a widziadło było sennėm widzeniem.

Później jeszcze kilka razy dawano mi znać o pojawiających się duchach i strachach, lecz ile razy wybrałem się, aby je zobaczyć, przestawały straszyć.

Nie można dziwić się, że ludzie prości często nie umieją zdać sobie sprawy ze słyszanego odgłosu pod wpływem wiary w nadprzyrodzone zjawiska, ulegając mimowolnemu strachowi; podobnego uczucia doświadczają nieraz i ludzie wykształceni, nim zbadają przyczynę niezrozumianego przez się hałasu lub szmeru; przyznam się otwarcie, że raz ze mną samym coś podobnego się przytrafiło.

Byłem jeszcze prostym szeregowcem; w liczbie patrolu, który zaciągnął na wartę do prochowni przy cmentarzu powązkowskim, byłem i ja; około godziny dwunastéj w nocy przy zmianie szyldwacha byłem postawiony na posterunku naprzeciw furtki cmentarnéj. Była tak ciemna noc, że o kilka kroków naokoło nic nie można było dojrzéć, była jesień; stałem już dość długo, kiedy zerwał się lekki wietrzyk, ponieważ nie mogłem otaczającéj mnie ciemności przebić okiem, natężyłem słuch; naraz usłyszałem jakiś dziwny szmer, niby jęk, niby skrzyp przeciągły, który dochodził mnie z cmentarza, przyznam szczerze, że sprawił on na mnie niemiłe wrażenie. W pojawianie się umarłych nie wierzę, lecz wśród ciemnéj nocy, nie mogąc zrozumiéć przyczyny słyszanego szmeru rozlegającego się w stronie cmentarza, poczułem jakiś nieokréślony lęk; musiałem użyć całéj siły woli, aby się nie cofnąć z posterunku. Po małéj chwili owładnąłem tém dziwném uczuciem i zawołałem trzykrotnie: „Kto idzie?!"

Nie otrzymawszy żadnéj odpowiedzi, nie strzeliłem jednak wedle przepisu, gdyż nikogo nie widziałem przed sobą, nie chciałem również dawać powodu do posądzeń o bojaźń; postawszy więc chwilkę nieporuszenie, jakby oczekując jakiegoś niespodziewanego zjawiska, wziąłem broń na rękę i postanowiłem podejść do miejsca, skąd dochodził mnie ten dziwny szmer.

Zacząłem zwolna iść przed siebie, nie wiedząc co ujrzę, postępowałem przejęty jakiémś dziwném uczuciem, którego ani nazwać, ani okréślić nie umiem, a które jednak parło mnie naprzód. Podszedłem do samego parkanu cmentarnego i znalazłem się naprzeciw otwartéj furtki;—wiatr wionął, furtka zaczęła się powoli zamykać od jego podmuchu, wydając żałosny przeciągły skrzyp, wtedy zrozumiałem, co było przyczyną słyszanego przezemnie odgłosu, widząc zaś teraz ruch furtki, nie dosłyszałem już tych dziwnych tonów, które słyszałem z oddali, gdym nie wiedział przyczyny pod wrażeniem ciemnéj nocy. Zamknąłem furtkę na haczyk i powróciłem na posterunek zupełnie uspokojony, czując się przytém jakby silniejszym.

Wedle mnie, częstokroć najnaturalniejsze zjawiska bierzemy za

nadprzyrodzone, kiedy nie mamy możności, lub dostatecznéj odwagi, aby dociec ich przyczyny.

Przekwaterowawszy u miłych moich znajomych, Żmichowskich, prawie cały rok, musiałem opuścić ich dom z przyczyny ponownéj translokacyi wojsk, wymaszerowaliśmy w stronę sławnego Czarnolasu, należącego niegdyś do Jana Kochanowskiego, chociaż na dłuższy czas majątek ten wyszedł z rąk Kochanowskich, późniéj znowu dostał się do familii tego samego nazwiska a kiedy pułk mój został rozlokowanym w okolicy Czarnolasu, mieszkała w nim wdowa po Kochanowskim, nie wiem jak mu było na imię, gdyż mnie to nie obchodziło. Ja z moim batalionem stanąłem w samym Czarnolesie; był zwyczaj, że gdzie wojsko zakwaterowywało na dłuższy czas, właściciel zapraszał do siebie parę razy na obiad oficerów. Otrzymałem i ja z innymi kolegami zaproszenie do pani Kochanowskiéj; poszliśmy.

Po przedstawieniu się, pani, usłyszawszy moje nazwisko, zaczęła wypytywać, z jakich jestem Raczyńskich, gdyż—jak mówiła—w młodości swojéj znała Raczyńskich na Wołyniu; powiedziałem, że ja właśnie jestem z Wołynia, syn chorążego kawaleryi narodowéj, Józefa.

— O, to ja znałam pańskiego ojca, miał proces z księciem Maksymilianem Jabłonowskim?

— Tak jest—odpowiedziałem—i najniesłuszniéj przegraliśmy go w Petersburgu, dzięki intrygom, pomimo to, że był wygrany we wszystkich instancyach.

— Wiem o tém, przyczyną przegrania procesu ja byłam, będąc *primo-voto* za Jabłonowskim. Dziś mocno żałuję mojego postępku, a ponieważ mam liczne stosunki u dworu, chciałabym wynagrodzić synowi to złe, co zrobiłam ojcu.

— Bardzo dziękuję pani za jéj dobre chęci, ale nic nigdy od nikogo nie przyjmuję; ufam tylko własnym siłom, przy mojém staraniu dojdę tam, gdzie zamierzam; nic więc od pani przyjąć nie mogę.

— Zanadtoś pan dumny, panie poruczniku, że nie chcesz nic przyjąć od osoby wiekowéj, która żałując dawniejszego postępku, złe, którego była przyczyną, chciała-by zagładzić dobrym czynem.

— Cóż robić, proszę pani!—Tak mnie wychowano—trudno zmienić to, co głęboko wpojone!

Tém się skończyła nasza rozmowa. Zaraz po obiedzie pod pozorem służby wyszedłem, a chociaż późniéj otrzymałem kilkakrotne zaproszenie, nie poszedłem więcéj. Nie mogłem darować jéj tego, że postępkiem swym nagannym pozbawiła moich rodziców ostatniego

prawie funduszu, oddając ich na pastwę niewygód, do których nie byli przywykli.

Od ludzi, dla których nie miałem szacunku, nic nigdy nie przyjąłem. Tak samo, będąc jeszcze w szkole podchorążych, poznałem jenerała Raczyńskiego, który mi powiedział:

— Czy wiesz, że jesteś moim bliskim krewnym?

— Wiem—odrzekłem.

— Kiedy wiesz, to przychodź do mnie, mam duże stosunki u dworu, to będę ci pomagał.

Nic na to nie powiedziałem, nie chcąc wyjawić, co o nim myślałem; był to człowiek przewrotny, siedzący na „dwóch stołkach". Nie poszedłem do niego wcale, unikając nawet spotkania z nim, mimo to przysyłał po mnie kilka razy, wzywając do siebie, zawsze wymówiłem się służbą; nie wiem, co się późniéj z nim stało.

Miał się odbyć wielki przegląd wojsk pod Brześciem Litewskim, ściągnięto całe wojsko polskie, korpus litewski i gwardyę rosyjską; przegląd miał się odbywać w obecności cesarza Aleksandra; zebrało się z górą sto tysięcy wojska, specyalnemu przeglądowi miała być poddana kawalerya.

Właśnie w tych czasach powrócił do kraju Wacław Rzewuski ze swéj wycieczki na wschód, gdzie był emirem jakiegoś arabskiego pokolenia pod przybraném nazwiskiem „Tadżul-Effendi", albo „Brat księżyca". Zajmował się tam hodowlą koni, będąc również dowódcą kawaleryi. Cesarz Aleksander, który go znał osobiście, chciał zasięgnąć rady w ulepszeniu organizacyi kawaleryi, jak i hodowli koni, wezwał go tedy na ten przegląd.

Znajomość cesarza Aleksandra z Rzewuskim datowała jeszcze z 1815 r., kiedy po kongresie wiedeńskim i utworzeniu Królestwa Polskiego, witano cesarza serdecznie na każdym kroku, dając bale i przyjęcia na jego cześć. Jednym z takich balów witała powracającego cesarza pani hetmanowa Rzewuska, matka Wacława, w jednym ze swych ukraińskich majątków, w Hreborówce, gdzie również miał się odbyć przegląd wojsk powracających do Rosyi.

Ponieważ w Hreborówce nie było odpowiedniego domu dla przyjęcia cesarza, miejscowość zaś dobrze się nadawała dla swego malowniczego położenia, więc pani hetmanowa umyśliła zbudować na prędce jakieś bardzo ładne schronienie, tak jednak obszerne, aby mogło pomieścić licznych gości zaproszonych. Jakoż stanął bardzo prędko drewniany pałacyk, w guście starożytnéj świątyni greckiéj, środkiem któréj była ogromna sala balowa. Była podłużna z pół łukowym sklepieniem, wybita wewnątrz glansowaną białą satyną. Wzdłuż sali z obudwu

stron szły kolumny, utworzone z karabinów, bębnów i armat, otoczone spiralnie idącym wieńcem, w braku laurowego, z dębowego liścia, od góry aż do dołu. Na ścianach w przedziale każdych dwóch kolumn ułożone były medaliony z tarcz białéj rozmaitéj broni, grotów, lanc i proporców. Między kolumnami pod ścianami stały gradusami w trzy rzędy sofeczki, obciągnięte białą jedwabną morą, ze złotemi frędzlami. W czterech rogach sali na kolumnach z różowego marmuru w pysznych bronzowych w greckim guście amforach, paliły się pachnidła. Na chórze nad wejściem do sali znajdowała się orkiestra.

Przed samém przybyciem cesarza, zerwała się ogromna burza z ulewnym deszczem, okazała się szpara w dachu, sala nie miała sufitu, dach w rodzaju kopuły wspiérał się na półłukowych arkach, woda więc przedostając się przez szparę w dachu, zaczęła spadać kroplami na posadzkę w samym środku sali, uformowała się więc kałuża. Deszcz ustał, wypogodziło się; w téj właśnie chwili, kiedy służba miała zebrać wodę, dano znać, że cesarz przyjechał, pani hetmanowa ledwo miała czas wejść na próg wchodowy drzwi, kiedy otworzyły się podwoje i cesarz ukazał się w nich w zielonym mundurze szaserów gwardyi.

Panie, siedzące na kanapkach pod ścianą, podniosły się, muzyka znajdująca się na chórze zagrała poloneza Ogińskiego.

Cesarz pocałował w rękę witającą go panią Rzewuską i rzekł podając jéj ramię do poloneza:

— *Je suis heureux de pouvoir vous assurez personnellement chez vous, madame la comtesse, de mon profond respect, que je vous porte.*

Prowadząc zaś w pierwszéj parze poloneza z panią Rzewuską i idąc około kolumn, zwracał się do stojących dam czekających kolei, aby ze swym tancerzem zająć miejsce w korowodzie tańca, kłaniając się głową, mówił:

— *Je vous en prie, prenez place s'il vous plait!—prenez place!*

Dostrzegłszy zaambarasowanie pani hetmanowéj wskutek wody znajdującéj się na środku sali, jako prawdziwy gentelmen, nie chcąc zrobić przykrości gospodyni domu, niby nic nie widząc, skręcił zlekka na miejscu i poprowadził pary idące za nim przez sam środek sali, kierując tak swą damą, że ta minęła kałużę, przez którą przeszedł cesarz.

Tańce przeciągnęły się długo w noc, cesarz już więcéj nie tańczył, rozmawiając tylko z panią hetmanową, spacerując z nią między kolumnami, wiele przy tém uśmiéchając się do młodych pań, które tak kierowały w tańcu, aby zblizka go widziéć.

Przez te kilka dni, które cesarz bawił u pani Rzewuskiéj, rozkazy

dzienne do wojska, również jak i inne rozporządzenia, były datowane z Hreborówki.

Prędko po bytności cesarza u pani hetmanowéj syn jéj Wacław, dostawszy odkosza od Mniszchówny, wyjechał do Turcyi, późniéj do Arabii, gdzie został emirem jednego z pokoleń Beduinów. Jakiemi doszedł do tego drogami, nikt nigdy nie dowiedział się: był to osobisty sekret pana Wacława; dopiéro w początkach 1822 roku powrócił ze swéj wycieczki na wschód. Ponieważ cesarz Aleksander chciał go bliżéj poznać, więc, jak powiedziałem wyżéj, został zaproszony na przegląd wojsk pod Brześć Litewski; przegląd wojsk trwał kilka dni, odbywały się przytém rozmaite manewry, przez cały ciąg których Rzewuski nieodstępnie towarzyszył cesarzowi, od wczesnego rana do późnéj nocy zawsze na swojéj sławnéj klaczy „Gazie" z pokolenia „Nedżi", która z jednakową energią chodziła wieczorem, jak z rana, wtedy kiedy cesarz przemieniał konia co kilka godzin.

Ostatniego dnia był przegląd saméj tylko kawaleryi, o organizacyi któréj, jak również o koniach pod jeźdźcami, cesarz Aleksander chciał zasięgnąć rady takiego znawcy, jakim był Rzewuski, ciągle więc zmieniał pozycyę, zajeżdżając z różnych stron. Wskutek tak szybkiéj i nieustannéj jazdy, co parę godzin przesiadał się na świéżego konia, Rzewuski zaś dotrzymywał placu na swojéj klaczy, która po całodziennéj jeździe spotniała trochę tylko za uszami; naostatek, chcąc zapewne jeszcze wyraźniéj wykazać dzielność swego bachmata, umyślnie został trochę w tyle od świty cesarskiéj. Cesarz tymczasem znalazł się daleko na przodzie, chcąc zaś Rzewuskiemu pokazać jakiś pułk huzarów, kłusujący po błoniu, obejrzał się za nim, a nie widząc go między otaczającymi, kazał adjutantowi wielkiego księcia Konstantego, Stasiowi Potockiemu, który tego dnia był dyżurnym przy cesarzu, prosić go do siebie.

Potocki wypuścił konia w kierunku, w którym dostrzegł Rzewuskiego, podjechawszy do niego na kilkadziesiąt kroków, zawołał:

— *Le comte Rzewuski!—le comte Rzewuski*!

Rzewuski, niby nie widząc Potockiego i nie wiedząc z któréj strony go wołają, osadził klacz na miejscu tak silnie, że przysiadła na tylnych nogach na ziemi, jak pies, w téj saméj chwili podniósł ją mundsztukiem tak, że przednie kopyta zawisły w powietrzu, wtedy trzymając klacz w téj saméj pozycyi, zrobił parę wolt na miejscu, pytając każdą razą:

— *Qui m'appelle?*

— *L'Empereur vous demende*!—odpowiedział Potocki.

Wtedy pan Wacław dał z miejsca ogromnego szczupaka i pomknął jak wicher w stronę cesarza. Działo się to na oczach całego wojska; nie przeczę, że koń był dzielny, jednak tak umiejętne jego użycie dowodziło niepospolitego jeźdźca.

Z pod Brześcia wojsko pociągnęło w rozmaitych kierunkach do miejsc swego przeznaczenia. Pułk mój rozlokowany został w Janowie podlaskim, do którego przybyć miał Rzewuski dla obejrzenia stadniny rządowéj i udzielenia wskazówek w jéj prowadzeniu, jak mu to polecił cesarz.

Pan Wacław, wiedząc o tém, że służę w szóstym pułku liniowym, konsystującym w Janowie, pamiętając naszą znajomość w domu wuja Proskury, zaprosił mnie do siebie i zaproponował w jego towarzystwie zwiedzić stajnię i stadninę—poszliśmy.

Oglądaliśmy wszystkie konie bez wyjątku, Rzewuski szczegółowo wypytywał zarządzającego stadniną o sposobie prowadzenia jéj i wyborze reproduktorów, dużo ganił, dając wskazówki, które zarządzający starannie notował

Konie stały w klatkach, nie wiązane. Weszliśmy do jednéj z klatek, w któréj stała znakomicie piękna klacz dwuletnia, niedawno wzięta ze stada, która ledwo kilka razy miała na sobie uzdziennicę i parę razy dopiéro chodziła na lince. A że klacz była piękna i łagodna, Rzewuski więc, lubując się nią, oklepywał ją długo głaskając, nakoniec odstąpił od niéj na krok ku tyłowi, momentalnie założywszy poły razy za pas (chodził jeszcze po wschodniemu), i nim domyśliliśmy się jego zamiaru, wskoczył na grzbiet klaczy; ta nie wiedząc, co się z nią stało, rozparła się tylko na miejscu; Rzewuski nie dłużéj siedział, jak cztery czy pięć sekund, późniéj zeskoczył na bok i znowu zaczął ją ogłaskiwać.

Zarządzający, widząc ten eksperyment, tak się przestraszył, że nie mógł wymówić ani słowa. Rzewuski zaś, zwracając się do niego, rzekł:

— U nas w Arabii początkowo tym sposobem ujeżdżają konie!

Tego dnia na tém skończyły się nasze oględziny stada, po których zostałem zaproszony na obiad przez pana Wacława; po obiedzie długo i obszernie opowiadał o życiu na pustyni, jak również o zwyczajach koczujących Beduinów, chwaląc ich, jako ludzi pełnych rycerskości, gościnnych i szlachetnych; następnie pod wpływem tych wspomnień wziął teorban do ręki i śpiéwał—słyszałem go śpiéwającym przedtém kilka razy, tym razem przeszedł sam siebie, zapewne śpiéw ten jego został natchniony wspomnieniami dalekiego wschodu, o którym wspominał zawsze z zachwytem.

Później kazał przyjść nieodstępnemu swemu Widordowi, ten śpiéwał ukraińskie pieśni, które sam układał, do których dobiérał muzykę sam, lub wespół z Rzewuskim.

Dziwnie to był miły człowiek ten pan Wacław, pociągający ku sobie prostém, ale pełném uroku obejściem, był to ostatni rycerz-poeta.

Oglądanie stada trwało jeszcze kilka dni, ale już nie brałem w niém udziału; co wieczora jednak byłem u Rzewuskiego, słuchając jego śpiewu i opowiadań o Beduinach.

d. c. n.

SKOŁY TECHNICZNE

w Anglii.

Jakikolwiek jest organizm publiczny, jakąkolwiek jest instytucya angielska, któréj badanie się przedsiębierze, wszędzie i zawsze umysł cudzoziemca spotyka zrazu przeszkody, które mu się nieprzebytemi być zdają. Dla tych, co przywykli do logicznie ukształconych, do symetrycznie rozłożonych urządzeń, do inicyatywy państwowéj, do centralizacyi władz, świat angielski, w którym wszystkiego tego niema ani śladu, robi wrażenie chaosu. Na każdym kroku spotykamy tam instytucye uklecone bezkształtnie przed wiekami bez żadnego z góry obmyślanego planu, ale odpowiadające danym potrzebom. Obok nich są inne takiéjże saméj natury, ale bez żadnéj z pierwszemi styczności, całkiem niezależne, kiedy innych równie ważnych brakuje. Gdy się idzie za hierarchicznym rozwojem instytucyi, jednych górujących nad drugiemi, uderza nas brak szczebli w téj drabinie. Nić przewodnia tak jest poplątana, że za przewodnika służyć nie może.

Ta odrębność organizmu publicznego angielskiego nigdzie nie jest bardziéj uwydatniona, jak w dziale oświaty narodowéj. Spostrzegamy tu szczerby i luki, które byłyby poprostu niezrozumiałe, gdyby się pominęło ów punkt zasadniczy, że państwo nie wkluczało jéj w obręb swych atrybucyi, lecz zostawiało troskę o nią aż do dnia wczorajszego

samemu społeczeństwu. I tak się stało, że dwie kierownicze jego klasy, arystokracya i duchowieństwo, utworzyły były jeszcze w zaraniu średnich wieków uniwersytet, że korporacye i osoby prywatne pozakładały tu i owdzie jaką szkołę, i że klerycy dawali czasami nawet naukę elementarną swoim parafianom. Nie upłynęło jeszcze trzech dziesiątków lat od chwili, gdy państwo, jako wyraz wszechspołeczeństwa, utworzyło szkółki dla ludu, dla téj demokracyi, która zdobyła już sobie równouprawnienie polityczne. Istnieje dziś wydział oświaty przy rządzie, ale nie można powiedziéć, ażeby Anglia miała ministeryum oświaty w kontynentalném słowa tego znaczeniu.

Najbardziéj zdumiewającym niedostatkiem w organizacyi szkolnéj jest całkowity brak szkół średnich, powstających z inicyatywy władzy państwowéj i będących pod jéj nadzorem i kierunkiem. Gdy przed trzema laty pisałem tutaj [1]) o szkołach średnich w Anglii, zapowiadałem bliskie przedłożenie parlamentowi billu o ich organizacyi, jako rezultatu rozległych i wyczerpujących prac przygotowawczych komisyi królewskich. Ale chociaż rząd przy otwarciu każdéj sesyi uroczyście zapowiada, że zaspokoi nareszcie energiczne i powszechne żądania społeczeństwa pod tym względem, jedna sesya po drugiéj ubiega, a sprawa ta idzie w odwłokę. Nieda się zaprzeczyć, że widocznie krajowi nie leży ona tak bardzo na sercu, jakby się zdawać mogło i że zżywszy się z oświatą średnią taką, jaką ma u siebie od wieków, nie czuje naglącéj potrzeby powierzeniapaństwu funkcyi, którą przez długie wieki sprawowało samo społeczeństwo.

Lecz jeżeli kwestya utworzenia z ramienia państwa szkół średnich, mających współzawodniczyć ze słynnemi szkołami w Eton, Harrow, Rugby etc., przedstawia nie jeden punkt sporny, nadający się przed rozstrzygnięciem do teoretycznych dyskusyi akademickich, to inaczéj rzeczy stoją z tą częścią szkół średnich, które podług powszechnie przyjętéj terminologii nazywane są technicznemi. Szkoły te przygotowują i udoskonalają rzemieślników, przemysłowców, inżenierów, mechaników, chemików, wszelkiego rodzaju specyalistow oraz kupców. Cały ekonomiczny ustrój społeczeństwa spoczywa na uzdolnieniu tych różnorodnych pracowników. Naród, który téj części wykształcenia zaniedbuje, zalega pola i dając się wyprzedzić baczniejszym sąsiadom, traci stanowisko wpływowe w świecie, do którego miałby prawo pretendować. Anglicy, na wskroś praktyczni, nie powinni byli, jak się zdawać mogło, takiéj elementarnéj prawdy przeoczyć, i właśnie dla tego, że są społecznością rękodzielniczą i handlową, rozwinąć szeroko u sie-

[1]) Patrz „Ateneum", za Grudzień 1895 r.

bie wykształcenie techniczne, które im hegemonię ekonomiczną zabezpieczyć mogło po wszystkie czasy.

Stało się jednak inaczéj wskutek różnych okoliczności, a przedewszystkiém właśnie wskutek tego wysoce praktycznego nastroju, który jest ich cechą. Anglicy byli zdania, że nie w szkole, nie przez teoryę kształcą się i doskonalą rzemieślnicy, rękodzielnicy, kupcy etc., ale przez praktykę w warsztacie, w fabryce, w kantorze. W tym celu ograniczają pobyt dzieci w szkole do krótkiego czasu i ograniczają wykład w nich do przedmiotów elementarnych, i przecięciowo w 14 roku życia chłopiec zaczyna pracować fachowo. Zostawiona mu jest swoboda do posuwania daléj swego wykształcenia umysłowego w godzinach wolnych od obowiązkowych zajęć, jeżeli czuje do tego skłonność i jeżeli ma ambicyę zajęcia w swym własnym fachu wybitnego stanowiska, ale jako regułę przyjęto praktyczne uprawianie tego działu, który się obiera jako specyalność. Jestto pozostałość po organizacyi cechowéj, która zniknęła sama, ale nakazała jako godną utrzymania zasadę przetwarzania stopniowego ucznia na czeladnika a czeladnika na majstra. Przeciwieństwo pomiędzy metodą ftancuską a angielską jest całkowite. Teoretycznie Francuz umié wiele rzeczy, o których młody Anglik nie ma najmniejszego wyobrażenia; mechanicy i inżynierowie francuscy posuwają wiedzę matematyki do najwyższych jéj gałęzi, a sława Szkoły centralnéj, politechnicznéj, dróg i mostów, górniczéj—może budzić zazdrość u sąsiadów. Ale owi patentowani inżynierowie i mechanicy francuscy, gdy bez wycieńczenia swego mózgu ukończą swój mozolny nowicyat naukowy, nie mają często wyobrażenia, jak dyrygować robotnikami w fabryce, nie znają użytku najprostszego narzędzia, potykają się o najdrobniejsze trudności materyalne. Inaczéj Anglicy: ich brak teoretycznego wykształcenia budzi pogardę u Francuza, ale o ileż ich przewyższają umiejętnością praktycznéj działalności! Przechodząc jedne po drugich wszystkie oddziały pracy ręcznéj w warsztacie, wyrabia w sobie Anglik dokładną znajomość przedmiotu, wié gdzie leżą trudności, zdąża za młodu do uproszczenia mozołu i pracy i staje się pracownikiem energicznym i dzielnym, choć teoretycznie upośledzonym.

Jeżeli aksyomat, że do praktycznego zawodu potrzeba praktycznego wykształcenia, jest słuszny, to fałszywym i niewłaściwym jego wynikiem jest, że szkoła temu wykształceniu stoi na zawadzie. Anglicy srodze pokutują obecnie za to niesłuszne lekceważenie części teoretycznéj i systematycznéj wykształcenia technicznego. Uprzedziły ich inne narody, wyparły ze swych targowisk dowóz wyrobów angielskich, wycisnęły z wielu dawniejszych rynków zbytu, zagarnęły klientelę i wstęp-

nym bojem wdarły się nawet na ich własne, domowe targowisko. Anglia przewidywać może moment dziejowy, w którym postradać by mogła to górujące stanowisko w przemyśle i handlu, na którém jéj potęga polega. Ponieważ nie jeden z narodów, które się okazują niebezpiecznymi współzawodnikami Anglii, produkuje w daleko trudniejszych niżli ona warunkach, zatém zwycięstwa swe zawdzięczać musi pewnym dodatnim przymiotom. Przedewszystkiém postawić tu trzeba lepszą i pełniejszą organizacyę szkół technicznych. Dorównać pod tym względem współzawodnikom stało się koniecznością. Raz doszedłszy do tego przeświadczenia, Anglia, można było tego z góry być pewnym, rozwinie właściwą sobie energię i dokona reformy całkowitéj, radykalnéj. I tak się téż stało istotnie. Obecnie jest ona widownią nadzwyczaj czynnego ruchu pedagogicznego w tym kierunku, starając się nagrodzić czas stracony i postawić swoją społeczność na tym samym poziomie intelektualnym, na który wzniosły się kraje postronne. Ogrom tych wysiłków może zdumieć tych, co nie oceniają jak należy ożywiającego ich animuszu i moralnego ferworu, który w tak wysokim posiadają stopniu. Wyszedłszy już ze stadyum wahania się i niepewności, Anglia stwarza mnóstwo szkół technicznych: niektóre z nich są wzorowe. Trudno ogarnąć ją jednym syntetycznym poglądem i określić ściśle metodę, jakiéj się w organizacyi szkół tych trzyma. Ilość drzew, jak mówi przysłowie, nie pozwala dojrzéć lasu. Istnieje tu zresztą właśnie ta różnorodność typów i ten całkowity brak systematycznéj jedności, które zaznaczyliśmy wyżéj.

Ażeby zainteresowany tą kwestyą czytelnik nie zgubił się w tym labiryncie, będzie—jak mi się zdaje—najwłaściwszém, przedstawić kolejno organizacyę szkół technicznych zakładanych przez państwo, następnie zależnych od władz municypalnych, a nakoniec ufundowanych przez korporacye albo przez pojedyńczych dobroczyńców. Gdy się do tak naszkicowanego obrazu, opartego na danych statystycznych, doda, dla dopełnienia całości, szczegółowy opis zakładów wzorowych, będziemy mogli utworzyć sobie jasne pojęcie o obecnym stanie wykształcenia technicznego w Anglii i przewidziéć jéj wzrost w niedalekiéj przyszłości.

I.

Szkoły techniczne państwowe.

Najważniejszym organem działalności państwa, odnośnie do szkolnictwa technicznego, jest wydział nauk i sztuk (*Science and Art Department*), którego administracya znajduje się przy muzeum South-

Kensingtonu: muzeum to założone zostało w celu edukacyjnym, spuszczanym często z uwagi obecnie, gdy się rozrosło nadzwyczajnie i utworzyło zbiory artystyczne wartości pierwszorzędnéj. Wydział nauk i sztuk nie powstał odrazu i nie miał znacznego swego uposażenia dzisiejszego. Początki jego były skromne. W r. 1837 rząd wyznaczył sumę 15.000 f. szt. na założenie szkoły rysunków w Londynie i rozciągnął w r. 1842 takie donacye do 17 szkół rysunkowych w rozmaitych ogniskach przemysłowych. W dziesięć lat późniéj rada, która temi szkołami zawiadywała, zamieniła się na wydział sztuki praktycznéj, a w r. 1856, po dodaniu do niego zakładów naukowych, utworzony został istniejący po dziś dzień wydział nauk i sztuk, w którego atrybucye wchodzi zarząd wszystkich instytucyi naukowych i artystycznych, utworzonych z ramienia państwa. Na założenie tego wydziału wpłynęła przedewszystkiém ta okoliczność, że na powszechnéj wystawie r. 1851 Anglia stwierdziła swoje zacofanie i uznała się upośledzoną przez narody ościenne. Stało się widoczném, że bez ulepszenia metod technicznych, bez odrodzenia produkcyi przez teoryę i smak artystyczny, jéj wytwórczość nie będzie się mogła rozwijać. Na państwo spadł obowiązek zapobieżenia katastrofie, która groziła ekonomicznéj przyszłości kraju.

Chociaż cel był jasno postawiony przed nowo stworzoną instytucyą, w pierwszych latach swego istnienia działalność jéj była słaba i wątła. Utworzone zostały klasy do wykładu geometryi, rysunku mechanicznego, fizyki doświadczalnéj, chemii, geologii, mineralogii i innych nauk przyrodzonych. Do tych pierwszych sześciu przedmiotów dodano z kolei inne, pokrewne, wynoszące obecnie 25 katedr w oddziale ściśle naukowym; w oddziale sztuk z początku wykładano tylko rysunek, modelowanie, sztukę ozdobniczą i zastosowania ich do twórczości rękodzielniczéj. Jak się stopniowo sfera działalności téj instytucyi rozwijała, najlepiéj wykażą dwie cyfry jéj budżetu: w 1856/7 parlament zawotował dla wydziału nauk i sztuk 64,675 f. szt., a w ostatnim 1897/8 roku suma ta wynosiła już 815,992 f. szt. Podług informacyi udzielonéj mi w dyrekcyi wydziału, suma ta prawdopodobnie podwoi się w ciągu pięciu lat przyszłych. Nie można się temu dziwić, wobec wzrostu liczby zakładów i instytucyi, które już obecnie w obręb jego weszły i daléj wchodzić będą.

Cały pierwszy peryod rozwoju szkół technicznych pozbawiony jest jednolitego kierunku. Z jednéj strony budzi się w społeczeństwie coraz większa świadomość potrzeby wykształcenia specyalnego, a świadczą o tém liczne stypendya i legaty dla uczniów, z drugiéj strony dyrekcya jakgdyby się wahała i nie zdawała sobie sprawy, jak jéj działać należy:

czy kształcić naprzód nauczycieli przyszłych, albo téż młodzież szkolną, czy organizować kursa przy rozmaitych zakładach przemysłowych, albo téż zupełnie od nich niezależnie, czy i w jakim stosunku należy jéj dozorować i zasilać funduszami szkoły techniczne, powstające tu i owdzie. Ten pierwszy okres przygotowawczy pokazuje dowodnie trudności, z jakiemi Anglicy łamać się muszą, gdy im przychodzi stworzyć organizacyę podług abstrakcyjnie pomyślanego schematu. Za koniec téj pierwszéj epoki można uważać rok 1880, gdy po wystawie powszechnéj 1878 r., stwierdzającéj ponownie rozmaite braki w wykształceniu technicznem Anglików, ustanowiono królewską komisyę do zbadania tegoż w porównaniu do istniejącego w innych krajach. Szerokie i sumienne swe wywiady komisya ogłosiła w swym raporcie z 1884 r. a jedną z głównych jego konkluzyi było położenie nacisku na organizacyę szkół technicznych. Około tego raportu wszczęła się wszechstronna agitacya, opinia publiczna uprzytomniła sobie, że 74% społeczności angielskiéj zajmuje się wytwórczością przemysłową, że w ciągu ostatnich czterech dziesiątków lat ilość rąk oddających się rolnictwu zmniejsza się z każdym rokiem, a ilość zajmujących się przemysłem wzrasta, że w ciągu lat 50 ludność Anglii się podwoi i będzie potrzebowała wtedy sprowadzać artykuły żywności za jakie 400 mil. f. szt. rocznie i że będzie cierpieć niedostatek, jeżeli wytwórczość przemysłowa nie wzniesie się i nie spotęguje, dzięki rozwojowi wiedzy. Pierwszym obowiązkiem prawodawcy jest zabezpieczenie przyszłości narodowéj. Parlament wywiązał się z tego zadania i owocem jego jest „*Technical Education Act*" 1889 r. Za daleko by mnie zaprowadziło opowiadanie historyi tego billu, którego rodzicami są *sir* Henryk Roscoe i Artur Acland, jako twórcy „s t o w a r z y s z e n i a d l a r o z w o j u w y k s z t a ł c e n i a t e c h n i c z n e g o",— słabe poparcie, jakie przez długi czas napotykał u rządu torysów,— agitacyę, na któréj czele stanęli ówczesny markiz Hartington a obecny książe Devonschiru, lord Rosebery, prof. Huxley, i nakoniec decyzyę ministeryalną i szybkie przeprowadzenie billu przez dykasterye parlamentarne w ostatnich dniach sesyi 1889 r. Jest to ciekawy a pouczający przykład trudności, jakie miała do pokonania organizacya oświaty technicznéj u narodu, któremu najwięcéj na niéj zależéć było winno. Ustawa, która ogłoszoną została, nie narzuciła krajowi jednostajnego, sztywnego regulaminu. Upoważniła ona poprostu władze prowincyonalne, rady hrabstw i municypalności do obracania części funduszów z taks lokalnych na zakładanie kursów i szkół technicznych, a jednocześnie oddawała wypracowanie programatu wykładowego dla tych zakładów oraz ogólny nadzór nad niemi wydziałowi nauk i sztuk. Ten ostatni miał tedy odtąd podwójną misyę: prowadzić szkoły, które sam założył

w stolicy przy muzeum South-Kensingtonu, i dyrygować wszystkiemi temi, które się utworzą na przestrzeni zjednoczonych królestw, a które będą się do niego zgłaszać po subsydya, modele, programaty, patenty, dyplomy etc.

Ale jeżeli *Technical Educational Act*" 1889 r. można uważać, jako „*magna charta*" szkolnictwa specyalnego, jeżeli otwierał on na rozścież wrota oświacie, dotychczas po macoszemu traktowanéj, to nie dawał materyalnych środków do urzeczywistnienia planu. Rady hrabstw mogły tłómaczyć swą bezczynność brakiem środków materyalnych, i dobre zamiary inicyatorów mogły pozostać na długo martwą literą. Szczęśliwa okoliczność zażegnała jednak to niebezpieczeństwo. Budżet 1889 r. zamykał się znaczną zwyżką dochodów, i kanclerz skarbowości, p. Goschen, nosił się z myślą obrócenia jéj na wykup patentów szynkarzy. P. Acland zaproponował przeznaczyć ją na oświatę techniczną, i niespodziewanie projekt jego wszedł w życie. Sumę 743,200 f. szt. oddano do rozporządzenia wydziałowi nauk i sztuk, ażeby uorganizował szkoły techniczne we wszystkich hrabstwach, które się doń po zapomogę zgłoszą.

Teraz nareszcie stanęło się na silnym gruncie. Kraj nabył prawa spodziewać się, że będzie mu niezadługo danėm walczyć z ościennymi współzawodnikami równą bronią. I oczekiwania te nie zawiodły. Jeżeli nie zrobiono wszystkiego, to zrobiono wiele. A rozglądając się w pokaźnych danych statystycznych, obliczając i liczbę szkół i ilość uczącéj się młodzieży, nie trzeba zapominać, że to dopiero początek, że to dopiéro dziesięć lat ubiegło od ich urodzin. Z takiego obiecującego dzieciństwa można nakreślić świetny horoskop dalszemu rozwojowi.

Jak widzieliśmy, wydział nauk i sztuk posiada w murach South-Kensingtońskiego muzeum dwa kolegia, z których jedno daje oświatę w przedmiotach z dziedziny nauk ścisłych, a drugie w przedmiotach natury estetycznéj i sztuki ozdobniczéj. Organizacya tych kolegiów da się sprowadzić do następujących rysów zasadniczych.

Królewskie kolegium nauk otwarte jest dla studentów przychodniów, szukających wykształcenia w naukach ścisłych. Program ułożony jest tak, aby wszyscy studenci otrzymali naprzód gruntowne ogólne wykształcenie, a następnie uzupełnili je specyalném, w jednéj albo paru gałęziach, którym poświęcać się zamierzają. Cały kurs, obowiązujący studentów ubiegających się o dyplom, trwa lat trzy. Kurs pierwszego roku, obowiązujący dla wszystkich studentów, obejmuje chemię, fizykę, fizykę astronomiczną, matematykę i rysunek. Przechodzi się na kurs drugi, po zdaniu egzaminu po upływie pierwszego roku studyów. Kurs drugiego roku obejmuje mechanikę, biologię, geologię oraz geometryę

opisową. Kurs trzeciego roku rozpada się na ośm specyalnych sekcyi: na mechaniczną, fizyczną, chemiczną, biologiczną, geologiczną, rolniczą, metalurgiczną i górniczą. Każda z tych sekcyi posiada co najmniéj dwie katedry i studentowi dano możność przyswojenia sobie najwyższych zdobyczy wiedzy w danéj specyalności. Każdy kurs rozpada się na dwa semestry, godziny lekcyi trwają od 10 do 1-15 i od 2 do 4 po południu z wyjątkiem soboty i środy, gdy popołudniowych lekcyi niéma. Opłatę pobiera sekretaryat od każdego przedmiotu oddzielnie stosownie do inskrypcyi studenta: wynosi ona od 1 do 13 f. szt. Ta ostatnia, niezaprzeczenie wysoka cena obejmuje laboratorya biologiczne, chemiczne, metalurgiczne, fizyczne etc. i tłómaczy się kosztownością przyrządów, materyałów i operacyi. Opłaty te zresztą są raczéj formalne aniżeli rzeczywiste, naprzód ze względu na znaczną liczbę stypendyów, a następnie przez ustanowienie niższéj raty opłat dla studentów, którzy są członkami „*Associateship*". Ci stowarzyszeni składają deklaracyę, że przez cały przebieg kursów będą słuchali wykładów w przepisanym porządku, że będą się stawiali do egzaminów i że pretendują o dyplom kolegium. Instytucya ta ma na celu ująć w karby metody naukowéj młodzież, która, rządząc się fantazyą, traci czas i siły, nie trzymając się wytkniętéj drogi: użyteczność jéj nie ulega wątpliwości. Trzeba dodać, że zarówno wykłady profesorów jak i laboratorya otwarte są dla oficerów, dla nauczycieli i dla wszystkich ludzi nauki albo bezpłatnie, albo za nominalną opłatą z tą szeroką gościnnością i uprzejmością, jaka odznacza cały świat naukowy angielski.

Królewskie kolegium sztuk uorganizowane jest podług tego samego wzoru i kształci studentów w rysunku, malarstwie, modelowaniu i rysunku ozdobniczym, niezbędnym dla budowniczych, przemysłowców, dekoratorów etc. Zbytecznêm zdaje się wzmiankować, że kolegia otwarte są dla studentów płci obojéj; *maximum* wieku, oznaczone dla kandydatów na 26-ty rok, nie jest ściśle przestrzegane. Rok szkolny rozpada się i tutaj na dwa semestry 5-o miesięczne, a lekcye trwają od 9 do 4 z półgodzinną przerwą na odpoczynek, a wieczorem od 6 do 9. Nie ma tu trzechletnich kursów, jak w kolegium nauk, i nie tylko, że nie trzeba wymagać takiego pobytu w kolegium sztuki, ale przeciwnie trzeba było pobyt w nim ograniczyć do czterech lat, po upływie których student zmuszony jest je opuścić i dać miejsce czekającym na nie kandydatom. Łatwo zrozumiéć powab, jaki ma pobyt w têm kolegium dla całéj rzeszy artystycznéj. Mają tam wyborne pracownie, obfitość modeli żyjących i nieprzebrane bogactwo martwych, objaśnienia i kierownictwo wyborowych profesorów, obfitą bibliotekę i zachowują jedno-

cześnie tę swobodę kierowania i dopełniania swych studyow, bez któréj artysta rozwijać się samodzielnie nie może. Kolegium okazuje swój liberalizm względem studentów nie tylko przez stypendya i osobiste zasiłki jednorazowe, ale i przez nadawanie nagród i premiów za prace dokonane na konkursach, przez zakupywanie celniejszych ich utworów na wystawach corocznie urządzanych.

Można mimochodem zrobić tu uwagę co do ogólnego charakteru kolegium sztuk. Metoda wykładów w niém istniejąca wywołała ostre krytyki i ma ono wielu zawziętych nieprzyjaciół w kołach artystycznych. Znaczna część czynionych mu zarzutów, nacechowanych tą gorączką imaginacyi, któréj od uprawiania sztuk pięknych odłączyć nie podobna, grzeszy przesadą. Nie można czynić kolegium odpowiedzialném za to, że nie stwarza Rafaelów i Fidyaszów. Przeciwnie wyrazić można żal, że poszło w rozbrat z istotną swą misyą i stawało się coraz bardziéj samowtórem szkoły istniejącéj przy akademii sztuk pięknych, a zaniedbywało sztukę ozdobniczą, sztukę zastosowaną do rzemiosł, do rękodzieł, do nieskończonych jéj użytków w życiu praktyczném. To wykolejenie się z właściwego toru doszło już na szczęście swego kresu. Dyrektorem kolegium sztuk świeżo mianowany został p. Walter Crane. Nazwisko to jest symbolem. Kto ma choć przybliżone wyobrażenie o odrodzeniu artystyczném, jakie nastąpiło w Anglii w ciągu ostatnich dziesięcioleci pod wpływem prerafaelityzmu i Ruskina, ten wie jaką rolę odegrał w niém Walter Crane, nieodłączny towarzysz Williama Morrisa. Pod jego energicznym kierunkiem kolegium sztuk zwróci przedewszystkiém swą działalność do pielęgnowania sztuki ozdobniczéj. Warsztaty tkanin artystycznych, kobierców, obić papierowych, rzniętych mebli, kutego żelaza, misternego złotnictwa, porcelany etc. etc. znajdą pod skrzydłem opiekuńczém kolegium wszystkie niezbędne warunki rozwoju. Zrobi ono w swym zakresie to, czego kolegium nauk od pierwszéj chwili robić nie przestawało: prawda, że miało ono w swym dyrektorze, kapitanie Abney, nietylko znakomitego uczonego i pierwszorzędnego inżeniera, ale jednego z tych uniwersalnych uczonych, jakich wyjątkowo tylko w świecie współczesnym napotkać można.

Wydział nauk i sztuk, oprócz swych własnych dwóch kolegiów, dyryguje wszystkiemi szkołami technicznemi na całem terytoryum zjednoczonych królestw, które się do niego udały po subsydya, bądź na budowę gmachów, uposażenie laboratoryów, bądź po programata wykładowe, wysyłanie do nich profesorów, egzaminowanie ich uczniów, udzielanie im świadectw i dyplomów. Nie można powiedzieć jednak, aby te szkoły były wyłącznie państwowemi, bo nieraz utrzymywane są jednocześnie przez ciała municypalne albo przez korporacye. Statystyka

ich nie daje pewności, czy się z jednemi i temi samemi instytucyami nie spotyka kilkakrotnie. W roczniku ogłoszonym przez wydział nauk i sztuk za rok bieżący znajduje się tablica porównawcza następująca, która daje możność ocenienia postępów dokonanych w epoce pomiędzy 1886 a 1896 r. co do szkolnictwa technicznego.

	Rok	Ilość zakładów	Ilość godzin wykładowych	Ilość wyegzaminowanych uczniów	Ilość przedłożonych referatów	Sumy wypłacone zakładom f. szt.
Szkoły techniczne . .	1886	1632	5862	54162	114432	73142
	1896	2439	9373	91300	132630	157916
Szkoły praktyczne przygotowawcze . .	1886	42	131	2638	3809	5132
	1896	62	269	4571	8439	10606
Szkoły uorganizowane przez wydział nauk i sztuk	1886	10	—	—	—	—
	1896	144	—	—	—	—

Niektóre punkta w téj tablicy wymagają objaśnienia.

Szkoły techniczne („*Schools of Science*") wciągnięte są do zakładów państwowych, dopiéro gdy odpowiadają pewnym nieodzownym warunkom. Powinna taka szkoła być pod dyrekcyą komitetu złożonego co najmniéj z 5 administratorów i miéć wykwalifikowanych profesorów. Warunek ten ma w Anglii doniosłe znaczenie praktyczne, gdyż wielu ludzi pozbawionych wszelkich kwalifikacyi naukowych i pedagogicznych otwiera szkoły średnie pod nazwą „*grammar schools*", albo szkoły techniczne, gdzie wyzyskuje bezczelnie rodziny uczniów, wywołuje skandale i kompromituje sprawę oświaty. Daléj, zanim szkoła techniczna zaregestrowana zostanie, powinna co najmniéj istniéć od dwóch lat i liczyć co najmniéj stałych 20 uczniów, pobierających naukę w godzinach dziennych: ten ostatni warunek ma na celu wyróżnienie szkoły technicznéj od kursów wieczornych, istniejących przy szkółkach elementarnych i przy niejednych zakładach przemysłowych dla robotników w nich zatrudnianych. Program wykładów w szkole technicznéj musi stać wyżéj od końcowego kursu szkół elementarnych, poświęcać nie mniéj jak 13 godzin tygodniowo naukom ścisłym, oprócz godzin poświęconych matematyce. Każda szkoła winna posiadać laboratorya chemiczne i fizyczne. Ażeby skutkiem przepełnienia klas nie szwankował postęp uczniów, liczba ich nie może przewyższać 40,

a w laboratoryach ograniczona jest nawet do 25 pracujących pod nadzorem profesora-asystenta. Zasługuje także na uwagę przepis, że żaden uczeń nie może otrzymać dyplomu i być przypuszczony do końcowego egzaminu, jeżeli nie posiada znajomości przynajmniéj jednego obcego języka.

Wszystkie powyższe warunki świadczą, że szkoły techniczne, których szybki wzrost dawał powód do podejrzeń, że zaimprowizowana ich organizacya zostawia wiele do życzenia, lekceważone być nie powinny: posiadają one wszystkie warunki do normalnego rozwoju.

Taki sam nadzwyczajnie szybki wzrost szkół artystycznych miał miejsce jednocześnie. Mam tu na myśli szkoły znajdujące się tak samo pod dyrekcyą kolegium sztuk, jak powyższe pod zwierzchnictwem kolegium nauk, i przygotowujące techników w innych nie mniéj ważnych specyalnościach. W 1896 r. istniało 275 szkół o 55 gałęziach i liczyło 56175 studentów, 1540 klas liczących 99,018 uczniów, 62 szkół przygotowawczych liczących 4,759 uczniów, 873 szkół wieczornych gdzie 40.459 uczniów ćwiczyło się w rysunku. Nie trzeba także spuszczać z uwagi, że w 20,161 elementarnych szkółkach 2,250,070 dzieci pobiera naukę rysunku. Ponieważ każda z tych szkół otrzymuje pieniężne zasiłki od wydziału nauk i sztuk po przedłożeniu referatów piśmiennych i prac dokonanych przez swych uczniów, zatém leży w interesie dyrektorów i komitetów nadzorczych, ażeby uczniowie czynili jaknajwiększe postępy. W 1896 r. zasiłki dla szkół technicznych artystycznych wzniosły się były do pokaźnéj cyfry 253,983 funt. szt.

Ogólna liczba uczniów, pobierających naukę w szkołach technicznych obu gałęzi znajdujących się pod zwierzchnictwem wydziału nauk i sztuk, podana jest w roczniku za rok bieżący jak następuje:

	w Anglii i Walii	w Szkocyi	w Irlandyi	Ogółem
Ilość uczniów sztuki. . .	113.954	14,525	3,808	132,287
Ilość uczniów nauk ścisłych	129,817	24,043	4,124	157,984
				280,271

280,271 młodzieży płci obojéj pobierającéj wykształcenie techniczne w zakładach znajdujących się pod zwierzchnictwem i nadzorem państwa, a to w kraju, który niedawno jeszcze nie brał w niém udziału i uważał całą tę sprawę za nienależącą do jego atrybucyi: oto rezultat istotnie niespodziewany.

II.

Szkoły techniczne municypalne.

Biorąc pod uwagę, że Anglia jest klasyczną ziemią samorządu i że każda część kraju, każda miejscowość niełedwie jest ogniskiem samodzielnego, odrębnego życia, wyrażającego się w instytucyach odpowiadających potrzebom miejscowym, można z góry przyjąć za pewnik, że szkoły techniczne przedstawiają tam typy różnorodne. Tak téż rzeczy się mają istotnie i utrudnia to wielce ich zbadanie. Jak się trafnie wyraził p. Llewellyn Smith, specyalista w kwestyach pedagogiki i oświaty, szkoły średnie w Anglii, a przedewszystkiém szkoły techniczne czynią wrażenie kanalizacyi prowadzonéj bez żadnego systemu, wytwarzającéj kanały bez ujścia, bez powiązania jednych z drugiemi. Na całéj przestrzeni kraju inicyatywę do tworzenia szkół technicznych podejmowały osobistości prywatne, bogaci mecenasi i filantropi. Zdumienie ogarnia na widok olbrzymich wysiłków przez nich podjętych i olbrzymich rezultatów, jakie osiągnęli, Nie ma nikogo tą kwestyą się interesującego, którył nie znał instytucyi mierniczych Birminghamu, Manchesteru, Liverpoolu, Bradfordu, Leeds, Edinburga, Glasgowa i t. d. Jak łatwo zrozumiéć, zakłady te powstające z inicyatywy indywidualnéj nie trzymają się jednolitego systemu. Po większéj części ich założyciele musieli łamać się z trudnościami, ażeby sama myśl szkoły technicznéj została przyjętą przez ich współobywateli. Fabrykanci, przemysłowcy i rzemieślnicy żywili do nich nieprzyjazne uczucia, uważając że nie teoryi, ale praktyki trzeba dla pracującéj pod ich kierunkiem młodzieży. Silnie uorganizowane stowarzyszenia robotnicze—*Trade's Unions*—które całą organizacyę pracy pragnęły wziąć w swą rękę, patrzały także nieprzychylnie na szkoły techniczne, których interwencya rewolucyonizowała istniejący w nich dotychczas sposób przygotowywania uczniów i czeladników. Trzeba było nie małych zachodów, aby te opozycye złamać, i jak to powiedzianém było wyżéj, świat wytwórczy angielski wziął się do szkolnictwa technicznego dopiéro, gdy tysiące praktycznych dowodów i przykładów wskazało mu, że się mylił i że dąży do swéj własnéj zguby, zaniedbując wykształcenie specyalne klas wytwórczych.

Ale były i innego rodzaju przeszkody. Niejeden zakład założony przez dalekowidzących ludzi przeszedł dwie fazy regularne: naprzód wielki napływ uczniów żądnych oświaty, a następnie stopniowy ich odpadek, który tu i owdzie do zamknięcia instytucyi doprowadził.

Takie niepowodzenia spotkały, między innemi, słynne przedsięwzięcia d-ra Birkbeck'a w pierwszéj połowie naszego stulecia. Powód był zawsze jeden i ten sam: uczniowie, pragnący pobiérać techniczne wykształcenie, nie posiadali żadnego elementarnego i przy braku takich przygotowawczych żywiołów spostrzegli niebawem, że szkoły techniczne nie przynoszą im oczekiwanych korzyści. Dopiéro obecnie, gdy system szkółek elementarnych uorganizowany jest na całéj przestrzeni kraju, gdy puścił już korzenie na gruncie narodowym od blisko trzech dziesiątków lat, gdy po nad szkółkami elementarnemi utworzone zostały szkółki wieczorne posuwające o jeden stopień wyżéj kursa wykładowe, dopiéro teraz szkoły techniczne znaleść mogą i istotnie znajdują kandydatów, co z ich wykładów korzystać mogą. Należy także dodać i tę okoliczność jeszcze, że Anglicy przezwyciężyli swój wstręt dawniejszy do egzaminów wstępnych i że obecnie nie przyjmują do szkół technicznych uczniów, którzy nie udowodnią, że posiadają należne wykształcenie przygotowawcze.

Skoro nakoniec szkoły techniczne zostały uznane za potrzebę pierwszorzędną narodową, to wolno było spodziéwać się, że municypalności poczują się do obowiązku swego pod tym względem. Dość jednak będzie zdać sobie sprawę, że każda municypalność w Anglii jest ciałem indywidualném, samodzielném, ażeby zrozumiéć, że nie mogły zająć względem szkolnictwa technicznego jednolitéj postawy. Są miasta bogate i są ubogie, są wielkie ogniska przemysłowéj działalności o wyrobionéj specyalności, a są inne, gdzie się wytwórczość nie skrystalizowała w pewnéj formie, są municypalności postępowe, idące z prądem czasu, a są inne w jakim zacofanym zakątku kraju, gdzie jeszcze ruch ożywczy się nie ujawnił. Wszystkie te okoliczności zewnętrzne, a często inicyatywa wybitnych osobistości, stojących na czele administracyi municypalnéj, wpłynęły stanowczo na jéj działalność. Dość będzie przytoczyć przykład Birminghamu. Gdy p. Józef Chamberlain był tam municypalnym „królem," municypalność, która zresztą miała do rozporządzenia swego znaczne sumy z fundacyi króla Edwarda, dała bezprzykładny popęd oświacie technicznéj i powstały tam jedne po drugich takie wzorowe instytucye, jak *Mason's College of science*, jak szkoła municypalna techniczna i szkoła municypalna sztuk.

Ale samo się z siebie rozumié, że nie można tak nadzwyczajnych wysiłków spodziéwać się od wszystkich miast prowincyonalnych. Wiele z nich nie miało w swym etacie żadnych funduszów na szkolnictwo. Kulała więc cała ta gałęź działalności municypalnéj aż do r. 1888, gdy utworzone zostały rady hrabstw. Instytucye te uorganizowały sa-

morząd prowincyonalny i ujęły całe życie danego hrabstwa w systematyczne karby. Rozwijanie oświaty znalazło w biurach szkolnych tych rad swoją sferę. Zawcześnie byłoby jeszcze rozpisywać się o tém, co już one zdziałały. Wogóle municypalności, gdy nie zakładają szkół technicznych samoistnych, dają roczne zasiłki tym, które już znajdują się w jego murach. Duże były potrzeby na gmachy, na laboratorya, na biblioteki, i rady municypalne bądź same, bądź w porozumieniu z radą hrabstwa, starają się je zaspakajać. Znajduję w książce p. Fryderyka Dolmana „Municypalności a dzieła" [1]) wykaz zasiłków udzielanych przez pięć municypalności na wykształcenie techniczne i na biblioteki oraz muzea w r. 1894

Birmingham	wydał na pierwsze	7.080	a na drugie	16.990	f. szt.
Manchester	„	17.935	„	27.217	„
Liverpool	„	12.744	„	15.714	„
Bradford	„	5,330	„	5.813	„
Leeds	„	6.345	„	6.842	„

Są to już sumy pokaźne i można pojąć, że szkoły techniczne podtrzymywane przez municypalności i zasilane jednocześnie przez wydział nauk i sztuk mogą rozwijać się pomyślnie. Przedewszystkiém jednak, polegają one po większéj części na funduszach swych założycieli i orędowników, a ofiarność angielska pod tym względem rywalizuje z amerykańską. Obok wielkich sum, składanych corocznie i regularnie przez fundatorów, znajdują się drobne subskrypcye w coraz większéj liczbie, napływające od warstw robotniczych, od dawniejszych wychowańców szkół i t. d. Te datki pokazują, jak głęboko te szkoły weszły już w użycie społeczeństwa, i pozwalają spodziéwać się, że municypalności coraz bardziéj podtrzymywane będą przez swych obywateli w ofiarności dla szkół.

Najbardziéj typową i najbardziéj interesującą jest jednak działalność municypalności Londynu w zakresie szkolnictwa technicznego. Samo się przez się rozumié, że gdy jest mowa o municypalności stolicy, nie trzeba pod tą nazwą rozumiéć lorda-majora londyńskiéj *City* i zgromadzenia sheryfów i aldermanów. To sławetne ciało jest specyalną własnością *City* i stanowi organizacyę średniowiecznych korporacyi, które przetrwały do dziś dnia i zachowały niejeden ze swych tradycyjnych przywilejów. O téj municypalności reszta Londynu, jako całość, nic nie wié i wiedziéć nie chce. Gdy będzie niżéj mowa o szkołach technicznych, ufundowanych przez ciała korporacyjne i przez jednostki, spotkamy się z zakładami, i to pierwszorzędnéj nawet wartości, które

[1]) Municipalities at work, London, Methuen, 1895.

zawdzięczają swój byt *City* londyńskiéj. Ale gdy się mówi o municypalności, to się przez nią rozumié rady hrabstwa londyńskiego, ciała ukonstytuowanego przez wybory całego, blisko 5-cio milionowego grodu, i z którego jedynie anachronicznie administrowana *City* jest wykluczona. Rada hrabstwa londyńskiego, zagrzana demokratycznym duchem, zwróciła baczną uwagę na szkolnictwo wogóle, a szkoły techniczne w szczególe. Zaledwie wyszedłszy z niemowlęctwa i rozpoznawszy grunt swéj działalności, rada municypalna w kwietniu 1892 r. ustanowiła komisyę do rozpoznania potrzeb Londynu pod tym względem i dała jéj na początek sumę 30.000 f. szt. Była to drobna tylko suma, bez zaprzeczenia, ale zapowiadała nową erę i zrywała z tradycyą, która troskę o szkolnictwo techniczne zwalała na towarzystwo dobroczynności (*Charity Commission*), albo na korporacyę *City*, w których interesie leżało ono więcéj aniżeli w czyjémkolwiek innémm. Z tego drobnego jądra wystrzeliła w krótkim przeciągu lat rozgałęziona organizacya o czerstwéj żywotności. Utworzone wtedy przy radzie hrabstwa londyńskiego biuro oświaty technicznéj znalazło się w tém rzadkiém położeniu, iż mogło systematycznie i jednolicie powołać do bytu całkiem nowe instytucye. Ale nawet to biuro, które słusznie nazwane zostało ministeryum oświaty Londynu, nie zaniedbało posługiwać się już uprzednio istniejącemi szkołami, klasyfikując je i dopełniając. Pierwszym jego krokiem było zbadanie, w jakich warunkach wypada mu dawać zasiłki i zapomogi zakładom szkolnym, znajdującym się pod kuratelą wydziału nauk i sztuk, gdyż oczywiście one stały na wyższéj stopie rozwojowéj, aniżeli czysto prywatne. Postawiono jako niezbędną kwalifikacyę do zapomogi municypalnéj, ażeby szkoła techniczna miała dyrekcyę jawną i kolektywną, w któréj atrybucyach leżałaby nominacya profesorów i dozór ścisły nad zakładem, gdyż nieraz się zdarzało, że jaki specyalista, założywszy szkołę, wytwarzał następnie pozorną dyrekcyę będącą biernem narzędziem w jego rękach. Postanowiono daléj, że profesorowie szkół technicznych powinni mieć stałą pensyę, za któréj regularną wypłatę dyrekcya była odpowiedzialną, i że nie mieli powodu oglądać się na subsydya udzielane po egzaminie szkolnym przez wydział nauk i sztuk, oraz przez biuro oświaty technicznéj, i które to zasiłki stawały się własnością szkoły, jako takiéj. Postawiono za zasadę, że liczba uczniów w klasie pod dozorem nauczyciela nie powinna przewyższać 20, i że szkoła powinna posiadać laboratorya, pracownie i dawać istotnie praktyczne wykształcenie uczniom. Biuro takie ciągle miało na oku, ażeby udzielano oświaty nietylko młodzieży szkolnéj, ale czeladnikom i rzemieślnikom już praktycznie pracującym, i tym to najszczodrzéj udzielane są stypendya. W ostatnim raporcie

rocznym biura oświaty technicznéj za rok szkolny 1897 i 1898 podana jest cyfra 20 szkół, których uczniowie otrzymali stypendya 20 f. szt., a 30 szkół, w których takież stypendum udzielone zostało czeladniczéj i rzemieślniczéj młodzieży, oraz 100 mniejszych stypendyów, 5 f. sz., dla téjże klasy społecznéj.

Na każdym kroku biuro oświaty technicznéj okazuje, że mu idzie o praktyczne wykształcenie młodzieży. Wymaga od nauczycieli wykładających w klasach jakikolwiek proceder, ażeby sami byli w nim biegli, ażeby umieli posługiwać się narzędziami, i do tego rodzaju klas nie są przyjmowani amatorowie, ale jedynie ci, którzy w tym danym procederze już pracują, albo pracować będą. To praktyczne kształcenie w szkołach technicznych w krótkim czasie zniweczyło niechęć, jaką pierwiastkowo uczuwali do tych „teoretyków" majstrowie i dyrektorowie warsztatów, a zrobiło z nich gorliwych stronników tychże szkół. Były liczne przykłady, że majstrowie, widząc jak 14-o letnie chłopcy umieją pracować w stolarstwie, tapicerstwie etc., ofiarowali im odrazu zarobek dorosłych robotników, a wszyscy uznają, że robotnicy wychodzący ze szkoł technicznych nieporównanie szybciéj umieją przyswoić sobie zwykłą robotę, zrozumiéć w czém leżą trudności, i jak je pokonać, aniżeli ci, co żadnego ogólnego wykształcenia nie pobiérali.

Była wyżéj uczyniona wzmianka o stypendyach udzielanych przez biuro wykształcenia technicznego. Jest to istotnie jedna z najważniejszych kwestyi, gdyż daje poniekąd możność kierowania wyborem zawodów odpowiednio uznanéj potrzebie społecznéj. Biuro daje rocznie 600 drobnych stypendyów dzieciom ze szkół elementarnych, nie liczącym jeszcze lat 13 i których rodzice nie mają więcéj jak 150 f. szt. rocznego dochodu: stypendyum to wynosi tylko 10 funt. szt. i trwa co najwyżéj przez półtrzecia roku. Chociaż nie wysokie, stypendya te oddają wielkie usługi uboższym rodzinom tém bardziéj, że stypendyści otrzymują bezpłatnie książki i narzędzia, i uwolnieni są od opłaty obowiązkowéj przy egzaminach. Znaczenie edukacyjne tych stypendyów polega przedewszystkiém na tém, że stanowią łącznik pomiędzy szkółkami elementarnemi a technicznemi. Drugą kategoryę stypendyów stanowią te, które wynoszą (oprócz książek, przyborów piśmiennych narzędzi, instrumentów i t. d.) 25 i 35 f. szt. rocznie, i udzielane są młodzieńcom od 16 do 18 lat wieku, którzy są przedstawiani jako kwalifikujący się do takowych przez szkoły przygotowawcze. Trzecią i ostatnią kategoryę stypendyów, wynoszącą 90 f. szt. rocznie otrzymują, młodzieńcy uczęszczający do centralnego kolegium technicznego, albo ci, którzy wysłani są do uniwersytetów zagranicznych. Liczba ich wynosi wprawdzie dotąd tylko pięć, ale jest kilka-

naście innych w wysokości 50 f. szt. i w obec pomyślnych rezultatów, jakie prace tych stypendystów dają, biuro wykształcenia technicznego otrzymało już obietnice od zamożnych obywateli Londynu, że złożą na jego ręce kapitały na tego rodzaju stypendya. Obawa przeciążenia czytelnika niniejszéj pracy wstrzymuje piszącego od rozszerzenia się nad stypendyami dla szkół artystycznych, dla szkół przygotowujących służących, ogrodników etc. oraz dla nauczycieli, którzy ubiegają się o stopnie naukowe. Cały ten kanał, którym biuro wykształcenia technicznego stara się zadaniu swemu odpowiedziéć, uderza swym racyonalnym układem i, gdy będzie miało większe kapitały do rozporządzenia, nie pozostanie mu, jak iść daléj po wytkniętéj drodze bez żadnéj zmiany kierunku.

Przejść teraz należy do szkół technicznych, które municypalność Londynu przez swój organ urzędowy, t.j. biuro wykształcenia technicznego, podtrzymuje regularnie, i do tych, które są w całkowitéj od niego zależności. Rozmiary téj działalności edukacyjnéj wyrażają się w jednéj zastanawiającéj cyfrze: jest 109 zakładów wykształcenia technicznego, które municypalność podtrzymuje albo utrzymuje! Pierwsza forma, w jakiéj się ten pomocniczy udział ujawnia, jest posyłanie do niższych instytucyi uczniów, za których biuro uiszcza wszelkie potrzebne opłaty i wydatki. Zauważyć należy, że wielu ze stypendystów biura wykształcenia technicznego przysłani są do instytucyi założonych przez korporacye *City* a fakt ten wskazuje, że nie ma najmniejszéj niechęci, najmniejszych uprzedzeń pomiędzy organizmami tak odmiennéj natury, jak korporacye i gildye, a rada hrabstwa londyńskiego. Myśl taka nie powstałaby nigdy w głowie praktycznych Anglików. Nie troszczą się o to, kto szkołę założył, a jeżeli ona jest tak doskonała, jak większa część tych, które ufundowane zostały przez bogate korporacye, to jest widoczną oszczędnością posyłać tam swych wychowańców, zamiast zakładać szkoły na własną rękę, a nawet, gdy to im uczynić przychodzi, biuro wykształcenia technicznego nie lubi czynić tego bezpośrednio, ale woli powierzyć założenie szkoły jakiemu towarzystwu, albo parafialnéj władzy téj lub owéj dzielnicy miejskiéj (*Vestry)*, a potém dopiero wziąć jéj finansowe ciężary na swoje barki. W téj długiéj liście 109 zakładów szkolnych znajduje się ośm kategoryi.

Do pierwszéj należą trzy kolegia uniwersyteckie (*Bedford*, *King's* i *Uniwersity College)* i dziesięć politechnik, z których kilka przynajmniéj może być uważanych za wyższe zakłady naukowe. Sumy udzielone im przez biuro wykształcenia technicznego w ostatnim roku szkolnym 1897/8 wynosiły 35,711 f. szt.

Do drugiéj kategoryi należy sześć instytutów technicznych dla specyalnych gałęzi rzemieślniczo-przemysłowych, jak: budownictwa, rymarstwa, fabrykacyi mebli, drukarstwa, litografii, fotografii etc.

Do trzeciéj należą dwie szkoły centralne sztuk i rzemiosł całkowicie utrzymywane przez wspomniane biuro wykształcenia technicznego, a do czwartéj 11 szkół sztuki, którym udzielono w ostatnim roku szkolnym 5,669 f. szt. zasiłku.

Do następnych kategoryi należy 17 instytutów technicznych o mieszanych wykładach naukowych i artystycznych. Szkoła botaniczna, 47 szkół średnich, które kosztują biuro wykształcenia technicznego (zawsze w formie zasiłku, zależnego od liczby uczniów i pedagogicznéj wartości szkoły) 21,921 f. szt., i nakoniec 12 szkół kształcących w ekonomii domowéj i wszystkich wchodzących do niéj działach.

W sferze wyższéj oświaty i kolegiów uniwersyteckich finansowy udział biura wykształcenia technicznego miał na celu ulepszenie ich pedagogicznéj wartości przez otwieranie, rozszerzanie i wzbogacanie laboratoryów i pracowni oraz organizacyę dodatkowych katedr i wykładów. I tak *University College* posiada teraz wzorowe pracownie dla mechaniki i inżenieryi, *Bedford College* otrzymało laboratorya botaniczne i fizyologiczne, etc. Z inicyatywy i funduszów biura wykształcenia technicznego otwarte było przy tych kolegiach w ostatniém półroczu ośm kursów, każdy o 20 wykładach udzielanych wieczorami przez znakomitych profesorów i specyalistów w wyższéj matematyce, mechanice, elektryce, fizyce doświadczalnéj, architekturze. Wykłady te są zawsze połączone z praktyczną pracą i doświadczeniami w laboratoryach. Uorganizowało ono nakoniec specyalne wykłady w sobotę, t. j. dzień, w którym wszystkie zakłady szkolne są zamknięte, a znajdują się pomiędzy temi wykładami takie, jak: „o wytrzymałości materyałów,” „o cieple,” „o prądach magnetycznych,” „o fizyologii praktycznéj” etc.

Największe znaczenie dla oświaty technicznéj mają tak zwane politechniki albo instytuty politechniczne. Gdy powstało biuro oświaty technicznéj, było ich w Londynie sześć. Obecnie jest ich jedenaście. Chociaż zakłady te zawdzięczają swe powstanie bądź prywatnym ludziom, bądź stowarzyszeniom, bądź nakoniec biurom parafialnym (*Vestry*), to zamieścić je można w tym dziale, a to ze względu na udział finansowy, jaki w nich municypalność bierze. Istotnie w roku ostatnim wydział nauk i sztuk t. j. państwo wydało na politechniki 29,650 f. szt., a rada hrabstwa londyńskiego prawie taką samą sumę, bo 28,119 f. szt.

Gdy czytelnik spotyka się z nazwą politechniki, nie powinien myślić o żadném porównaniu z paryską szkołą politechniczną ani téż ze słynnemi zakładami w Niemczech albo Szwajcaryi. Zakres politechnik angielskich jest nader szeroki, wielce rozmaity, ale różniący się od owych typów. Gdy badamy ich organizacyę i gdy się nieraz dziwimy ich programatom naukowym, nie należy spuszczać z uwagi tego ważnego względu, że Anglia nie posiada szkół średnich państwowych, gdzieby klasa średnia i warstwy uboższe społeczeństwa kształcić się mogły, i że politechniki z początku postawiły sobie za cel niedostatkowi temu zaradzić, dając sposobność téj młodzieży zostawionéj saméj sobie dopełnienia swego wykształcenia tam, gdzie jego brak uczuwać się jéj dawał. Dopiéro następnie i stopniowo zrodziła się myśl wciągnięcia w obręb powyższych szkół tych technicznych wykładów, których potrzeba okazywała się naglącą. Ten brak systematycznego planu pierwotnego nie przeszkadza, ażeby obecnie te szkoły średnio-techniczne nie oddawały społeczności prawdziwych usług. Obecnie w murach politechnik londyńskich udzielane bywa teoretyczne i praktyczne wykształcenie we wszystkich działach chemii i fizyki, począwszy od najelementarniejszych do najwyższych stopni, przy pomocy laboratoryów zaopatrzonych w najdoskonalsze przyrządy; biologia, botanika, fizyologia, zoologia i wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych tak samo, jak mechanika i elektryka, wykładane są równie starannie i zawsze zmierzając do uzdolnienia uczniów do praktycznych zawodów. W oddziale sztuki uczniowie pobiérają wykształcenie w rysunku, malarstwie i modelowaniu, snycerstwie, ze specyalném uwzględnieniem rysunku przemysłowego. Jednocześnie są tam wykłady obcych języków, matematyki elementarnéj, literatury, geografii i historyi, t. j. przedmiotów wchodzących w zakres szkół średnich. W dodatku niektóre politechniki mają jeszcze dział ekonomii domowéj dla kobiét i dziewcząt i uczą je szyć, krajać, prać, prasować, gotować i t. d. Program taki zdawać by się mógł już pełnym, ale biuro wykształcenia technicznego nie uznało go za taki i wprowadziło do niego cały dział rzemieślniczy. Uczą tedy tam ołownictwa, tynkarstwa, strycharstwa, mularki, ciesiołki, stolarki, meblarstwa, rzeźby na drzewie, tapicerstwa, drukarstwa, piekarstwa i t. d. Do kursów teoretycznych tych rzemiosł, połączonych z pracą ręczną, przypuszczeni są czeladnicy i uczniowie odnośnych zawodów. Z początku zdawało się śmiesznem ogółowi, żeby piekarczyk albo powroźnik mógł się czegoś użytecznego nauczyć w swym fachu w politechnice, ale, jak rzeczono już wyżéj, rezultaty okazały się tak dodatnie, tak niezaprzeczenie i jaskrawo dodatnie, że uprzedzenia pierzchły i obecnie nie ma gałęzi rzemieślniczéj, któraby

się nie dopominała o otwarcie wykładów w jéj specyalności. Nie znalezienie uczniów wprowadza dziś w kłopot te zakłady naukowe, ale znalezienie dla tych najrozmaitszych wykładów miejsca w swych gmachach, a potrzebują go wiele, gdyż każde rzemiosło wymaga warsztatów i nieraz nawet oddzielnych budowli.

Łatwo pojąć, że zakład szkolny o takim encyklopedycznym programacie roi się ruchem i życiem. Chłopcy i dorośli mężczyzni, dziewczęta i kobiéty napływają tam tłumem, a ponieważ rozmaite wykłady i prace trwają tam od 8-éj z rana do 10-éj godziny wieczorem, ponieważ przy każdéj politechnice są zawsze szkoły gimnastyczne, często szkoły pływania, wykłady muzyki, kursa śpiewu, tańców i t. d., zatém taka wielostronna działalność wymaga całego zastępu profesorów, nauczycieli, majstrów etc. Administracya nie jest atoli skomplikowaną i uderza w niéj brak dozorców i inspektorów: władze ufają rozsądkowi i osobistemu interesowi uczniów i ta taktyka samorządu szkolnego nie zawiodła położonéj w niéj ufności. Każda politechnika znajduje się pod zwierzchnictwem jednego dyrektora (*Principal*), który ma przy sobie dla pomocy radę złożoną z szefów każdego specyalnego oddziału. Dziewczęta i chłopcy uczęszczają, podług amerykańskiéj metody, wspólnie na kursa, i nie ma powodu do najmniejszych skarg na takie urządzenie.

Rozwój tych instytucyi jest jednym z najciekawszych fenomenów życia angielskiego i jest wskazówką przewrotu, jaki się dokonał w wyobrażeniach i tendencyach społeczności. Pomiatali teoretycznem wykształceniem dopóty tylko, dopóki nie obznajmili się z jego użytecznością. Obecnie ruch w tym kierunku panuje prawdziwie gorączkowy Nowo powstające politechniki nie stają na zawadzie dawniejszym a przeciwnie podbudzają je do energiczniejszéj i szerszéj działalności. Każda z nich staje się ogniskiem miejscowego życia intelektualnego. Wzrost nowo otworzonych pięciu politechnik w ciągu czterech lat ostatnich jest prawie niepojęty. Piszący, który był członkiem komitetu zajmującego się organizacyą politechniki w południowo-wschodnim Londynie (*Chelsea*), może mówić o tém z osobistego doświadczenia. Kosztorys gmachu wynosił 40,000 f. szt. Zaledwie lord Cadogan podarował na ten cel grunt wartujący 10,000 f. szt., składki posypały się szczodrze i piękna politechnika stanęła obok biblioteki publicznéj otworzonéj od lat kilku. Dwa lata upłynęły od otwarcia politechniki, a już jéj za ciasno w swych murach i zarząd odwołał się do rady hrabstwa londyńskiego i do publiczności, ażeby mu dostarczyły 12,000 f. szt. na wzniesienie nowych skrzydeł. I tak samo dzieje się w poli-

technice sąsiadującéj z *Chelsea* dzielnicy Battersea, wybudowanéj jednocześnie a zmuszonéj przystępować do budowli nowego amfiteatru i dodatkowych warsztatów.

Zakres działalności politechnik dąży do ciągłego rozszerzania się i do wciągnięcia nowych czynników składowych do swéj organizacyi. W chwili gdy kreślimy rzecz niniejszą, wyrabia się plan utworzenia politechniki dla młodzieży przeznaczającéj się do kupiectwa i handlu a prawie całkowicie pozbawionéj dotychczas środków naukowego przygotowania do swego zawodu. Nie ma wątpliwości, że tu szkoła techniczna znajdzie takie natychmiastowe powodzenie, jak otwarta od trzech lat szkoła ekonomiki i nauk politycznych. Znajdując się pod dyrekcyą profesora W. A. S. Hewius, wzrasta z każdém półroczem, a jéj wykłady statystyki, organizacyi dróg żelaznych, paleografii etc. pozyskały sobie rozgłos równie szybki, jak zasłużony.

Jak dalece te szkoły techniczne odpowiadają potrzebie mieszkańców Londynu, pokazuie najlepiéj liczba ich uczniów. Kilka przykładów wystarczy. Szkoła techniczna stanowiąca część składową téj słynnéj instytucyi „*People's Palace*" w najuboższéj dzielnicy miejskiéj, Whitechapel, otwarta została w 1888 r. i liczyła odrazu 3,000 uczniów, a w dwa lata późniéj, w 1890 r., liczba ta wzrosła do 10.000! Instytut politechniczny na „*Regent Street*", najdawniejszy z tego rodzaju zakładów w Londynie, który przed kilku laty, gdy ruch edukacyjny był mniéj rozwinięty, groził upadkiem, liczy obecnie do 12,000 uczniów na swych rozmaitych wydziałach. Politechnika w *Chelsea*, otwarta dopiéro od lat dwóch, o któréj szybkim wzroście uczyniona była wyżéj wzmianka, miała w ostatniém półroczu na dziennych lekcyach 870, a na wieczornych 3,162 uczniów.

Nie można wątpić, że działalność municypalności londyńskiéj, manifestująca się przez jéj organ, biuro wykształcenia technicznego, tchnęła nowego ducha w takowe. Nie jest ona bez zarzutu co do organizacyi w niejednych podrzędniejszych względach, ale pominiętemi być mogą tutaj. Najgłówniejszém jest nadzwyczajna jéj kosztowność. Budżet oświaty technicznéj na rok przyszły wynosi już nie mniéj, jak wspaniałą sumę 150,000 f. szt. Jest łatwém do przewidzenia, że będzie wzrastał z każdym rokiem i powtórzy się z téj okazyi ten powszechnie stwierdzony fakt, że w miarę jak kasa państwowa albo municypalna bierze na siebie finansowe utrzymanie instytucyi, słabnie i wysycha ofiarność indywidualna, która uprzednio o nią się troszczyła.

Tablica pokazująca wydatki municypalności londyńskiéj od utworzenia biura wykształcenia technicznego aż do roku bieżącego obejdzie się bez wszelkich komentarzy.

Przedmiot	Rok 1893/4 f. szt.	Rok 1894/5 f. szt.	Rok 1895/6 f. szt.	Rok 1896/7 f. szt.	Rok 1897/8 f. szt.	Razem
Wydział techniczny w politechnikach	1,000	11,494	23,230	26,679	27,313	89,716
Idem w szkołach średnich	—	9,105	14,049	35,573	20,236	78,965
Idem w szkołach wyższych	—	1,500	2,000	2,000	5,000	10,500
Stypendya	732	5,805	14,449	21,405	26,159	68,553
Wykształcenie w sztuce .	600	4,587	10,374	12,890	13,784	51,882
Technologia i prace ręczne	126	2,520	3,232	3,765		
Ekonomia domowa . . .	491	2,548	2,257	3,738	6,010	15,048
Wykształcenie handlowe .	—	—	250	1,150	1,200	2,600
Muzea techniczne. . . .	—	—	—	—	475	475
Szkoły techniczne specyalne	130	877	1,600	2,784	10,609	16,001
Wydatki na administracyę	1,446	3,559	5,115	5,547	6,953	22,622
Razem funtów szt. .	4,528	41,998	76,559	115,532	117,744	356,364

Przebiegłszy organizacyę i skreśliwszy obraz obecnego stanu szkół technicznych zależnych od państwa i od municypalności, nie wyczerpany został jeszcze przedmiot. Pozostaje jeszcze zapoznać czytelnika z zakładami ufundowanemi przez korporacye cechowe oraz przez prywatnych ludzi, a ta część przedstawi prawdopodobnie żywszy interes, gdyż pozwoli z schematu abstrakcyjnego przejść do funkcyonowania oryginalnych i w pełni rozwoju znajdujących się instytucyi.

(Dok. nast.). *M. E. Trepka.*

DEPUTOWANY.

Obrazek galicyjski z roku 1850.

Już od wschodu słońca schodzili się ludzie do Bartusiowéj chaty. Jaki taki odkrywał głowę, ocierał usta dłonią lub połą płótnianki i wchodził do izby, żeby popatrzéć na trupa, zmówić pacierz i podumać. Czulszego serca kobiéty zawodziły głośno i monotonnie recytowały lament, zaczynający się od rytualnych słów: „O! już ty nieboraczeńku nie będziesz więcyl" prała, międliła, opałała i t. d., zależnie od tego, która z gospodarskich czynności więcéj przemawiała do tkliwości mówcy. Ludu zgromadziło się pełno w chałupie, w sieni, na podwórzu, a dzieci zaglądały trwożne przez otwory podartego płotu. U wrót chaty leżał na przyzbie zwinięty w kłębek, czarny, zmizerowany pies i wodził po przybyszach smętném okiem, jakgdyby pytając, po co ich tu tylu przyszło. Przy węgle uwiązane cielę uwikłało się tak we własny powróz, że padło skrępowane na ziemię — jakiś chłopak z odkrytą głową wypadł z za węgła i począł je odmotywać z téj niespodziewanéj sieci, gdy nagle chwycił się za ciemię i wrzasnął okropnie. Przybiegli ludzie, skoczyło ciele z pęt uwolnione i z zadartym ogonem czmychnęło w pole, pies szczeknął i przypadł do wyrostka, któremu tymczasem dobyto z czupryny osę, przyczynę bólu i wrzasku. Zamęt mniéj przyzwoity w takiém miejscu wszczął się na podwórzu i w chałupie. Nagle ktoś krzyknął zza płotu:

— Cicho tam!

Zwrócili wszyscy oczy ku drodze i ujrzeli chłopa w krakowskiéj rogatywce, w błękitnym „żupanie,” o twarzy pełnéj, rumianéj, wygolonéj starannie, prócz wąsów, które też, wbrew modzie ubieszyńskiéj, niepodstrzygane, stérczały mu nakształt rozwichrzonych krzaków. W całéj postaci tego człowieka widać było wielką zamożność i świadomość téj zamożności, pewność siebie, nadętość i jakąś podsędkowską wielmożność. Ni podstarości, ni to włódarz—zawsze jednak figura odrzynająca się od białego tłumu współobywateli. Stał za wrotami, a przy nim chuda, biała, czarnooka kobiéta, z miną wykolejonéj zakonnicy, lub kota, gdy głaskany patrzy zézem na gruszę za wróblami. Ta była w czarnym kaftanie, kilka sznurów korali wisiało jéj na piersiach; białe oszywki rękawów od koszuli, obramione koronką, wywinęła na rękawy kaftana, niby manszety. Takiż kołnierz u koszuli wyłożony na wierzch; spódnica czerwona i czarne trzewiki na nogach.

— Cicho! cicho!—powtórzyła pokornie gromada, zobaczywszy, skąd pochodziło wezwanie.

— Taż to nie politycznie nawet, taka kałamancya przy umarłym, —mówili niektórzy.

— Deputowany, deputowany—szepnęli sobie inni na ucho.

Jakoż wkrótce zrobiła się cisza; ludzie stojący przed chatą odkryli głowy i czekali przybysza w milczeniu i z pokorą.

Deputowany nie spieszył się wcale. Stanął na drodze i laską roztrząsał wióry od trumny, wyrzucone na znak, że w tym domu jest trup. Po chwili zażył tabaki, zadzwonił donośnie w wielką granatową chustkę do nosa i posunął naprzód, a za nim żona, spuściwszy głowę i błyskając od czasu do czasu z podełba na gromadę, jakgdyby badając dokładność i szczerość oznak uszanowania, oddawanych jéj i mężowi.

Deputowany nie pozdrawiał nikogo, nie witał się z nikim, nie uważał na postawę zgromadzonych, wszedł do chaty w czapce, bąknąwszy:

— Chwalany!—i odkrył głowę dopiéro nad trumną.

— Na wieki!—mruknęły głosy.

On zaś, stojąc w nogach trumny, sapnął głęboko na znak wzruszenia, spędził muchy z czoła ruchem, który mógł być wzięty za przeżegnanie się, kiwnął głową, patrząc w nieboszczkę—po chwili przeszedł w głowy trupa, zadumał się, kiwnął głową, sapnął znowu i obrócił się do Bartusia. Wdowiec miał już zwilżoną twarz i wąsy, nie trzymał się prosto na nogach i co chwilę przeciérał oczy.

— A panie Podolcu! Pombóg wam to wynagrodzi, żeście się nie zbarali opatrzyć nieboszczki,— mówił ściskając w obu rękach wilgotną dłoń deputowanego i zniżając się mu do kolan.

— Pombóg nam dał takie reglama w zakonie, — rzekł Podolec, odchrząknąwszy—żeby umarłych odwidzić, a cysarz Franc szał pichotą za jednym tragarzem. To i ja przyszał na pogrzeb, a i moja także, choć ta ma w chałupie różne klinikajty do roboty — zwieczajnie, jak koło chałupy.

— Ha! niech wam ta Poniezus wynadgrodzi z wysoczyńkiego nieba, żeście ta nie pogardzili — mówił Bartuś, rozczulony zaszczytem i wódką. — A możebyście się tak napili... jedne... po starym obyczaju?.. hę? Święte to były obyczaje, co to nasi ojce więc więc jich sie trzymali, to i my ta stare przykazanie obserbujmy. Panie deputowany, do was!

Nalał cynową kwaterkę, wypił, splunął, i napełniwszy ją migiem, podał Podolcowi, mówiąc płaczliwie:

— A ta nieboszczyńka ni może ju wypić ani puchwatyrka... już ona nic nie mówi, ino ręce ma złożone, giembę zapartą i do Pana Jezusa poziera... oho! już i pary z ni nie puści! To my się za to napijma, kiedy się ta jeszcze palentamy po ty grzyszny ziemi... Za ji duszyczkę... Zdrowie!

Ale Podolec się żachnął:

— Co nie idzie, to nie idzie, — tak mówił zawsze cysarz Franc, i dobrze mu było na świecie. Nihdy nie piół przy liajchu, ino szał do kantyny, jak se chciał chrobaki zalać w żołędziu. To i ja piół nie bede przy ty święty ji pamięci.

— A! już mi tego nie zrobicie; a! żebym nie wiedzieć co miał robić, to się musicie napić ze mną! Wszyćkie samsiady, krewne i znajome i z dalsza i z bliższa piły ze mną, a wy byście gardzili! Ha! mój somsiedzie najlepszy! ha nasz ojcze! nasz deputowany! tego mi ju nie zrobicie!

Oczy mu poczerwieniały, na strzyżonych wąsach osiadła rosa, a kiedy wymowy zabrakło, błagał go oczyma. Wreszcie z pijacką determinacją zawołał:

— A jak tak, to niech bedzie i tak! O joj! czemu ni ma być tak! Mam tu flaszczyne gorzaliny, to ją stłukę i gorzałkę wyleje—wy nie chcecie pić, to i nicht nie bedzie piół. Nie wam, to i nikomu. O joj! czemu nie?

Chwycił zza pieca flaszę graniastą, przynajmniéj trzylitrową, i zamierzył się rzucić o ziemię. Ale prędszy niż błyskawica deputowany

wyrwał mu ją z rąk. Zapewne obfitość treści usposobiła go inaczéj, bo zmięknął i zaczął łagodnie.

— Ależ sąsiedzie! kumie! nie o to idzie, żeby nie pić, ino o to, co idzie, a co nie idzie. Bo to ono nihdy nie trza pić przy umarłym. To ta jakby my sie radowali, że umar, a Poniezus nie kazał tak. Bo ja to wszyćkie befele i reglama Pana Jezusa znam i co stoi w dastamyncie i czego ni ma, co to i ksiądz lepi nie potrafi.

— Be! toż to kuždemu wiadomkiem, — mruknęły głosy z kątów izby.

— Ta! choć ta ono wy i niby uczony, i z książki umicie, i przepraszać tak rekuratnie, że to wielgiego trza kaznodzieje, żeby w to utraciół — rzekł Bartuś - ale wy ta mną nie pogardzicie, biédaczkiem, sierotą... tu wzniósł ręce do góry: —Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba!

Opuścił głowę i umilkł, ociérając wąsy rękawem, a Podolec tymczasem pieścił miłosném spojrzeniem i uściskiem wielką graniastówkę.

— Wiécie co?—przemówił — chodźma chieba do sieni i żeby ji duszyczke janieli wzieni.

Podolcowa uśmiéchnęła się z zadowolenia, słysząc ten rym mężowski, a już całkiem pokraśniała, kiedy ludzie po kątach zaczęli szeptać do siebie:

— Jakie to układy ma nasz deputowany!

— Ho ho! co to za głowa!

— I taki przy umarłym nie chciał pić!

— Bo to ino proste ludziska tak robią, głupie ludziska, przez żadnego rychteru w głowie.

— Tać to prawda, że tak jakby my sie cieszyli z tego, że umarła.

— A bo co to z głupiem narodem gadać!

Podolcowa udawała, że nie słyszy, ale choć zajęta rozmową, chciwém uchem łowiła te słodkie słowa i połykała je wdzięcznie, jak specyały.

Nagle jakiś drzémiący w kącie człowiek wrzasnął:

— Z cysarzem gadał!

— Prawda! z cysarzem gadał, powtórzyli inni.

— Pańskie skasował.

— Tak je! pańskie skasował—powtórzyły echa.

— Ej! to cysarz skasował, wtrącił ktoś nieśmiało.

— Be! cysarz; ale z czyi porady, jak nie z jego?

— Juści, że z jego, nie z czyi inkszy.

— Cóż to, cysarz ni ma swoi głowy, cy co?—poderwał opozycyonista.

Pytanie było nieco za trudne, więc milczenie zaległo izbę. Wszelako niedługo urlopnik jeden, widoczny po białym „kabacie" z mosiężnemi guzikami, znalazł odpowiedź.

— Abo to cysarz może wszyćko widzieć, co się w jego kraju dzieje, cy co? Abo to jego kraj je taki, jak moje, abo wasze mizeractwo, co to wy se obejdziecie cy miedzą, cy brózdą, cy drógą? A taki tak jeszcze wam złodziéj szkode zrobi, udrze co, wypasie, abo i zabierze co w nocy—i tak go nie dopilnujecie. A cysarz? Co on dobra ma, to żeby całe życie jeździół i co noc w inkszych dobrach nocował, toby ich wszyćkich nie objechał i za sto lat.

Wyciągnęły się głowy ku stojącemu pod piecem mówcy, i wnet dyskusya zeszła na opisywanie cesarskich dostatków. Jedni mrużyli oczy i z miną świętoszków połykali ślinę, inni wzdychali, lub dziwili się, mówiąc: Mocny Boże! jedna osoba i tylo ma dobrów. Wszakże jeden starzec, który był aż na Kalwaryi za Przemyślem i widział wsi i ludzi nie mało, rzekł pełen niedowierzania:

— Ba! kiedy wszędzie ludzie były biédne i pod obuchem! To jakby to cysarz o tém nie wiedział.

— Ej! bo wy sie na tém nie rozumiécie — mówił urlopnik. — To pany cyganiły a mataczyły, że wszędzie je dobro, a żadnego człowieka nie dopuściły do cysarza, ino go pilnowały wszędzie. Przecie cysarz Franciszek to sie za dziada przebiérał, abo za żyda i chodziół po kraju.

— I patrzcie—mówił filozof, stary Czeszyk — za tyle dobrów cysarz ni mógł sie prawdy dowiedzieć, hej hej!

— Bajno! Jaż Podolec dostał sie do cysarza. Już ta pany są i śpekulanty, a on jich het oszwabiół i był jeszcze większy śpekulant.

Zaczém oburzenie na „panów" i politowanie nad smutnym losem monarchy wzmagało się. I tak rozmawiali, stojąc biali jak stado gołębi, pod czarnemi ścianami dymnéj chaty. Przez małe okienko, o uszkodzonych i zbrukanych szybach, wpadał żółty słup światła słonecznego wprost na głowę nieboszczki. Leżała Bartusiowa w białym czepcu, w koszuli i fartuchu z surowego płótna, z rękami złożonemi na piersiach. Twarz wyżółkła i pomarszczona, w obramieniu szpakowatych włosów i desek sosnowych, nabiérała w blasku słonecznym barw roztopionego wosku. Oczy zapadły w głąb, tylko z pod prawéj niedomkniętéj powieki przeświecał połysk lodowatéj źrenicy.

Trumna spoczywała na dwu poprzecznych ławach, pod któremi leżała na niezamiataném klepisku równa żytna słoma, jaką się podściela trupom. Wieko wsparte o ścianę wydawało się białe. Na niém krzyż, niezgrabnie węglem naczerniony, poglądał złowrogo na obecnych. W izbie

czarnéj, jakgdyby szmeleowanéj przez dym, w otoczeniu białych płótnianek mężczyzn i białych chust kobiet, w żółtym blasku słońca, po którym igrały ozłocone pyłki kurzu, ciało wyglądało dziwnie ponuro i strasznie. Płomyk lampki w głowach żółkniał i błękitniał na przemiany, trzaskając i skwiercząc. Duszno było w chacie; woń topniejącego wosku i płonącego tłuszczu obciążała atmosferę i robiła ją ckliwą i nieznośną.

Powoli ludzie wysuwali się do sieni, gdzie Bartuś już po raz setny ściskał Podolca i powtarzał: „Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba”, i zawracał oczyma, i wznosił ręce, i kręcił głową. A Podolec żegnał się nabożnie, oblizywał się, pił i dopowiadał:

— Żeby ta duszyczka wysłużyła się jak najprędzy u Pana Jezusa! Zdrowie kumie!

— A niech ta i wam da Poniezus jak najlepi, co se ino umyślicie. Pijcie zdrowi!

Wychylono. Podolec zaproponował:

— Jeszcze jeden.

— Jeszcze dwa.

Znowu wypito, i znowu Podolec przemówił:

— Źle samemu na świecie. Co dobre, parą chodzi.

— Pijcie zdrowi!

— A jeszcze jeden? Boh w Trojci probuwaje, jak mówią Rusiny.

— A niech wam ta Poniezus da tyle w dziesięcioro.

— A wasze zdrowie kumie? Tażeście ostali gdowiec i sierota niby ten ułymny, abo jaki krypel, co to je przez ręki abo przez nogi.

— Oj! święte wasze słowiczeńka. Już ta nicht taki głowy z układami ni ma, jak wy, panie de-do-du-da-putowany.

Ślinił się chłop, ocierał rękawem wąsy i oczy, a język już mu kołkiem stawał.

— A wasze dzieci? — mówił nieprzebrany w pomysłach Podolec. Taż ta nieboraczątka ostały przez matki, te biedne sierotki, pęczuszki, chrobaczki, niby jakie ciele, co to go odsadzili i ono je przez kapeczki mléka.

— Oj to to!—krzyknął Bartuś i obrócił pijane oczy dokoła—sierotyńki moje, parobki jedyne, dziewki mizerne; oj loboga, loboga, co ja poczne z wami? I ryknął przeraźliwie.

Wszyscy stali w milczeniu, szanując boleść tak usprawiedliwioną, a wdowiec patrzył w koło iskrzącém, choć błędném okiem, aż dojrzał za progiem wyrostka, w brudnéj koszuli, rozchłestanéj od wierzchu, przez którą przeglądał brzuch obwisły.

— Tomek! jucho sobacza!—krzyknął—a pudziesz tu! Chyć pana Podolca za rękę, pana de... do... da... pana krzesnanka, za takie śliczne słowa, a unor mu oddej! słyszysz? Ty psia skóro bycza!

Przyszedł malec, jak dziki zwierz do klatki, ucałował tłustą rękę Podolca, otworzył usta, włożył w nie palec i w téj kontemplacyjnéj pozycyi pozostał, poglądając wytrzeszczonemi oczyma to na ojca to na deputowanego.

— U mnie—krzyczał Bartuś—dobre słowo piniądze warta. Co to piniądze? Więcyl niż piniądze, niż złoto, niż śrybło!

Bił się w piersi i patrzył w koło wyzywająco. Ale Podolec daléj poglądał na flaszkę zakochanym wzrokiem.

— A wasza biedna chudobyńka?—mówił—chto ją bedzie doglądał, a glańcował, a śtrajchował, kiedy nieboszczęteczka nima? Żeby wam sie chudoba wiedła kumie!

— Pijcie zdrowi!

— Do was, somsiedzie!

— I do was.

— Siła kropel, tylo fortuny.

— Niech ta i wam Pombóg da, co se ino umyślicie.

— Jeszcze jedne do wszyćkich somsiadów, co tu są.

— Jeszcze jednę.

— Żeby wam sie żytko rodziło i pszeniczka i jęczmień. Ze snopka korzec.

— Dej Boże i wam. Jeszcze jednę!

— Nie zawadzi! Niech wam sady zarodzą.

— I wam.

— I wam — powtarzali kolejno sąsiedzi. Każdy pił, wstrząsał się, spluwał i ocierał usta połą płótnianki. Bartuś co chwilę zwracał się do Podolca, ten zaś nalewał ostrożnie, nie roniąc ani kropelki, przepijał do każdego, lał w siebie, jak w otchłań, trzymał się prosto i mówił coraz układniéj i coraz słodziéj.

— Panie kumie—rzekł słaniający się Bartuś—ono to raz na kuždego przyjdzie okazyja, jak i na mnie nieboraczeńka (tu przeciągnął rękawem oczy). A jakbyście wy téż chcieli przepraszać przy wyprowadzeniu, to by to było, jak trza, jak to święty nasz krześcijański obyczaj każe... każe, bo każe... przeciek nie psa chowamy, ino świętą duszyczkę krześcijańską. He? co? Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba...

Ale Podolec udał urażonego. Milczał chwilę, chrząknął, wytarł nos kraciastą granatową chustką z nieodzownem w takich chwilach trąbieniem i począł cedzić:

— Bo to widzicie: maść chłopa łojem, a on śmierdzi gnojem. Że z wami gadam i troszke se porajcuje, to wybyście chcieli mną sie wysługiwać. Oho! Wara! Podolec to nie wy! Chcielibyście mnie wziąść na sznaps! Nic z tego! Co to je sznaps? Nic sznaps. Śmiecie sznaps. A dzie je gield? Macie gield? Co?

Ponieważ milczenie panowało wkoło, Podolec zaczął łagodniéj:

— Jak ja przepraszam przy umartym, to żaden kaznodzieja mi w to nie utrafi! Niech tu proboszcz przyjdzie, co powié? Hę? Słyszeliście w całym becyrku, czy chto tak przeprasza z układami, jak ja? co? Jagem przepraszał u Szczekota, u Wnęka, u Bochnaka, to jaż nud chytał wszyćkich. To mi i zapłacili, i zboża dali, i pić dali, ho ho! Trynk! trynk! To ja wam tak powiem: Wszyćko ma swój forszryft. Je taka abo siaka cyna i koniec. Spierać sie nima o co. Idźcie tiutioń kupować i targujcie sie ze żydem, cy wam go da tani. Nie! bo on ma forszryft od tego. A ksiądz? Od pokropienia je cyna, od ornatu je cyna, od kapy je cyna—i on wam nie spuści, ino powie: chcecie tylo dać, to ja wam zrobie pogrzeb nieprzeczwarny—ino pokropie; a chcecie, żebym na cmyntarz szał, to dejcie, siła reglama mówi.

Oszołomiony tą allokucyą, Bartuś słuchał z głupkowatym wyrazem twarzy i nie rozumiał nic, nie wiedział, dla czego Podolec się gniéwa, i stał jak człowiek, któremu nagle na głowę konew wody wylano. Odgadł tylko myśl przewodnią tego przemówienia, albowiem na wszelkie zaloty do swéj kieszeni był bardzo czuły.

— No, to siła chcecie? — zapytał. — Ja dam! Koszulę przedam a dam, abo to psa chowamy? nie świętą duszyczke krześcijańską?

Podolec wzbraniał się:

— E! to nie la was.

— Co nie la mnie? Jak to nie la mnie? Albo ja co gorszego niż Szczekot? Ino powiedzcie, siła chcecie: Ja dam, niech co chce bedzie, dam i stype wyprawie, jak sie patrzy, a niech ta ty duszyczce bedzie lecy na tamtym świecie.

— Bo to widzicie — mówił Podolec — na wszyćko je cyna, forszryft. To ja mam taki forszryft od samego cysarza, że mam za przepraszanie brać ryńskiego.

— A ja dam ryńskiego; co nimam dać? Abo to psa chowamy?

Powtarzał ciągle frazes, rozpasał trzos i dobył zeń szmatkę związaną. Zgrabiałemi palcami rozwikłał kilka węzłów, rozwinął kilka szmat, aż się dobrał do jądra zawiniątka i począł drżącemi rękoma przeliczać brudne szóstaki. Liczył długo, spocił się, usiadł na progu, a pieniądze dwoiły mu się i troiły w oczach. Przeliczył nareszcie, ścisnął w garści i, patrząc ciekawie Podolcowi w oczy, pytał nieśmiało:

— A dwa cwancygiery bedzie?

— Ani dudka mni. Abo dacie trzy cwancygiery na starą modę, abo ryński na nową.

— Bo ja tu haf ni mam ino pół cwancygiera jeszcze i jednego ósmaka.

— To mało.

— I dwa dutki.

— Mało.

— Jeszcze haf mam jednego ósmaka.

— Co to wy myślicie, że ja żyd, jud, judasz, żebym sie cytolół? Abo mi dejcie ryński, abo nie bede przepraszał.

Poskrobał się wdowiec w głowę, stęknął, dobył innéj szmaty z trzosa, wyciągnął kilka nowych, lecz zmiętych i zbrukanych banknotów, zmoczył palec w ustach i oderwał jeden papierek. Był to nowy „ryński śrybny".

Podolec natychmiast nabrał miny. Wszedł do izby i wkrótce dał się słyszéć głuchy stuk młotka, przybijającego wieko trumny; pisk dzieci, lament kobiét i krzyk wyrostków zerwał się nagle, jak-burza, i wnet drzwi od izby rozwarły się szeroko, aby przepuścić niosących trumnę. Trzymając czapki w rękach, wsparli ciężar na progu chaty, stuknęli weń trumną na znak pożegnania trzy razy, poczém złożyli ją na wozie, wymoszczonym grochowiną.

Podolec stojąc przy wrotach chaty zaczął, żegnając się:

— W imie Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza matka, rodzicielka Jego.

— Szanowne somsiady, krewne i znajome, dzieci, syny, córki i ty biedny gdowcu! Przyśliście tu wszyjscy na ostatnią usługę tego ziemskiego padołu, chtórą ją robicie, ta jak Poniezus kazał i wszyjscy Święci, ty święty ji pamięci Rejinie. Płaczecie... i ty gdowcu płaczesz. Oj płaczcie, płaczcie, łzami sie zalewajcie, skruche se do serca bierzcie i nauke wielgą i kajajcie sie, boście grzyśni.

Była to starowna gospodynia i somsiadka. Pracowała ciągiem od świtu do nocy, a i w nocy ślęczała przy ożdżarku, to przy chudobie, to w studole i w kumorze, i w oborze i na polu. A co sie nastarała, żyto w czasie wyżąć, pszeniczkę sprzątnąć, krowom trawe przynieść, cieliczkę przysadzić i na pańskie póść. A wiela przyrobiła nowego, wiela sie dochowała: kurek i jajek i cielątek i przysadzków, a z tego była i swoja wygoda i zawdy świeży dudek. A czyi to głowy rozum był prosiaczka przychować i zabić na gody, abo na miesopust?

Ona tém wszyćkiém deręgowała.

A czyś ty, biedny gdowcu i sieroto, spatrzał biedy przy ni? Miałeś chléb i do chleba, i pradło białe jedno na drugie, i chwałabogu ci było. A wy dziateczki, sierotyńki frasobliwe! Umarła wam wasza matka, co was i żywiła i odziewała i o wiano sie starała. Płaczcie, bo już sie wam nie wróci. Oho! już po ni! Już ona wam koszulek nie wypierze, chleba z masłem nie da, jagódki nie urwie, ani głowy nie rozczesze. Płaczcie wszyćkie somsiady, kumy i kumeczki, bracia i siostry, siostrzeńce i bratanki, i wy wszyjscy, siła was tu je, krewne, znajome i przyjaciele! —

Tu lament, jak na dane hasło, wybuchnął w gromadzie, a sam mówca, poddawszy się wrażeniu, ocierał łzy, grube jak groch, wielką ciemno-granatową w kraty chustką od tabaki.

— Ona słyszy tam w trumnie, ino mówić nie może. Język ma zdrętwiały i usta zaparte. Ona gada do was:

Tu głos, monotonny dotąd, podniósł wyżéj:

— „Oto ja ide na męki i wieczne potępienie, bom grzyszna, bo my wszyjscy grzyśni. Tam mnie czeka ogień wieczny i kara wielga. Przepraszam was za wszyćko, com tu złego zrobiła. Przepraszam i ciebie mój myżu, izim cie kiedy nie posłuchała, abo marne słówko ci rzykła, i was, moje somsiady i kumy i krewne i znajome, isim wam wypasła, abo szkode zrobiła, abo kury biła, abo sady obtrzęsła, abo jakie złe słowo powiedziała. Przebaczajcie mi! przebaczajcie!"

Szlochanie, przyciszone uwagą, zerwało się jak zawierucha i buchnęło jękiem okropnym. A mówca, wstrzymawszy się chwilę, tak rzecz daléj ciągnął:

— „Już idę do Pana Jezusa na sąd jego święty. Nie zapuminajcie o mnie, dejcie na msze świętą, ochfiarujcie jamużne dziadom, bo mnie kara straszna czeka.

Siedemdziesiąt grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na trąbie trzy razy, od wschodu słonka trzy razy i od zachodu trzy razy i od południa i od północy trzy razy—a duszyczki wstaną ze ziemi i pójdą na sąd Boży. Pombóg siędzie na zydlu złotym, źli pójdą na lewą stronę, a dobrzy na prawą. Tam bedzie i płacz i wisk i zgrzytanie zębów. Ojciec rozejdzie sie ze synem, matka z córką, siostra z bratem, mąż ze żoną, żona z myżem, krewni od krewnych, znajomi od znajomych, somsiady od somsiadów — a Poniezus bedzie sądziół."

Gdy Podolec się wstrzymał, zawodzenia buchnęły znowu; „ujuj-juj!" „oloboga", „najsłodszy panie Jezusieńku" odezwało się zewsząd. Mróz przeszedł po kościach obecnym, szczególniéj na wiadomość o tylu

grzmotach i piorunach, mających odezwać się razem. Mówca stopniował wrażenie.

— „Bedzie wtędy lament wielgi i płacz nieznośny. Dziecko bedzie wołać na ojca: „Czemuś ty mnie ojcze przykarantności nie dawał, do kościoła nie posyłał, inoś mi tak przepuszczał, żem sie bikowało, ojca, matki nie słuchało, na starszych rękę podnosiło?" A córka bedzie wołać na matke: „Matko, matko! wielgą ja pokute cierpie przez twoje niechcenie. Czemuś mnie pacierza nie uczyła, ojcu bić nie dała, jak pasa rozpasywał?" A matka bedzie wołać na syna: „Synu! ja ciebie wychowała, piersiami wykarmiła, majątek ostawiła. Daj mi choć krople wody, bo strasznie mi sie pić chce. Tobie je chwałabogu, masz wszyćkiego lusztykiem, jesz, pijesz i używasz, a matka twoja w ogniu sie smaży. Jedna kropelka wody, to wielgie pokrzepienie w tych ogniach czyścowych." A bogacz bedzie wołał: „Oj! czemu ja używał, sieroty i gdowy krzywdziół, z ludzki krzywdy żył, dziesięcine oszukował, postów nie obserbował, księdzu na msze żałował, dziadów szczuł psami, a teraz wieczne potępienie tu cierpię. Zlituj sie synu dziedzicu! Dej na kościoły, na ubogie gdowy i sieroty te ludzką krzywdę, com z ni żył".

Znowu przerwał, odsapnął, otarł pot z czoła, ale nikt nie śmiał drgnąć, tak wszyscy byli przybici zgrozą i przerażeniem.

— „Wszyćkie duszyczki zwrócą sie do Pana Jezusa: „Panie Jezu! poślij nas jeszcze raz na ziemie, bedziemy wiedziały, jak trza żyć". Ale Poniezus jim powie: „Ruszajcie przeklęci na ogień wieczny". Siedemdziesiąt siedem grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt siedem pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na wszyćkie sztyry strony świata. Wtedy piekło się przewróci, dusze sie wysypią i polecą na bezedne piekło. Jedna dusza se złamie rękę, druga nogę, trzecia głowę rozbije, czwartéj się kości rozlecą, piąta se skóre zedrze i polecą na bezedne piekło".

Jako muzyk biegły, który ujął swój temperament w kluby i wytrzymał pauzy mimo niecierpliwości smyczka, tak Podolec czekał i trzymał zgromadzenie w naprężeniu, aby tém silniéj werznąć w nie pamięć swoich słów:

— „Na takie męki ja idę, na taki sąd sie wybieram. Dziękuję wam, wszyćkie krewne, znajome i przyjaciele, żeście ta przyśli na ostatnią osługę tego ziemskiego padołu. Przebaczajcie mi wszyjscy, bo ja ide na straszne męki. Nie zapominajcie o mnie, nie zapierajcie sie, pacierz mówcie, jamużne dawajcie." — Tak mówi do nas ta duszyczka, jakby jeszcze mówić mogła. Odchodzi od was i ostawia wam pełne

kumory, nie próżne obory, chléb i do chleba, i czego ino potrzeba. Nie żałujcie na biednych i na kościoły dawajcie z pola i z chałupy i ze stodoły, żeby sie ta duszyczka wysłużyła i w niebie była, choć za tylo lat, siła liści na drzewie, siła piasku nad wodą, siła wody w morzu, siła gwiazd na niebie, siła ludzi na ziemi. Amynt.

Płacz już ścichnął; ludzie przeciągali swe członki, jakgdyby znużeni pracą uciążliwą, i ocierali rękawami oczy. Bartuś z odkrytą głową siadł na wóz przed trumną i krzyknął: wio! Dzieci uczepiły się półdrabków, aby w ten sposób matkę odprowadzić do grobu, Podolec zaintonował:

Już idę do grobu smutnego, ciemnego,

i ruszono przez wieś do kościoła. Kurz powstał na drodze, wiatr rozwiewał włosy pobożnych, którzy biegli spiesznie za wozem, śpiewając z głębi piersi, otuleni w tuman pyłu. Na zakręcie kalwakata znikła między chatami — jeszcze słychać było klekot rozeschniętego wozu i wrzaskliwy śpiew, ale po chwili i to ucichło. W opuszczonéj i otwartéj chacie została tylko słoma na ziemi, po któréj igrało światło słoneczne, w kącie przewrócona lampka i na przyzbie czarny pies, zwinięty w kłębek.

* * *

Po pogrzebie zeszli się zarówno goście zaproszeni, jak i nieproszeni do karczmy. Rozsiedli się w izbie głównéj wzdłuż odrapanych ścian za stołami niezwykłéj długości — niektórzy stojąc popijali lub rozmawiali, skupiwszy się gromadkami. Za stołem w środku siedział Bartuś, prawie nieprzytomny, otoczony dziećmi i krewnymi — tuż przy szynkwasie zajął miejsce Podolec. Rozmowa się nie kleiła, bo jedni byli jeszcze na czczo, inni już zbyt pijani. Jakiś godownik przyniósł z sobą chleb czarny jak błoto, krajał po kromce, nacierał czosnkiem, posypywał solą i jadł nadzwyczaj systematycznie — zadzielał téż i innych, którzy go naśladowali co do joty. Ale kiedy pod jedną ścianą zaczęło się mielenie chleba, głośne jak kłapanie zębami koni, stojących przy żłobie, obok Podolca zaczęto od czasu do czasu posyłać lotne słowa, próbując rozwiązać języki. Podziwiano więc deputowanego wbrew przysłowiu, że nikt nie jest prorokiem we własnéj ojczyźnie. Uwolniony niedawno od pańszczyzny, lud otoczył swego mniemanego wybawcę niezwykłą czcią. Dociskano się, żeby mu pomódz w robotach polnych za darmo; przy rewizyach za złodziejstwami, które się

wtenczas codziennie trafiały, omijano z szacunkiem jego dom — gdzie tylko się pokazał, pytano, chcąc mu zrobić przyjemność, o jego wizytę u cesarza.

I teraz znalazł się jeden ciekawy, który ośmielony wódką, zapragnął z własnych ust podróżnika usłyszéć opowiadanie. Obchodziło go to témbardziéj, że i on musiał przed trzema niespełna laty złożyć się na wyprawę deputowanego, którego gminy wysłały do Wiednia, aby u stóp tronu złożył skargi i żale ludu na pańszczyznę.

Podolec dzisiaj był dostępny i miły; wódka i spadły z nieba reński usposobiły go czule i wywołały na twarz wyraz wniebowziętego wieprza.

— To wyście byli jaż u cysarza, panie deputowany?

— A jakże. W samym burku byłem, jaż we Widniu.

— A daleko to ten Widzień?

— Ho ho! Sto mil za Przemyślem, a siedemdziesiąt siedem za Lwowem.

— O loboga! I gadaliście ze samym cysarzem?

— Bajno! Ta jak z wami nieprzymierkiem.

Jakiś odważniejszy, zapewne żołnierz z węgierskiéj wojny, wtrącił nieśmiało:

— Kiedy bo to pono cysarz po naszymu nie umi?

— Coby nie umiał? On wszyćkiemi mowami, co ino są na świecie, to tak gada jak wyuczony. To ju je taki dar od samego Pana Jezusa, żeby cysarz wszyćkim narodom wyrozumiał. Od czego cysarz? Ale ja z nim gadał po miemiecku, żeby nam pany nie rozumiały.

Znowu jeden nieświadom biegu rzeczy zapytał:

— To wy umicie szwargietać po miemiecku?

— Jeszcze lepi niż po naszymu. Bo to ja sługiwał jeszcze pastuchem i pogoniczem u Miemców w Gilarowy, [1]) tom sie tam z małego wdrożół i tagem sie wyrychtował, że mnie żaden Miemiec nie chyci, choćby zakałki na mnie szukał.

— Hej hej! co to znaczy głowa! — mówił chłop uszczęśliwiony łaskawością Podolca—to wyście se ta dopiéro u Pana Jezusa łaski zapopadli, że wam dał takie układy w głowie. A jak wy se z panami dali radę, kiedy powiadają, że pany do cysarza nie puszczą?

— Coby nie puściły?—żachnął się deputowany. — Jagem wzion po miemiecku szwargietać, to pany jaż sie za głowy brały, tak jim sie

---

[1]) Giedlarowa, wieś obok Leżajska. Część gruntów téj gminy zajęta jest przez kolonię niemiecką Gillershof.

to dziwno wydało, i myślały, że jaki obcy, co do cysarza idzie, i la tego mnie puściły.

— Aha! to może la tego z inkszych becyrków deputowane do cysarza nie doszły, że po miemiecku nie umiały?

— Juści, że la tego.

Więc piersi prawych Ubieszan wezbrały słuszną dumą. Wszak z pomiędzy tylu gmin, które deputowanych wysyłały, im jednym dano było, że ich wybraniec doszedł do celu. Jedyny ich wybór padł na człowieka, który dorósł zadaniu. Poczęły się więc szepty i mruki, parami lub co najwyżéj trójkami — a widomym znakiem tego, że w każdéj gromadce o ważnych gadano rzeczach, było kiwanie głów, głuche: hej, hej, mocny Boże! i tym podobne wyrażenia uczuć. Jeden Bartuś opowiadania nie słuchał i teraz wrzasnął, aż szyby zadźwięczały:

— Szaja psiakrew, wódki!

Poczém zwracając się do dzieci, monologował:

— Ty, psia skóro bycza, ty!... A niech ta!...

Reszta gromady, zgorszona tém niewytłumaczoném postępowaniem, otoczyła tém ściśléj deputowanego — z sąsiednich ław ludzie się zbliżyli i zaglądając ponad głowy siedzących, łowili uchem nieocenione słowa. Interlokutor aż się zarumienił, że jemu przypadło w udziele brać Podolca na pytki, i ciągnął:

— No! i jak was tam cysarz przyjon?

— Ba ta jakby?—mówił deputowany z miną człowieka, któremu takie drobnostki, jak pobyt u cesarza, są chlebem codziennym.—Ide ja se tam do burku, a tam strażników moc i wojsko do okoluteńka, jaż po mnie sitarki przeszły. A wszyscy to tak grają i strzylają, że jaż łuzgot. A ja tak ide i ide, nicht mnie ta nie zarywał, bo myśleli, że to jaki swój, kiedy tak odważnie sadzi do cysarza. Jażem przyszał do cymbry, dzie je cysarz. Tagem otworzół, czapkem zdjon i pod kolana go chyciółem, bo to przecie cysarz i uszanowanie trza wiedzieć, jakie mu dać.

— A co cysarz robiół?

— Ba! siedział na ławie plecami do dźwierzy, taj pozierał we złoty śpigiel na oknie i golół sie.

— Golół sie!...

— Bajno! golół sie. Razirmeser miał ze złota...

— A pieknie tam u cysarza?

— Ta pewnie, że nie tak jak u was, abo choćby i u mnie w chałupie. Co tam u cysarza dobrów je, to i napozierać sie ni można i w ślepiach sie jaż mieni. A wszyćko szczyre złoto.

— Szczyre złoto!

— Na ścianach świątki złote, pod ścianami ławy złote, a wszyćko przykryte pulankowemi płachtami, żeby sie nie walało.

— A pocóż ta jemu tylo złota? Jedna osoba! Żeby to tak mnie dał choć gwoździk ze ściany, abo noge od ławki...

— No to i co byście zrobili?—pytał Dudek, zły, że przerywają opowiadanie, tak słuchane i tak ciekawe.

— Ba, kupiółbym se nasz dwór — odparł niezmieszany, chcąc dowcipem zatrzéć niedobre wrażenie.

— No i cóżbyście we dworze robili? zapytał Podolec z politowaniem.

— Ta co? Dobrzebym jad, piół, drogi tiution kurzół, nic bym nie robiół. Kazałbym se do pokoju przynieść równy żytnianki jaż pod po powałe i leżałbym bez cały dzień.

Zaczém różne się posypały żarciki. Jedni szydzili z niewybrednego gustu mówcy, inni opowiadali, coby robili, gdyby zostali „panami". Tymczasem Podolec, który przez ciągłe powtarzanie nauczył się już swego opowiadania na pamięć, zagniewany, że mu przeszkodzono w deklamacyi, przerwał wynurzenia wzajemnie i rzekł:

— Mówicie, po co cysarzowi tyle złota? Ba, jakby można było poznać, że to je cysarz?

Argument był silny, więc wszyscy umilkli i natężyli uszy, a Dudek zapytał:

— I co wam cysarz powiedział?

— Ta coby? Jak mnie ino użrał, tak pojada: „Wigiec Podolec", co to niby znaczy: jak sie macie Podolec?

— To was poznał? pytano z różnych stron.

— Ba jakże? Was toby ta żadnego nie poznał, ale mnie to zaraniuteńki poznał?

— Hej, hej! mocny Boże! powtarzano w koło, zazdroszcząc szczęśliwcowi.

— Tak potém zaraz gada — ino to wszyćko po miemiecku: „To wy" powiada „z Ubieszyna?" „A z Ubieszyna najaśniejsza munarcho". „I co tam?" powiada „dali pańszczyzne robicie?" „Ta robima panie cysarzu". „Sakra" powiada „krucyfiks, a co mnie tu te pany piszą, że już pańszczyzny nima". I tak sie wam zmarkociół, że jaż strach. Potém sie pożrał na mnie i powiedział, ale wam tak strasznie, że jażem sie zląk: „Ja tam" powiada „dam znać, żeby mi to w ty chwilo to wszyćko het do imienia było skasowane" powiada. „Ta ja tu je przysłany" mówie „żebym o to prosiół". Ale on mi gadać nie dał, ino powiada: „Nie potrzebujecie" powiada „o nic prosić, bo ja pada „sam wiem, co moim ludziom potrza" powiada. Tak ja mu sie znów do kolan skłoniół

i chce wyść, a on powiada: „Zaczkajcie" pada „bo wy z drogi, to możebyście co zjedli?" „Tać ja ta nie o głodzie" mówie mu „bom se wyszał po śniadaniu i chleba se kucek wzionem, masło mam", powiadam, „w przylipce, a ta i zakrzętów ze mna nima co wiela robić, żeby sie ta", mówie, „najaśniejsza munarcha fatygowała". I tagem sie wzion spraszać, bo to jak to u takiego pana jeść, co to i usieść bym przy nim nie śmiałował. A on do mnie ostro, że to niby je nie unor, jak on każe, żeby go nie słuchać. Tagem sie zląk, żeby mnie do heresztu nie kazał zamknąć za nieposłuch, bo to je niesubordynacyja wielga cysarza nie posłuchać. Taj powiadam: „co tam łaska wasza, najaśniejsza munarcho, to mi ta dejcie, co Poniezus dał". A on poszał do halkierza i woła: „Cysarzowo! cysarzowo! a chodź no tu. Ugotuj ta jaśnicy, bo tu" powiada „deputowany przyszał do mnie jaż z Ubieszyna, toby ta" powiada „i zełknął co". A cysarzowa wyszła, taka śliczniutka, jak obrazikjaki — jaż mi sie w oczach mieniło. I przyniesła mi jaśnicy na złotym talerzu i łyżke mi złotą dała — a chlebuś to tam taki bielusieńki jak wapno. Tagem se podjad, a potemem sie przeżegnał, bo to u takich panów, to trza wiedzieć, jak Boga pochwalić i za ten brzuch strawy. A cysarz już wyrychtował pismo i pieczęć z krajcem przybiół — bo to ino cysarzowi wolno mieć krajc na pieczątce. Inksze pany to mają jakiesi kryski i psy, abo koty, a cysarz ma krzyżyk.

Toście widziały chłopy i to pismo i tę pieczęć, co to jagem tu przynies, to pańskie ustało.

— Ta coby my nie pamiętali? — mówiono w koło — bedzie dwa roki i niedziel kila, jak pańskie zginęło, to se dobrze szatramy.

I tak po raz zapewne setny opowiadał Podolec swoje przewagi, a spragniona ludność, dumna ze swego współobywatela, nigdy się go dosyć nasłuchać nie mogła. Kiedy się ta uczta duchowa skończyła, każdy chwytał jakiś okruch specyału i unosił go z sobą. Ten, gdyby był na miejscu deputowanego, byłby poprosił cesarza o setkę, tamten byłby ukradł nóż, albo łyżkę, skoro były ze złota, ów byłby został przy cesarzu, aby mu „buty pucować". Dziwiono się również Podolcowi, że wróciwszy z tak zaszczytnéj podróży, chodzi pieszo i „nosa nie zadziera", bo ten by już odtąd kazał się nosić „na chordakach", tamten nawracałby bydło z konia. Jeden Bartuś krzywo patrzył na deputowanego, dawał pić najbliższym siebie i chwalił się buńczucznym pogrzebem, jaki żonie sprawił. Powtarzał co chwilę:

— A niechta! Ty psia skóro bycza! Żebym tak nie uważał!... Tu go czułość zebrała i zaczął płakać:

— Zmarło sie biedaczce, zmarło. Fik! i już ji ni ma!... I my pomrzemy... tak! tak.

— Oj tak! tak, powtórzył sąsiad.

— Kumie! napijma sie! Szaja! Szaja psiakrew! ty żydzie! wódki! jak mówie: wódki, to: wódki! rozumiesz?

Żyd uwinął się w lot, Bartuś opowiadał, jak był u kościelnego i zamawiał podzwonne. Krzyczał piskliwie, bił pięścią w stół, a głowa spadała mu na ramiona, lub na piersi, albo biła w ścianę, niby dynia na sznurku:

— Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Uśmiechnął się głupowato i kłócił się z kościelnym, którego nie było w karczmie.

— Trza piniędzy? dobrze. Abo ja nimam, cy co? Zdjonem krzos oto! tak—odpasał trzos—dobyłem piniądze—dobył je—i łup! mu w ślepie!—rzucił garść pieniędzy na stół.—Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Zaczął zbierać rozsypane pieniądze, ale cienka moneta nie dała się podjąć grubemi palcami, więc zmiótł je na dłoń jak śmiecie i ścisnąwszy w garści znowu krzyczał:

— Trza piniędzy? dobrze! Zwoń a zwoń, psiakrew, jaż ciebie i ją dyabli wiezną! I, łup mu w pysk!

Ale teraz pieniądze rozsypały się po stole i po ziemi. Pijany chłop rychło je zgarnął ze stołu, poczém wszedł pod stół i zaczął szukać pod nogami siedzących. Zgarnywał, przeklinał, rozciągnął się na podłodze jak długi, próbował pełznąć za miedziakiem, ale głowa mu się zachwiała, nosem uderzył o podłogę, jeszcze krzyknął:

— Trza piniędzy? bierz! A zwoń... a zwoń... a!... psiakrew!... i zasnął pod ławą.

Ne jego miejscu rozparła się wygodnie stara Wichta Gajowa, którą tylko krótki siwy Zalot oddzielał od Podolca. Gajowéj bardzo było przedtém niewygodnie, gdyż mając zwyczaj spluwać co chwilę za siebie, nie mogła tego uczynić ani razu, ściśniona przez dwu chłopów. Obecnie, gdy jeden się usunął, uczyniła zadość swojéj potrzebie, wytarła palcem usta, szczególniéj w kącikach, i daléj unosiła się nad mową pogrzebną Podolca:

— Siedemdziesiąt, pada, grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt, pada, (Panie Jezusie ochraniaj, żebym w złą godzinę nie wynurzyła naprzeciwko) pieronów bedzie biło...

— A kiedy to? — spytał Zalot — cy przed sądem, cy po sądzie?

— Widzi mi się, że po sądzie.

— Ale! Ja se dobrze miarkuje i tagem to wykarkulował, że po sądzie bedzie jaż siedemdziesiąt i siedem.

— Ale! co gadacie?—sprzeczała się baba.

— Ja wam gadam, Zalot wam gada, że tak.

— Nieprawda?

— Prawda!

— Załóżmy sie.

— A no! załóżmy sie!

Więc kłótnia powstała zawzięta; kilku się do niéj wmieszało, jedni biorąc stronę chłopa, drudzy baby. Wszyscy w tych teologicznych wątpliwościach poglądali skosem na Podolca; była to bowiem jedyna wyrocznia nieomylna, zdolna jedném słowem uchylić niepewność;—ale deputowany w nieprzystojne, karczemne gwary mieszać się nie raczył, zasunął grube powieki na oczy, wsparł tył głowy o ścianę i tak pozostał zadumany, czy śpiący.

Kiedy ci się tak kłócili, sąsiednia gromadka rozpamiętywała niedawną chwilę, w której Podolec z Wiednia powrócił i przyniósł pismo, że pańszczyzna zniesiona. Zdumiewano się nad złą wolą „panów” którzy, drwiąc z tego aktu, pędzili ludzi do roboty, i żałowano, że w roku czterdziestym szóstym tylko na czterdzieści ośm godzin było pozwolenie, aby panów bić. Przypomniano sobie opór, stawiany dworowi, i biédę, kiedy wojsko przyszło „po zakucyi” do Ubieszyna, do Tryńczy, do Dębna i t. d. Podolec już się wybierał po raz wtóry do Wiednia, aż tu nagle, we dwa miesiące po jego powrocie, „przyleciało akosi w maju” z Wiednia, że pańszczyzna zniesiona. Radowano się więc, że tak Wiedeń „chycił” panów za zanadrze.

W samym kącie niestary chłop w „kabacie” wojskowym wołał na syna, może dwunastoletniego:

— Jonek! Jonek! ty moneta przeczysta! ty drobna litera! ty dziedzic mój! chodź tu! napij sie wódki żałobny!

Przysunął się wyrostek, napił z ojcowskiego kieliszka, skrzywił się, splunął i dostał dłonią w łeb od ojca:

— Ty na to nie pluj! bo ty nie wiész, co dobre.

A kiedy chłopak się odsunął, ojciec znowu wołał:

— Chodź tu! moneto moja! dziedzicu! chodź tu! Chodź tu, psia krew, masz wódki żałobny!

Znowu chłopiec się przysunął, znowu napił i znowu wziął placka w łeb. I ten manewr powtarzał się kilka razy.

Za drugim stołem siedziało dwoje staruchów, małżonków. On ręce wziął za siebie i oparty grzbietem drzémał, ona pięści i łokcie ułożyła na stole, na pięściach wsparła brodę i drzémała. Długo trwało to spanie, aż obudził się stary, wyjął prawą rękę z poza siebie, przetarł oczy i krzyknął:

— Franka!

— A co? wrzasnęła, zrywając się ze snu, przerażona małżonka.

— A wiész ty, jak owce kują?

— A bo to owce kują?

— A kują.

— A jak?

— A tak: Sztyrech chłopów bierze owce i przewraca do góry nogami i tak ją trzymają. A potém do każdy nogi przyłoży sie podkówkę i przybija gwoździkami.

— Przeciek owca nima kopyt, ino ratki.

— No to co? To ta są już takie podkówki śtuderne, co mają gwóźdź rozłupany na końcu i to się wkłada między ratki. Potém sie ten gwóźdź rozłupany, po wierzchu przykręci i przyklepie na dwie strony tak, żeby z ratek nie spadło.

— To ją to musi boléć?

— Ha! cóż robić? musi cierpieć.

— O lobożyńka.

I znowu baba ustawiła na stole obie pięści, wsparła na nich brodę i usnęła, a chłop włożył dłoń za siebie, aby go od ściany nie gniotło, zwiesił głowę i usnął. Ta rozmowa była jedyną, jaką prowadzili, od kilku lat małżonkowie w przerwach między spaniem, drzémiący zawzięcie w chałupie, w karczmie i w kościele.

Włódarz dworski wszedł do izby i wstydliwém okiem wodził dokoła. Ośmielono go wkrótce i zapytano, czy przychodzi na wódkę, czy po interesie?

— Te! i wódki sie napije, i jenteres by ta był, ino co nie bardzo śmiałuję.

— To powiedzcie!—wołano dokoła.

— Te! żeby ta wójt byli, abo podwójci, to bym ta prędzy powiedział.

— Wójta nima, wójt na weselu — ozwała się z pod pieca jakaś kobiéta niestara, ubrana nader przyzwoicie — ja tutajki na nich czekam. Wesele pewnikiem do karczmy przyjedzie, to zaczkajcie i wy głódarzu.

— A wy tu czego czekacie, Prasołowa?

Kobiéta nagle dostała ataku wymowy, bo zerwała się i zaczęła recytować, jak z pisma:

— A by jich ciężka choroba zadusiła, by jich nagłe nieszczęście trafiło, by sie nie dojedli, za moje krzywdę, za moje pracę; by jich porozsadzało...

— Kogo?—spytał włódarz ze zgrozą.

— Ba, złodziejów! Okradło mnie ty nocy...

Tu zaczęła płakać i, ocierając łzy, mówiła z szlochaniem:

— I żupan ślubny, i korale, com miała od mamuni... za sto śrybła bym jich nie dała... i kożuch nowiuteńki. Mój miał go cosik ino ze dwa razy na sobie do kościoła bez zimę... i spodnie dwie sukiennych, jedna czerwona, druga zielona... i koszul pulankowych sztyry, i dwie chustki do zaodziéwania... a!... moja praca, moja krwawica! I sadło nam wzieny jeszcze nie napoczęte i żyta pumacek... Że ja sie téż głupia nie pohadała. Nie szłam rano do kumory, a tam kłódka przekręcona—dopiérom sie teraz poszatrała — a co ja téż biedniuteńka poczne tera na świecie?

— A dzie są wasz?—pytał włódarz.

— Ta chodzi dokoła obeścia i śladów poziéra, ale bo ta co obaczy? To musiały przyść jeszcze przed rosą—a jak my sie popamiętali, het po ranu, to ju obeschło. A! żeby jich nieszczęście potkało, żeby jich nagła śmierć wytłukła, żeby jich siarczyste pierony wytrzaskały.

Mróz przeszedł po wszystkich na to najstraszniejsze z przekleństw; ocknął się deputowany i ozwał się surowo:

— Nie publikuj, kobiéto, nie wydziwiaj, nie szkaluj, nie rób szkandału, żeby się to na ciebie nie obróciło, co z przeklętnego pyska wypuścisz.

Podobały się ogólnie rozsądne słowa mówcy, kobiéta się zmitygowała, a włódarz znowu zapytał:

— Piniądze-ście mieli?

— Ta było pięćdziesiąt śrybła, i to psiekrwie zabrały, a żeby...

Ale Podolec przerwał:

— Ej! chieba jeszcze coś brakowało do pięćdziesiątki?

— A wy skąd wiecie?—zagadnął włódarz.

Zaczerwienił się Podolec i krzyknął:

— Ty mnie za słowa nie łap, pański podlizajku, żydowski parobku! Ja se tak prawie, żeby Prasołowa nie przeklinała.

Prasołowa tymczasem odrzekła zdumiona.

— Ta ino putora cwancygiera brakowało.

— A widzisz!—rzekł tryumfująco deputowany—nie przyczyniaj, bo cały sąd na nic. Bo isiś ty straciła pięćdziesiąt, to złodzieje, co ukradły czterdzieści dziewięć papiérków i putora cwancygiera, nie ukradły u ciebie, ino dzieś indzi. Pamiętaj-że to.

Do smaku wszystkim poszła ta roztropna nauka Podolca. Przypominali różne wypadki, kiedy sędzia odebranych złodziejom pieniędzy nie kazał oddawać poszkodowanemu, który dla okrągłości przyczynił sobie choć „siajny grejcar". Z tego rozmowa zeszła na trafiające się prawie codziennie kradzieże w Ubieszynie i okolicy i na bezkarnoś niewyśledzonych dotąd złodziei, którzy od kilku lat trudnią się nader

czynnie swojém przedsiębiorstwem. Daremnie rozstawiono warty gminne, daremnie czuwano po domach i psy czujne trzymano,—jakaś ręka niewidzialna wyłamywała skoble i kłódki, i zabiérała co się nadarzyło.

Podczas téj rozmowy nagle dał się słyszéć turkot wozów i tentent kopyt końskich. Zadudliły skrzypce, zżymnęły się basy, cymbały brzęknęły, zakwilił klarynet, i wesele z powrotem od ślubu spadło na karczmę. Wszyscy obecni stłoczyli się do okien, lub wyszli przed ganek, aby zobaczyć przybywających. Przodem galopowało dwunastu swatów parami, w błękitnych żupanach, w kapuzach baranich, na dwa łokcie wysokich, z harapami rzemiennemi w prawicy. Naczelny swat, Małek, miał w cholewie długą tykę, która ozdobiona u góry czerwoną chustką, stérczała mu nad głową wysoko i zastępowała chorągiewkę.

Za swatami daleko pędził wóz, wysłany grochowiną, na nim stała panna młoda w błękitnym żupanie z czerwoną podszewką, z wiankiem na rozpuszczonych włosach; dokoła niéj siedziały druchny i starościny, a w kielni czterech muzykantów. Za wozem konno pan młody z drużbą. obaj w błękitnych żupanach, obaj w kapuzach baranich, obaj przewiązani pasami materyalnemi — tylko panu młodemu powiewała z wiatrem biała chustka, końcem za pas wetknięta. W tyle inne wozy, pełne gości weselnych, śpiéwających krzykliwie, pędziły cwałem.

Przednik swatów, zbliżywszy się przed ganek, poprawił kapuzę na głowie, kropnął konia harapem, podał się wprzód tak, że głowa razem z nakryciem ułożyła się na końskiéj grzywie, skrzywił nogę tak, że tyka przyjęła poziome położenie, niby dzida do ataku złożona— a podjezdek wyciągnął się jak długi, dał susa i wpadł razem z jeźdźcem do sieni, potém przez otwarte drzwi do izby szynkownéj, gdzie na środku wstrzymał się, jak wryty.

Szaja wyskoczył zza pieca, trzymając w ręku ogromny dzban piwa. Taki poczęstunek, należy się wedle starego zwyczaju pierwszemu swatowi.

Tymczasem inni już poumieszczali swoje konie na karczemnym dziedzińcu, wyprowadzono wierzchowca z izby, weszła panna młoda przy dźwięku muzyki, otoczona druchnami i starościnami. Muzykanci pobiegli zająć miejsce pod oknem, jak każe roztropność. Wesele bowiem kończy się zwykle bijatyką, a muzykańci uciekają wtenczas przez okno, ratując instrumenta. Obecni rozeszli się po kątach, lub wtłaczając ze dworu twarze przez okno, przypatrywali się gościom i tańcom, które się zaczęły.

A kiedy tutaj tak się bawią, w alkierzu naprzeciw drzwi, aby miéć widok na to, co się dzieje w izbie, usiadł za stołem wójt między

dwoma posłusznikami, z których jeden ciągle rękawem płótnianki nos sobie ucierał. Zaczęły się sądy.

Stanęła do rozprawy stara, brzydka kobiéta, pomarszczona, jak suszona gruszka—w głębi zaś każdéj fałdy widać było cień, niby osad ziemi. Ta skarżyła na chłopa, grubego jak niedźwiedź, z ogromnemi barami, ogromną łapą i ogromną głową, z któréj wyglądały małe oczka, niby nasienne zagłębienia na kartoflu.

Kobiéta mówiła, raz po raz nienawistnie poglądając na olbrzyma:

— Przenajświętszy trybularzu! Panie wójcie! Ja je biédna gdowa i siérota, a ten psiskórnik, com go jeszcze małym najduchem zapamiętała, powiedział mi: „ty stara paprzyco, ty hadro!" Co ja za hadra? Jaka ja hadra? On sam je hader. Abo paprzyca? On se poszyderuje ze stary, on nie wié jakie uszanowanie trza dać staremu, ino pysk roztwiera, jak gromadzkie wrota. A pyskalisko ha! Upraszam ja téż przenajświętszy trybularz, żeby go ukarali, żeby wiedział, jaki ukłon ma dać komu. To je obraza unoru.

Wójt zwrócił się z pytaniem do olbrzyma, który stał, nic prawie nie rozumiejąc z tego, co się działo:

— Kumie Wójtyna! powiedzieliście Kurczykowy: „ty stara paprzyco i ty hadro?"

— Ba, ta powiedziałem, — odparł Wojtyna, skrobiąc się po płowéj, jak len, czuprynie.

— Szaja!—krzyknął wójt—dwie kwarty wódki! Jedna la mnie, a jedna la posłuszników. A wy, Bek (tu zwrócił się do posłusznika, siedzącego po prawicy) polecicie do kuma Wojtyny i przyniesiecie jaki fant la żyda. Co bądź: kożuch nie kożuch, siekiéra nie siekiéra. Jak se kum wykupią, to bedzie obsztrofunek. A tera, kumie! legajcie na ławe, dostaniecie pięć kijów za obraze unoru.

— Pombóg wam to wynagrodzi — mówiła Kurczykowa, płomieniejąc z radości — tageście panie wójcie rozsądzili, że i sam Salamun lepiby nie potrafiół.

Ale tu wmieszał się do rozprawy przednik Małek, cięty i bitny chłop:

— Aczemu ty tak powiedział Kurczykowy?—pytał Wojtyny.

— Ba, bo ona mnie nazwała bałą.

— Nieprawda!—wrzasnęła Kurczykowa.

— Ty, Małek, ty sie do rozprawy nie mieszaj!—rzekł Podolec.

— A czemu ja sie ni mam mieszać, jak wójt nie pytają, ino wierzą, chto jim co powié?

— Bo ja ci nie każę—mówił Podolec, kontent z dotychczasowego wyroku, bo nienawidził Wojtyny.

— A wy co mi macie do rozkazywania?

— Co?—wrzasnął deputowany — Ej! ja ci mówię, ty sie ze mną nie zarywaj, bo popamiętasz, po czemu łokieć maślanki!

— O wa! co mi to za puryc!

— Kuszuj!—wrzasnął spieniony i wściekły Podolec.

— A kuszuj i ty!—krzyknął Małek.

Poskoczyli do siebie z pięściami, ale tłum ich rozdzielił. Podolec usiadł w kącie, siniejąc i czerwieniejąc na przemiany, a Małek poszedł do izby pić i tańczyć.

Jakoż muzyka piszczała, kręciły się pary, tupała młodzież, kurz wzbił się w izbie, a w tym zgiełku przeraźliwym, złożonym z kwilenia wiejskiéj muzyki i z bicia obcasów w podłogę, odzywało się od czasu do czasu wrzaskliwe: ho-hop!

Wójt patrzył na tańce, a zarazem myślał, jak tu postąpić w tak zawikłanéj sprawie. Kurczykowa była jego ciotką, Wojtyna kumem—kogo ukarać? Prawda, że Wojtyna czasami mocno „nienamulny," ale... Tymczasem Bek przyniósł już kożuch, zabrany jako fant. Oddano go natychmiast żydowi za wódkę, któréj cena stanowiła grzywnę.

Zanim tę sprawę skończono, Prasołowa po raz czwarty już przystępowała do wójta, prosząc o sprawiedliwość i wyrzekając na złodziei, z nieutulonym płaczem. Wójt jéj nie słuchał, skrobał się w głowę, nie wiedząc co robić z poprzednią sprawą. Ale fant był już wzięty, grzywna zapłacona, więc lepiéj się mu zdało nie zmieniać wyroku, zwłaszcza że przyznanie się do omyłki ubliżałoby jego powadze. Zaczém otarł usta z wódki i rzekł:

— Kumie, legajcie na ławe.

Zmiarkował Wojtyna, o co chodzi, więc zaczął prosić:

— A panie wójcie! a kumaszku mój złoty! Wybyście ni mieli przeciek sumienia bić swojego kuma. Przecieście dziecko u mnie trzymali. Przecieście kum.

Wójt poskrobał się w głowę:

— Chieba sie pogodzicie, to ino sztrof zapłacicie, a kijów nie dostaniecie.

Ale baba przerwała.

— A mój złoty wójcie! a sędzio sprawiedliwy! Żeby mi te kaczme pełne cwancygierów dawał, to ja sie z nim nie zgodze.

Wójt znowu zaczął szukać palcami w czuprynie rozumu i rzekł:

— Ha! to ni ma rady, ino trza legać.

Lecz Wojtyna prosił daléj. Zniecierpliwiło to deputowanego więc krzyknął:

— Bek! Wlazło!.. nima was? Nie złapicie go za kołnierz i o ławe z nim!

Przyskoczyli posłusznicy, chwycili Wojtynę za kołnierz i już go przywlekli do ławy, wystawionéj na środek alkierza. Zobaczył to jednak tańczący Małek, porzucił danserkę w środku izby i wpadł do alkierza, wołając:

— Wojtyna! aboś to nie worlepnik! Chto tu ma prawo cie bić? Niech cie do regimentu skarzą! A nie trzaśniesz Beka w pysk, Wlazła w pysk, a nie kopniesz ławy! Co to, ni masz siły?

Wszystkie polecenia „kamrata" spełnił Wojtyna z podziwienia godną akuratnością. Rozkrzyżował się i wnet, jak dojrzałe gruszki z potrząśniętego drzewa, odpadł od niego Wlazło, wrzasnąwszy przeraźliwie i trzymając się za twarz, odpadł Bek i poszedł wypluwać z ust krew przez okno; ława zaś odskoczyła w kąt, gdzie wsparłszy się o ścianę, stanęła jak wieko trumny. Małek ciągnął daléj:

— Baba z tobo zaczyna, a ty bedziesz brał kije! Psia krew! urząd gminny. Dwóch w jedny putlonce chodzi i w jeden rękaw nos ucierają, a do gospodarzów i worlepników beda sie brały! Chodź tu hulać i niech chto spróbuje palcem cie uciąć!

Poszli tańczyć do izby, gdzie Wojtyna, nabrawszy otuchy, zaśpiéwał przed muzyką:

A czyje to czyje
Stado giysi płynie?
A moi Kasieńki,
Moi gospodynie—

i zaczął bić w podłogę tak gwałtownie, że aż sęki z niéj wyskakiwały i ściany się trzęsły. Obudzony łoskotem, Bartuś wychylił głowę z pod ławy, dostał w czoło obcasem, wrzasnął, ale ten wrzask oddalił tańczące koła z téj strony tak, że świéży wdowiec mógł nareszcie wydostać się na ławę i usiąść. Przez chwilę mrugał oczyma; febra zaczęła go trząść, głowa mu chodziła, jak nowonarodzonemu dziecku—jednakże mimo czkawki mógł jeszcze wymówić, tylko już powolnym, grobowym głosem:

— A zwoń! a zwoń! a zwoń psia krew, jaż ciebie i mnie. . jaż mnie i ją... jaż ją i ciebie... wszyscy dyabli wiezną... Ale to wszyscy! — wrzasnął na całe gardło.

Febra go jednak dręczyła, więc po chwili zażądał wódki, wypił pół kwarty i uczuł się znacznie zdrowszym. Ciepło mu się zrobiło, spojrzał bezprzytomnie po tańczących i zapłakał:

— Umarła!... biédaczka moja!... umarła... fik! i już po ni!...

Patrzył daléj i w głowie poczęło mu szumiéć. Przed oczyma migały mu jakieś mamidła bez kształtu i wyrazu, zostawiając za sobą białą drogę w powietrzu, zanim przyszły błękitno-czerwone, ciągnące

gnące również kolorowe osłony za sobą. Ale Bartuś wnet w tym zmieszanym wirze dostrzegł Wojtynę, jak uwijał się z panną młodą tak siarczyście, że jéj żupan pod działaniem ruchu otulał ich oboje — i zazdrość mu się zrobiła. Rozejrzał się, otwarł usta i uchem uchwycił dźwięki wiejskiéj kapeli wskroś zgiełku, hałasu i tupotania. Wsłuchał się w melodyę: obertasa grają! A jemu już nogi zaczynają skakać i piersi się podnoszą do okrzyku. Już podniósł się z ławki, ale wnet usiadł, szepnąwszy sobie:

— Żałób.

Siedział i patrzył, a oczy mu się śmiały. Z każdym tancerzem biegał do koła izby, każdą tancerkę przyciskał do piersi — a tu nagle muzyka, „uczynek cy ki dyabli?" stała się tak wyraźna i donośna, jak nigdy przedtém, a tak skoczna, że chłop usiedziéć nie mógł, tylko bił pięścią w ławę, walił obcasami w podłogę, aż dudniło.

— Żałób, żałób—powtarzał sobie. Podnosił się, siadał, oczy mu się śmiały i serce bić zaczęło. Byłby wziął w ramiona pień drzewa i hasałby zapamiętale, ale tak, żeby aż usnął na wieki wśród obrotów. A tymczasem żałoba na niego, tańczyć nie wypada... co ludzie powiedzą?

— Żydzie, wódki!—zawołał, pragnąc tym sposobem rozjaśnić nieco przyćmiony rozum, zastanowić się dojrzale nad swém położeniem i zyskawszy na czasie, jak polityka każe, zadecydować dopiéro tak lub owak.

Tymczasem muzykanci, czy się podmówili, czy ich „zły" opętał, dość, że grają tak ślicznie, jak ich Bartuś jeszcze nigdy nie słyszał. Już chyba i w raju „dobitniejszéj" muzyki niema. Poprostu tony biorą go za barki i poruszają nogami, jak ukryte w ciele sprężyny.

Wypił wódkę i mruknął:

— Te! tać ta ono, co ji ta potém, choćbym i bez całe życie nie chulał? Ona se tam śpi, ręce ma złożone, do Pana Jezusa poziera... a my kiedy ta jeszcze po ty ziemi łazimy, to se ta pochulajmy.

Jakoż wstał z ławy i chwiejącym się krokiem zaszedł popod ścianą do kąta, gdzie sobie wybrał dziewczynę „jak niecółki", objął ją za szyję, mimo niejakiego oporu, podszedł do kapeli i rzucił w cymbały cwancygiera. Ucięli muzykanci, wstrzymały się pary, Bartuś ze swoją tancerką stanął i zaczął, przecierając oczy:

— Ono to na mnie dziś je żałób, a tu wesele i hulają, że jaż hej! To ja je taki: na pół smutny, a na pół wesoły. Zagrajcie mi tak: na pół smutno, a na pół wesoło.

Muzykanci stali zdziwieni, w tancerzach znać było niecierpliwość, bo rozpędzone nogi rwały ich naprzód — aż z tyłu ozwały się głosy:

— Zaśpiewajcie im, to może i zagrać potrafią.

— Kiedy nie umie — odparł Bartuś zafrasowany — a zresztą od czego muzyki, żeby nie wiedziały, jak grać? Zapłaciółem, to mi powinny tak zagrać, jak ja chce!

— Ja wam zaśpiewam, zawołał Małek, i stanąwszy przed grajkami, zaczął na nutę pogrzebową:

Wieczne odpoczywanie
Racz ji dać Panie!

poczém na nutę obertasa:

A światłość wiekowista
Niechże ji zaśwista! hop hop!

Tupnął zapamiętale, aż echo poszło do łóz nadrzecznych, muzycy chwycili ostatnią melodyę i zaczęli: ten smyczkiem drapać po strunach na całą długość ramienia, tamten drążkami biegać po drutach cymbałów, jakgdyby drążki dostały wścieklizny, klarynecista nadął się jak dynia, aż mu oczy krwią zaszły — tłum różnobarwny okręcił się w izbie jak trąba powietrzna, tuman kurzu wzbił się do góry i otulił płowym obłokiem tańczącą gromadę, a ze środka tego szalejącego wichru dobywał się łoskot tupotania, jakgdyby sto cepów waliło w podłogę. Przyśpieszone głośne oddechy mieszały się z szelestem spódnic i żupanów — co chwila ktoś wykrzykiwał: hop hop! lub piskliwym głosem wołał: i—ha! Zaledwie kiedy niekiedy kwilenie klarynetu lub pomruk basowy przedarły się przez tę zawieruchę szumu, tupotu i krzyku. Tańcząca gromada wydawała się jednym stukopytnym potworem, który oszalał, kręci się na miejscu, szumi skrzydłami, bije setką kutych nóg w podłogę i krzyczy i wyje. Cała karczma chodziła, jak żywa, ściany zdawały się dźwięczne, bo tempo i krzyki: hop hop! lub i - hu! rozchodziły się po całéj wsi.

Wesele szalało, bo już trzeba było iść na spóźniony obiad do rodziców panny młodéj.

Ale wójt przerwał uciechę, wezwawszy swatów, urlopników i wogóle całe młodsze pokolenie do alkierza. Siedział przy nim prócz posłuszników Podolec, poglądając z podełba na Prasołowę, która z wypiekami gniewu na twarzy, z nieoschłemi łzami na licach, stała milcząca i zawzięta. Deputowany zimny, sztywny, obojętny, popijał miód dla odmiany i tylko kiedy niekiedy łysnął piekielnym wzrokiem na skarżycielkę.

Naturalnie Małek był pierwszy, który na wezwanie naczelnika gminy się stawił. Za nim szli swatowie w błękitnych żupanach i młodsi gospodarze, nie biorący oficyalnie udziału w weselu, a każdy zgar-

niał wilgotne włosy w tył głowy, ocierał połą płótnianki czy żupana spoconą twarz i rozpinał koszulę na szyi.

Korzystając z téj chwili, włódarz ośmielił się prosić, żeby wójt zechciał zamówić szczególniéj biedniejszych gospodarzy na żniwo do dworu.

— Obo! za darmo już tam nicht nie pójdzie—rzekł Małek.

— Tać ta i pan za darmo nie chce — mówił włódarz.

— No to za co?

— Trzy szóstaki na dzień, na osobe.

— Co? Powiedz panu dziedzicowi, że jak przyjdzie do mnie żąć w jeden dzień, to ja do niego pójde na drugi, na odżyn. Ale za piniądze! Niech se pan piniądze schowa, bedzie jad w zimie.

Mimo tego wystąpienia Małka, wielu się zamówiło, że przyjdą, kiedy się żniwo zacznie.

Wójt, zajęty swemi myślami, nie słuchał téj kontrowersyi, lecz zagaił:

— Znoś ta jakiesi złe sie nalazło i okradło—o—Prasołowę.

— A kiż tam?—zawołano ze wszystkich stron.

— Taż to ju siedemnasta kradzież tego roku,—rzekł jeden.

— Od trzech lat nic sie nie wyjawiło—rzekł drugi.

— To jakiesi sztuderne złodzieje,—zauważył inny.

— Kara boska! — westchnęło kilku.

Milczenie zapanowało ogólne. Przerwał je deputowany, mówiąc z przekąsem:

— Bo tak trzęsiecie! Jak rewidować, to rewidować, to bym nie ino chałupy, ale i pola i krzaki przetrząs! A jakby nic nie było jeszcze wyniesione na insze wsi, abo do miasta, tobym nalaz.

Ale Małek obraził się przymówką:

— Ba! pewnie, że źle trzęsą, kiedy nibdy do was nie zazierają.

— Co? do mnie? do mnie? — wrzasnął Podolec.

— Do was! do was!

Na taki afront deputowany skamieniał. On, dotąd uważany za istotę wyższą nad wójta i radnych, on, któremu ulgi pewne z natury rzeczy się należą, on ma podlegać wszystkim ciężarom na równi z innymi. Zaczerwienił się, zsiniał, porwał się na Małka, potém siadł wyczerpany i mówił spokojnie:

— Ty ze mną nie wojuj, boś ty nie je mój równy!

— Ehe!—odparł Małek z ironią, nabrawszy animuszu przez wódkę — ano!stańcie, obróćcie się plecami, bedziemy sie mierzać, chto większy.

— Stul kusz! — warknął Podolec — cy ja z twoim ojcem świnie pas? cy co?

— Z tatuniem nie mogliście paść, bo tatuś paśli swoje własne bydło w Ubieszynie, a wyście Miemcom paśli w Gilarowy.

— Wójcie—zawołał zrozpaczony deputowany — wieście se tego najducha i zaknyblujcie mu pysk, bo ja nie od tego jezdem, żeby sie z nim swarzyć!

Jakoż wójt odwiódł Małka na stronę i radził po przyjacielsku, aby z deputowanym „nie zarywał". Lecz Małek już całkiem pozbył się pierwszéj lękliwości i nie myślał ustępować. Przed chwilą jeszcze, kiedy się ciął z Podolcem ząb za ząb, drżało w nim serce, bo mu się zdawało, że się „coś strasznego" stanie. Była to bądź co bądź odwaga niemała. Przed Podolcem wszyscy drżeli, sami nie wiedząc dlaczego. Widząc więc, że nic strasznego się nie dzieje, nabrał otuchy, a nawet zaciął się zrobić mu „publikę, niech fafuły nie zadziera". Zaczém zwrócił się do młodzieży i zawołał:

— A no chłopcy! trząść za złodziejstwem, ale za okółką, chałupa za chałupą, bez pardynu!

— Ino deputowanego nie naruszajcie, żeby potym jaka biéda sie nie stała, — upominał wójt.

— Ą na złość, piersze do Podolca idziema!—wołał Małek.

— Ej! nie deszkieruj! mówił naczelnik.

— A no chłopcy! na odwage!

— To se pójdziecie na własne rezyke, bo ja do tego spółką nie jest,—rzekł wójt, umywając ręce od wszystkiego.

Ruszyli wszyscy, ciekawi, co się stanie. I w nich serce biło i oni spodziewali się czegoś strasznego. Szli z daleka za Małkiem i pytali w duchu: odważy się, czy się nie odważy? Ej! chyba zawróci z drogi. Co ta z takim zarywać?

Małek szedł naprzód wsią, prosto do chaty Podolca. Ważność przedsięwzięcia otrzeźwiła go i zaczął rozumować, aby zagłuszyć trwogę. Cóż mu właściwie Podolec może zrobić? Zaskarżyć do sądu gminnego?—temu od Małka zasię, jako od urlopnika. Sądzić go może tylko regiment, a tam Małek się usprawiedliwi. Bo jeżeli Podolec może być wolnym od rewizyi, dlaczegóżby on, Małek, nie miał być od niéj wolnym? Alboż się na nim jaka plama dotąd pokazała? Albo wójt? Przecież i temu nikt kradzieży nie zarzuci, a i ten poddaje się rewizyi po to tylko, żeby nikt od niéj nie mógł się wyłączać. Do cesarza Podolec nie pójdzie, bo to kosztowałoby go zawiele. Jeszcze za dawną jego podróż wieś jęczy pod długami.

Mimo tego rozumowania, bał się coraz więcéj, im bardziéj się zbliżał ku domostwu deputowanego. Żal mu nawet było, że się na to odważył. Niechby lepiéj kto inny zabrał się do dawania Podolcowi lekcyi i moresu. Człowiek zawsze bywa głupi, kiedy sie za drugich ujmuje. Po co mu było tego? Mógł żyć spokojnie, dokuczać Podolcowi czasami, ale nie brać się z nim do wojny.

Wszelako cofać się już nie można. Śmieliby się z niego wszyscy. W każdym razie przytrze to trochę rogów Podolcowi. Bo albo ten, opiérając się na dotychczasowym przywileju, wypędzi rewidujących od siebie, a wtenczas Małek krzyknie, że się rewizyi lęka, czyli jest złodziejem—albo otworzy przed nimi wszystko, a wtenczas żadna rewizya następna już go nie pominie, czyli, że przynajmniéj raz na tydzień przetrzęsą mu chałupę, komorę, stodołę i stajnie. Już to Małka będzie w tém głowa, żeby żadna rzecz nie została na swojém miejscu. I radował się na samą myśl, jak wszystkie stroje niewieście, których wyobrażał sobie przynajmniéj dwie czubate skrzynie u Podolca, zostaną co tydzień wywrócone i zmięte. Będzież dopiero „prewatna” Podolcowa załamywać ręce i przeklinać! A więc: niech będzie co chce!

Z temi słowy wszedł na podwórze Podolca. Chałupa deputowanego naśladowała niezgrabnie dworek szlachecki. Ganek bez podłogi był w środku bielonego budynku, z obu stron sieni izby mieszkalne. Izba główna, czyli kuchnia, była dymna, jak wogóle wszystkie chałupy na wsi, ale miała wrotka słomiane, zamykające dolną połowę otworu drzwi, podczas gdy się paliło, aby nie wpuszczać dołem zimna wtenczas, kiedy dym uchodził górą. Powała i ściany były czarne od dymu i żużli sadzowych, jak długo używany kociołek. Wszelako na wysokość dwu łokci od klepiska dym nie czernił ściany. Pas ten, wylepiony starannie gliną, był upstrzony floresami, malowanemi wapnem. W wyższym rzędzie szły wzory zrobione przez uderzenie całą otwartą dłonią, umoczoną w wapnie—i te miały nieco podobieństwa do jakichś niesfornych stokroci. Niżéj biegły za sobą szeregiem niby kaczki, namalowane przez domorosłego adepta sztuki malarskiéj. Te robiło się umoczywszy w wapnie grzbiet niezaciśniętéj pięści. Zarówno to „kwiatkowanie” jak i wrotka słomiane były zbytkiem, na który mało kto sobie pozwalał. Zostawiano to dla „wielgich kmieciów”.

Gorąco było w chacie, gdy weszli goście niespodziewani. Podolcowa właśnie układała w niecółkach wilgotną bieliznę, posypując każdy szczegół garderoby dokładnie i starannie białym wierzbowym popiołem, który wówczas zastępował miejsce mydła. Niecółki były już pełne i gospodyni oglądała się tylko za parobkiem, aby jéj pomógł włożyć je do rozgrzanego pieca, który potém zalepiano gliną na dobę.

Właśnie wszedł Małek, przy nim ogromny Wojtyna, za nimi Prasołowa, a dopiéro po chwili Podolec i reszta gromady. Małek zaczął:

— Chwalany!

— Na wieki, odparła Podolcowa, mierząc przybyszów podejrzliwym wzrokiem

Małek chrząknął, splunął na bok i otarł usta połą żupana. Wojtyna w téż tropy za nim chrząknął, splunął w to samo miejsce i przecierał oczy. Obaj byli onieśmieleni.

— O czém?—spytała Podolcowa.

— Ta... my tu niby przyśli po trzęsieniu,—bąknął Małek, a miał ochotę przeżegnać się. Zarówno godność żony deputowanego, jak i jéj dostatek, odebrały mu zupełnie animusz. Ku wielkiemu zdumieniu, obaczył drzwi przy piecu, znak, że obok musiała być izdebka. Wydało mu się że jest w pałacu.

— Po jakim trzęsieniu?—pytała Podolcowa?

— Bo to niby — cedził Małek, przestępując z nogi na nogę — ty nocy okradło... niby... o... Prasołowe.

Gospodyni zrozumiała i skoczyła, jak oparzona.

— To ty do mnie przychodzisz szukać kradzieży? do mnie? A ty psia krew parobku kasztański! ty gałganie sobaczy! ty...—przerwała, zapłakała się i podjęła dyskurs z nowym ferworem—ty hoczargo! ty szewłogo ty! ty oszywcze parszywy!... A nie pódziesz mi stąd! Jak wiezne pociaska!... pakuj!

Ale Małek na kłótnię skręcił się jak piskorz w ukropie. Wszystko byłby puścił płazem, tylko wyraz: parszywy, wymagał zemsty. Więc krzyknął:

— Kuszuj złe nasienie! Jakbyś nie była złodziejka, to byś się nie zbarała przed trzęsieniem. Ano! chłopcy trząść! każdą niteczkę zrewidować!

— Co? ty złodzieju! ty mnie kradzież zarzucasz! — wrzasnęła Podolcowa.—Poczkaj chorobo! W kreminale zgnijesz! chrobaki cie roztoczą we Wiśniczy! Ty sie na mojego porywasz? Ignac! — zawołała na męża — a nie przetrącisz mu kuszy niewyparzonéj!

Podolec ocierał tylko pot z czoła wielką ciemnogranatową chustką, z któréj tumanem opadał pył tabaki, i drżący stał za drzwiami. Zaczęła się rewizya. Małek z Wojtyną otwarli skrzynię, napełnioną kobiecym statkiem, i zaczęli dobywać spódnicę za spódnicą, chustkę za chustką, oglądając bacznie każdą sztukę i pytając Prasołowéj, czy się do czego nie przyzna – poczém rzucali towar na ławę. Trwało to oglądanie może z pół godziny—tyle tam było bogactwa — aż nakoniec dno się pokazało w skrzyni. Nic jednak podejrzanego nie wykryto. Za-

tém obaj rewidujący chwycili manatki rozrzucone po ławach i wrzucili do skrzyni, jak co padło. Ponieważ zmięte zmieścić się napowrót nie chciało, więc przycisnęli ją wiekiem i usiedli na niém. Podolcowa szalała. Zarówno wściekłość na „publikę“, jak i rozpacz nad zmaltretowanemi chustami, dusiły ją jak zmora.

— No i co? Nalaześ? hę? Ty niewstydniku, ty zawłoko, ty chorobo przeklęta! Już ci dość? co? Czy jeszcze ci co pokazać? Chodź tu! pies, chodź tu! ciuciu na! pudź tu, ty psie parszywy! tu je izdebka, tam je druga skrzynia!

Płakała, targała włosy, drapała sobie twarz, skakała Małkowi do oczu, a ten kontent ze swéj sztuki, choć wiedział, że żadnéj kradzieży tu nie znajdzie, postanowił wszystko do góry nogami wywrócić. Przeszedł więc do izdebki, która ogrzewana bokiem pieca z kuchni, nie była dymna, lecz wybielona schludnie wapnem, dołem obciągnięta siwą farbką, a tak ładna, że Małek podobnéj przez życie nie widział. Dwa łóżka stały, wymoszczone poduszkami aż pod powałę, jak żydowskie bety, a między niemi z drzewa heblowanego komoda.

Małek zabrał się do przetrząsania łóżek i komody, w czém dzielnie pomagał mu Wojtyna, uradowany nad wyraz, że może spełniać tak poważną funkcyę. Podolcowa daléj wyklinała, siadała na łóżkach, nie chcąc dopuścić do przetrząsania, zastawiała sobą komodę—lecz Małek za ręce ją wyrzucał na środek izby i przewracał wszystko. Jako wieprz dziki, kiedy dostanie się na pole, zasadzone kartoflami, ryjem orze grządki, zagryza ziemniaki, nogami depce badyle, a potém wywraca się i tarza po zniszczonéj ziemi, tak Małek wywracał wszystko, miął w rękach, zsypywał do skrzyni i własnym ciężarem ugniatał chusty. Podolcowéj aż się szczęki trzęsły z rozpaczy i bezsilnéj wściekłości. Co chwilę powtarzała:

— A co nalaześ? he? ty gminny parobku! ty chamie śmierdzący! Ty salamunowa głowo! Mądrala! jaki mi tu! Gnój krowi o siedm łutów więcyl waży niż twój rozum. I wzion se jeszcze do pumocy takie ciele! tego niedojdę niedorobionego Wojtynę!

A Małek:

— Wojtyna! a ni masz pięści! nie zatkasz ji rozkłapany giemby! Ty po gminny służbie. Chto tu śmi pyskować na urzędnika?

Więc Wojtyna puścił się za Podolcową, wzniósłszy pięść do góry nakształt kowalskiego młota. Ta jednak nie czekała, lecz uciekła przed chatę, wyzywając piekła i nieba i klnąc, aż się po całéj wsi rozlegało.

Tymczasem ukończono już rewizyę po jednéj stronie sieni. Załatwiwszy się ze spiżarnią z drugiéj strony, Małek chciał wtargnąć do

komory, lecz Podolec klucze od niéj zgubił. Założono więc drąg za skobel i oderwano go razem z zamkiem. Szczupłe światło, wchodzące przez odemknięte drzwi, rozjaśniło licho wnętrze komory. Widać było tylko ogromne beczki, pełne zboża. Małek do beczek właził, chcąc napaść oczy cudzym dostatkiem, jego towarzysz do innych się gramolił, deptali zboże i rękoma przedzierali się aż do dna. Wojtyna spadł z beczki, jak ciężar bezwładny, i głuche dudnienie ozwało się pod jego nogami.

— Ho hop!—wrzasnął Małek, wyskoczył z beczki i daléj podskakiwać po klepisku, które dudniło coraz wyraźniéj

— Ho hop! tam coś je! skrytka je pod ziemią.

Nagle deputowany wyskoczył z komory i zaczął uciekać.

— Łapaj!—wrzasnęli rewidujący. Ponieważ ludu zgromadziło się mnóstwo na podwórzu i na drodze, więc bez trudności schwycono dezertera i przyprowadzono do komory za kołnierz i za ramiona. Inni zajęli się Podolcową i trzymając za ręce i w pas, niby oblubienicę do ślubu, przywiedli ją razem z mężem.

— Światła!—zakomenderował Małek.

Przyniesiono smolne szczypy i zaczęto świecić, a Małek wrzeszczał, przyskakując do Podolca.

— Dzie je dziura? Chtóręđy chodzisz?

Lecz deputowany milczał, jak zaklęty. Jeszcze raz próbując się wyrwać, zwinął jak węgórz i targnął się jak szczupak w sieci, lecz silne ramiona ścisnęły go tém potężniéj nakształt obcęgów — i stał zamrużywszy oczy, oświecony jak potępieniec czerwonawym płomykiem miącéj szczypy.

Po czterech ludzi zabrało się do wytaczania beczek ze zbożem do sieni, a kiedy wyprzątnięto całą komorę, pokazały się w rogu zatajone drzwiczki w klepisku. Odemknąć nie było ich można żadnym sposobem. Przyniesiono więc belek, kilka ramion wznosiło go w górę i spuszczając końcem, walono, aż drzwiczki pękły. Na dole w czarnéj czeluści pokazał się szczyt drabinki.

Zaczém Małek zszedł po niéj, wziąwszy kilka szczyp, za nim poszedł Wojtyna, potém jeszcze dwu innych z młodzieży. Po chwili Małek dźwignął w górę potężny tłomok, zawiązany w płachtę, a tak wielki, że przez otwór piwniczny należało go gwałtem ciągnąć z góry i popychać z dołu. Kiedy go rozwinięto, Prasołowa krzyknęła:

— To moje chusty, loboga!

— Ho hop!—krzyknął Małek—bedzie tam tego więcyl.

Jakoż co chwilę ukazywał się w otworze klepiska tłomok chust, kożuch, żupan—i co chwilę ktoś wołał:

— To moje! co mi zabrało, bedzie ju z puroka.

— A mnie ze dwie nidziele.

Tymczasem coraz to nowe pakunki szły ciągle do góry. Zgromadzeni w komorze wołali do szukających:

— A bierzcie wszyćko! Może ta i mój kożuch bedzie, co mi go wzieno, bedzie dwa roki okładem.

Zapełniono zdobyczą całą komorę, a ciągle jeszcze przybywały nowe. Podolec stał zdrętwiały, nie śmiejąc drgnąć, Podolcowa tamowała oddech, aby tylko nie zwrócić na siebie uwagi, ponieważ wszyscy, zajęci rewizyą, patrzyli tylko w otwór.

Wojtyna dźwignął do góry kociołek miedziany, zawiązany z wierzchu szmatą, i zapytał o wójta. Wójt, kiedy zauważył, że rewizya za długo bawi u Podolca, przyszedł na koniec nieśmiało i trafił właśnie na chwilę, w któréj dobyto z piwnicy chusty Prasołowéj. Szedł tu z zamiarem wypędzenia rewidujących i odzyskania łaski deputowanego, ale zastawszy tak piękne gospodarzenie, stanął w kącie cicho, myśląc w duchu: chtoby sie to spodziewał.

— Wójcie—mówił Wojtyna—wieście to przy świadkach, bo tam muszą być piniądze. Nieznośnie ten kociełek ciężki.

I uśmiechnął się głupowato.

Jeszcze przez pewien czas trwały wynosiny kiełbas, połci słoniny, szynek i t. d. W końcu wysunął się Wojtyna, niosąc sadło nakrojone.

— To moje—krzyknęła Prasołowa—po kleszczach poznam.

Po nim wyszedł Małek, niosąc małą skrzynkę. Za nim wysunęli się inni. Już nic nie było pod ziemią. Rozczarowanie zapanowało w części gromady, albowiem większa ich część nie odnalazła swojéj zguby. Zapewne rzeczy dawniéj skradzione zostały już sprzedane.

— Wódki! zakomenderował Małek, ocierając pot z czoła. Ktoś dopadł wiśni, fermentujących w okowicie z miodem, i odlał sok w półkwartek. Wszyscy chcieli Małkowi posłużyć, bo nagle wyrósł na bohatera. Wypił smacznie i wrzasnął:

— Związać ich oboje!

Dyby były u wójta daleko, więc chwycono tymczasem postronek i związano jednym końcem ręce Podolcowi, drugim jego żonie, nie szczędząc przytém kułaków, kopnięć i szyderstw. Ale w deputowanych zamarły głosy, żadne ani pisnęło.

Małek tymczasem otworzył skrzynkę i znalazł w niéj pliki papierów; w kącie leżał guzik kanonierski z krzyżem równoramiennym, żółty ale odymiony nieco.

Zawołano starego Czeszyka, który był w piśmie biegły, aby odczytał papiery. Staruszek z krzywym karkiem włożył na nos okulary i brał papier po papierze w drżące ręce:

— Nic mu wyrozumieć ni moge—mówił—bo tu cosik nakryszlane niby po miemiecku. Jakiesi łańcuszki taj tylo. Na dole je napisane: Widzień, i podpisane: cysarz. Pieczątka tyż je rekuratnie czarna, krzyż na ni, jak ma być.

— A przyłóżcie no ten guzik—rzekł Małek — do pieczątki, cy to ono nie je pieczątka zrobiona guzikiem?

— Rychtyk—powiedział Czeszyk—pieczątka je od guzika. Patrzcie wójcie i wy sąsiady, dokumentnie przystaje. Tak! i obrączka takutynięka i krzyżyk równy w okółkę, a szyrszy przy końcach. Czekajcie, przynieście no mi smolaka.

Przyniesiono łuczywo, starzec nad dymem okopcił guzik, rozłożył papier na kolanach i wycisnął pieczęć nową obok dawnéj.

— Pozierajcie sąsiady—ciągnął starzec—o... takutyńka pieczątka jak ta, co tu je. Ani chybi na włosek. No! pożryjcie sie!

Patrzyli wszyscy kolejno na obie pieczęci, a wielu pytało, która jest świeża, a która dawna, ponieważ obie były takie same. Nie ulegało wątpliwości, że dawna została wyciśnięta również guzikiem.

— Hale hale!—zawołał wójt, jakgdyby przypomniawszy sobie coś—taż to je ten sam papiér, co nam go deputowany pokazowali, jak przyśli z Widnia, że to niby od samego cysarza je pismo. Ja se dobrze uważam, choć ja ta nie je piśmienny, bo tu o... widzicie w rogu je żyd na papierze. To ja tego żyda widział, jak ono to pismo było przyniesione. To ten sam, co to ni kaczka, ni jajko, ino tak rozkiestrane, jakby z pióra kapło. Widzi mi sie, żeście wy przy tém byli, jak ja gadał, co mi się nijak widziało, żeby cysarz, co to niby pan je taki gnany we wszyćkich naukach, zrobiół tego żyda.

— A juści, że pamiętam—odparł posłusznik—to było jakosi, bedzie dwa roki i cosik.

— Prawda, prawda—mówili inni, przypominali sobie również — jeszczeście sie pytali, czy to naprawde od samego cysarza.

— Bajno!—mówił wójt—a deputowany sie jeszcze zmarkocili, co to niby im nie wiarujemy, i powiedzieli: To nie widzicie... tego... tego... ino ja to skompanować ni moge, jak to oni zmyśnie nazwali... to miało znaczyć tylo, co niby krzyżyk... jakże to było? A niechże cie skręci, że to ja se tego nie pamiętam...

— Może krajc? wyrwał się jeden z urlopników.

— Tak, tak, tak! Krajc—powiedział wójt.—Tak, tak, dobrze se przypuminam. To to! I to tak nam powiedzieli. Nie widzicie krajca? A chto to może mieć pieczątke z krajcem? To ino cysarzowi to wolno, a inkszym zasie.

— Tak, tak!—potwierdzili inni, a wójt tymczasem powtarzał sam do siebie: krajc, krajc, jakgdyby chcąc sobie zapamiętać ten wyraz na zawsze.

Tymczasem Czeszyk obracał papier w rękach, aż dopatrzywszy w środku dostępny ustęp, zawołał:

— Słuchajcie no gromada!

Uciszyli się wszyscy, a starzec zażył tabaki, przetarł oczy, osuszył dłonią postrzyżone wąsy i zaczął wygłaszać słówko po słówku, sylabizując naprzód półgłosem do siebie: de, o-do, en, a-na, je, a, eś-jaś, do najaś... i t. d. do najaśniejszego cysarza Fernata we Widniu. To je niby handrysa—objaśniał starzec—a tu dali je niby suplika.

Zaczkajcie!

I zaczął czytać, jak po grudzie, co następuje:

— „Pochwalony Jezus Chrystus i Matka Jego, Przenajświętsza Panienka, Ubieszyn dnia trzeciego marca roku pańskiego świętego jeden tysiąc osiem setek szterdziestego i piątego, najaśniejsza munarcho, panie cysarzu Fernacie, niby żydy w ejipski niewoli, tak nam je bieda, bo nas biją i katują, kucha chleba spokojnie wziąść do giemby nie dadzą ino holukają, a idź na robotę, a pracuj od świtu do nocy, a we wieczór legaj na ławę i bierz buki, nic sie nie ostoi ani kura ani dziewka, ino panu dej, a ony łachną i łachną te wilcze gardła nienapchane, to my ciebie prosimy najaśniejsza munarcho, żebyś nas wyswobodziła z tego byczego jarzma, ignacy podolec z ubieszyna. Ament.

— Ono tu je—ciągnął Czeszyk—dokumentnie wszyćko wynurzone, jak trza. I bieda nasza i prośba, jak ma być. Wszyćko rekuratnie i z przykładami, jak wielgi uczony nie potrafi.

— Ba, ba! wołali inni—ono to pismo było we Widniu ta jak wy, abo ja. Przeciek tu oszuśnictwo widać, jak krowę. Sam se prośbe nakryszlał i sam se odpisał niby rezolucyja. To ino, żeby nam oczy zaćmielić.

— Ej! dzieżby znoś śmiałował samego cysarza rękę udawać. Taż to je strach i kreminał wielgi. To jaż sitarki łażą po człowieku i włósi zdziéra na głowie—oponował nieśmiało Czeszyk, który wogóle dla każdego pisma miał najgłębszy szacunek.

Ale Małek burknął.

— Wam ta sitarki chodzą po ciele i włosy stają na głowie, bo sie nie lubicie myć ani czesać. Ale Podolec, co zawsze był wysztafircowany jak w zaloty i kąpał sie jak dziecko w ciepły wodzie na niecółkach, to on ta chiba sie nie strachał. Zresztą zara sie dowiema.

Tu rycerz bez trwogi podszedł ku Podolcowi i rzekł surowo:

— Otwórz giembe, jak nie chcesz, żeby my ci ją żelazem podważyli, i powiedz, cy to je podpis cysarski, cy nie? No! ajns... cwaj... draj!

Równo z ostatnim wyrazem dał się słyszéć trzask, niby ktoś kijanką w bagno uderzył, głowa się zachwiała deputowanemu, czapka spadła mu z czupryny, a na prawy policzek wystąpił mu ornament ścienny z jego własnéj chaty — naprzód kołoru ciemno-karmazynowego, który powoli nabierał barw fioletowych, aż zsiniał nakoniec, a policzek cały nabrzmiał widocznie. Ale Podolec ust nie otworzył; z przymrużonemi oczyma stał drżący, bezbronny, złamany, z zatłumionym oddechem.

Małek czekał chwilę, po czém mówił z pasyą:

— Gadaj psiakrew, złe nasienie, bo cie z drugi strony zamaluję. No: ajns... cwaj...

Lecz Podolcowa, nie mogąc wytrzymać, rzuciła się jak osa i wrzasnęła:

— Ty jego, chamski cepaku, nie bij—boś ty nie wart jego buta, tyś niegodzień stąpić na to miajsce, dzie jego noga chodziła!...

Małek tymczasem wymówił wyraz: draj! rozległ się trzask i wkrótce twarz Podolca stała się dość dokładnie symetryczną. Podolcowa rzuciła się jak lwica i zasłoniła męża, krzycząc:

— A Panie Jezu! ni masz tam jaki cholery na to chamskie ścierwo za to, że śmi bić takiego, jak mój chłop. A ju chieba i w niebie sprawiedliwości nima, że taki gnojarz śmi bić Podolca!

— To niech powie, czyj to je podpis, rzekł Małek.

— A tobie co do tego? ty chamie przeklęty! Cysarz by do takich chamów pisał jak wy! La was to je za wielgi unor, jak mój do was napisze, a wybyście chcieli pisma od samego cysarza! A do wideł, do gnoju, do chlewa, tam je pisanie la was. A wy obmierźluchy, zatraceńce, ośle głowy, świńskie ogony wy! Od cysarza pisma chcą!... A mocny Boże i ty na to pozierasz, jak sie chamy ponoszą! La was guzik wojskowy ju powinien być jak mentalik najświętszy, boście chamy! Tak, tak! Mój wiedział, że ino guzik okopcić, to ju bedzie dość la was, bo wy i taką pieczątkę bedziecie całować, jaż se ryjaki powalacie! Do cysarza by za nimi chodziół?... A wy wszyćcy nie wartacie, żeby on krok la was zrobiół, choćbyście mu całą wieś złotem zasypali— boście chamy zatracone, a on je kmieć i pan!

Pogłupieli wszyscy na te bezbrzeżne upusty wymowy, które się nagle przerwały. Pierwszy opamiętał się Małek i zawołał:

— A toście słyszeli gromada, jak sie przyznała, że ji chłop podrobiół to pismo. Świadkamiście są. Wójcie! bedziecie wiedzieli, jak sądzić.

— Słyszelimy! — zawołało kilka głosów. Inni milczeli z rozszerzonemi oczyma i otwartemi usty. Trudno im było myśli posprzągać i zebrać. Cały świat wierzeń, z któremi się zżyli, przyzwyczaili i oswoili, runął w jednéj chwili. Złodziejstwo Podolca nie dziwiło ich, bo było bardzo „zmyśne i śmiészne”. Ale odebranie wiary w jego pobyt u cesarza, to było dla nich za wiele. Tak przywykli do chlubienia się wobec innych wsi tém, że ich wybraniec był u samego monarchy, że jadł u niego śniadanie, tak sobie pięknie i dokładnie wyobrażali cesarza i jego otoczenie, że im się wierzyć nie chciało w fałszywość tych opowiadań deputowanego.

Podolcowa, usłyszawszy wnioski Małka, rzuciła się naprzód jak wąż, ale w jednéj chwili zacięła zęby i umilkła. Znać spostrzegła się, że powiedziała za wiele, więc mimo iż gniéw rozsadzał jéj piersi, postanowiła milczéć, jak skała.

Wójt zapamiętał sobie wszystkich, którzy słyszeli wyznanie. Wywiązując się z włożonego nań obowiązku sędziowskiego, zagaił rzecz w te słowa:

— Ono mnie się widzi i tak se to sumuje, że wszyćkie złodziejstwa, jakie się tu robiły, co to ani złodziejów, ani szkody my nie naleźli, to ta ju musi być Podolcowa sprawka. Jak deputowany sie do tego nie widzi ani czuje, niech mówi. Ale trza dowieść, chto pokrad.

Gromada milczeniem poparła bystrość uwagi, Podolec milczał, a Podolcowa zsiniała z wściekłości i zgrzytnęła zębami.

— A no! — mówił wójt, wznosząc laskę w górę — to ono Podolec nam zarutów nie robi, to to je tylo, jakby sie przyznał i to przy świadkach.

Milczenie wszystkich było aprobatą sylogizmu.

— No to wy, Bek, polecicie chałupa za chałupą po wsi, żeby z każdego umeru choć jedno przyszło do kaczmy skuzować, co komu zginęło i żeby rozpoznawali, co swoje. Tymczasem zasądzam Podolca, żeby co czwarta chałupa legał na drodze i na każdém miejscu dostanie dziesięć kijów, jaż do kaczmy zajdziemy. Wy, Wlazło, wieźniecie troche chust ze skrzyni od Podolca na zastaw la żyda.

* * *

Słońce już się zniżało, kiedy goście weselni wrócili do karczmy na tańce. Z młodzieży był mało kto — wszyscy poszli do Podolca, zaledwie trzech swatów i drużba z panem młodym dotrzymali placu. Za to starcy zebrali się licznie. Wszyscy w stroju galowym, z kapuzami baraniemi na głowach mimo skwaru, z fajkami w zębach, wszyscy

w niezwykle szerokich pasach o kilku sprzączkach; przy każdym pasie była torebka z krzesiwem i hubką; przy każdym na rzemyku wisiał długi nóż w oprawie rogowéj. W obuwiu nie było téj jednostajności, ponieważ obyczaj dozwalał pod tym względem wiele swobody. Byli więc jedni w butach szytych z „prostéj" czarnéj skóry, inni w chodakach lub łapciach z kory, a nie brakło i bosych. Stary Wlazło, ojciec posłusznika, przyniósł w chustce buty pasowane z żółtego rzemienia i z obcasami, co wywołało sensacyę. Usiadł na ławie, zaczął jeden powoli wciągać na nogę, co mu szło z widoczną trudnością, a tymczasem inni z zarzuconemi „na opaszki" płótniankami podawali sobie drugi z rąk do rąk, skubiąc rzemień i powtarzając półgębkiem: „juszna skóra," „dobitny rzemień," „to żełazło," „ho ho! to was ta i w nich pochowają," „na węgierską modę," „zazuwne jak skrzynki" i t. d. Niektórzy dziwili się „przeczwarności" starego Wlazły, który zawsze uganiał się za nowością i oryginalnością, a nawet, ku publicznemu zgorszeniu, nosił koszulę w zgrzebnych szarawarach, zamiast ją opuszczać po wierzchu, skutkiem czego w dolnéj swéj połowie był podobny do tureckiego żołnierza. Nazywano go zwykle księdzem Matuszkiem, a to dla tego, że pasąc jednego razu bydło, już jako dorosły człowiek, zapragnął był bawić się w spowiedź z jedną dziewczyną. Nieszczęściem penitentka, zapewne lękając się zasadzki na cnotę, wyrywała się jak mogła, przy czém zapalczywy parobek podarł na niéj rantuch. Sprawa oparła się o sędziego dworskiego w Tryńczy, który zawezwawszy parobka, dał mu pięć kijów, mówiąc: „Topra ziewka, że sie nie kciala spofiatać, po ty jeszcze święcenie nie masz. Ja cie topiero fyśfięcę." Jakoż po tém pięciokijowém wyświęceniu Mateusz Wlazło został raz na zawsze księdzem Matuszkiem.

Wciągnął nareszcie buty, ale chodzenie w nich szło mu oporem. Tupał co chwilę, aby szerokie obuwie przystosować do nogi, przeszedł się jak chromy wzdłuż i wszerz izby, napił się araku i posunął ku ścianie, pod którą niby stado gęsi siedziały kobiéty w białych czepcach, rantuchach i fartuchach. Wybrał najpoważniejszą wiekiem Wichtę Gajową i poprosił do tańca.

— E! to nie la mnie, ja ju stara, dziebym ta hysała, jak młodziak—wzbraniała się kobiéta.

— Stara, ale jara—rzekł ksiądz Matuszek i tupnął dla fantazyi. Czy przysłowie, pełne głębokiéj myśli, czy też siła tupnięcia przemówiły do jéj przekonania, dość, że Gajowa splunęła raz jeszcze, ale ostatecznie i stanowczo za siebie, otarła usta i powstawszy wydłużyła ręcę, opiérając dłonie na ramionach tancerza. Ksiądz Matuszek również położył dłonie na jéj ramionach i tak oddaleni na długość rąk, wyszli

drobniutkim krokiem na środek. Muzykanci skończyli stroić, uszykowały się pary, a stary skrzeczącym głosem zaśpiéwał, przeciągając, ile mu oddech starczył, każdą zgłoskę:

Uważaj Zosiu,
Żeby ja sie nie porosiół,
Jak ja bede łączke kosiół.
Tede, tede, tede, tede!

Zarzępoliły skrzypce przeciągle i melancholijnie, posunął się łańcuch par, patrzących sobie w oczy na odległość, ozwało się powolne szastanie nogami, a gąsienica taneczników, drobiąc kroki, pochylając się w lewo i w prawo, kroczyła sennie przed siebie. Dziwny taniec, raczéj spacer z miarowém kołysaniem się par, posuwał się cicho, w towarzystwie drzémiącéj muzyki — rzekłbyś, w ziemi niedoli skazańcy wyprawiają sobie jednę z tych zabaw, raczéj przedrzeźnianie zabawy, któréj całym urokiem jest wspólne zebranie się, przy któréj należy sprawować się cicho, aby nie obudzić dozorcy. Giną już te tańce stare, tańce niedoli, i melodye, drapiące po sercu, jak zgrzebło.

Tańczono „starego".

W drugą parę szedł starosta weselny, który, zrównawszy się z muzyką, zanucił na inną melodyę „siudacza":

A wczora z wieczora
Szukała kaczora;
Ja szukałem koni
Zaszałem jaż do ni.

Oprócz krążenia do koła izby, pary poczęły obracać się na miejscu, przytupując od czasu do czasu.

W rogu izby siedział w krakowskim stroju Kornafel. Ten jeździł z furgonami księcia Czartoryskiego aż do Puław i do Lublina, pobiérając — co z zazdrością opowiadano — od konia dukata na milę. Bywał też i na Węgrzech, odstawiając stamtąd wino dla dworu książęcego. Zwiedził więc świata niemało. Opowiadał téż cuda, szczególniéj o Puławach, gdzie widział „takie pokoje, co to nima w nim powały, ino u góry je sadzawka, a w ni ryby; poźrycie w górę, a tam chlup! chlup, pływają se rybki pozłacane i pośrybrzane." Podobno był nawet i w Krakowie, ale tém się nie chwalił, tylko nie przeczył, kiedy mu to podsuwano. Straciwszy konie i cały zapas pieniężny przed kilkunastu laty, z powodu niegodziwych dróg, osiadł we wsi i gospodarzył. Teraz, zachęcony przykładem przodowników, zakrzesał ognia, schwycił skrę na hubkę, zapalił fajkę i wziąwszy pannę młodą, zaśpiéwał na nutę „trambulanki":

Nima Jasia, nima,
Pojechał do Węgier,
Już wnet nie przyjedzie,
Zawadziół o węgieł.

Muzykanci jednak nie „sformowali”, zaczém po pierwszych tonach muzyka zmyliła, a i tanecznicy nie bardzo umieli dostosować się do téj nowości. Wstrzymały się więc pary i muzyka. Uratował wszystko Stach Bechta, „nie wielgie, ale zmyśne chłopiaga”, o którym mówiono, że kiedy się ubierze w kapuzę „równe pół człowieka je nad głową i równe pod głową”. Ten zaśpiéwał na nutę siudacza, adresując do księdza Matuszka:

Ksiyże wikarynie,
Nie rób browandyje,
Tyś je boski piaston
Dej pokój niewiastom.

Puszczono się zamaszyście, tylko wyzwany miał minę poważną, snać układał replikę, kręcąc się w koło.

Szczęściem, nie potrzebował sobie suszyć głowy, bo zaledwie zrobiono kilka kroków, otwarły się drzwi izby i cały tłum rewizyjny wpadł z hukiem i tartasem do karczmy. Małek wbiegł pierwszy, potém weszli Podolec z żoną w asystencyi posłuszników, dzierżących w ręku „nieznośne” kije.

Deputatowie byli związani postronkiem, którego środek trzymał podwójci, pędząc ich przed sobą, jak nierogaciznę na jarmark. Podolec był zsiniały, krew uciekła mu z twarzy, na któréj zostały ślady potu, pomieszane z prochem ulicznym, i wyraz bezgranicznego zgnębienia i wyczerpania. Szedł chromym krokiem, sztywny, nieruchawy, lękając się poruszyć, aby sińców i ran nie drasnąć dotknięciem koszuli. Odzież na nim była zmięta, na całych piersiach, brzuchu i kolanach pełna kurzu i wilgoci, widać, że kładł się plackiem po drodze i po murawie.

Szedł jak zbrodniarz, zdjęty z tortur, a przez ten krótki czas musiał wiele wycierpiéć, skoro widocznie się podstarzał. Ciało na policzkach, pełne brudu, pofałdowane, opadło mu ku dołowi, a zaokrąglony podbródek potworzył dziwaczne węzły i kłęby, niby nabrzmiałości skrofuliczne. Obok postępowała żona. Brwi czarne zsunęły się ku dołowi, od nosa ku górze poszła głęboka brózda przez całe czoło, oczy zapadły w głąb i ukrywszy się w cieniu brwi, rzucały tylko jaskrawe połyski, szczęki miała zaciśnięte. Widać było, że zamknęła usta na zawsze. Zbrzydła mocno przez ten czas, ale nabrała wyrazu jakiéjś

wściekłéj furyi, tak strasznie patrzyło jéj z oczu, taka potęga wściekłości zastygła w téj kamiennéj twarzy.

Wrzawa i zamieszanie zajęły się w karczmie. Przychodnie dźwigali tłómoki chust, kożuchów, kociołek z pieniędzmi i inne znalezione przedmioty. Starce skupili się na uboczu, aby sobie udzielać wzajemnie obserwacyi, jak Podolec „zepsiał i zczezł”, lub jak Podolcowéj „paskudnie poziéra ze ślepi niby złe, abo jakie wilczysko”. Kobiéty cisnęły się do alkierza, oglądać statek zdobyczny. Skrzypek, wzniósłszy do góry instrument jak pałkę, wyciągnął szyję jak mógł najdłużéj, wspiął się na palcach i patrzył ponad głowy innych przez drzwi do alkierza. Wszystko się tam zebrało. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, patrzyli przez drzwi, a w oknach utworzyły się całe góry ciekawych głów, zbitych jedna przy drugiéj i jedne nad drugiemi, niby bukiet makówek, równo związanych.

Jeden cymbalista został w izbie pod oknem, obojętny, brzęczał w struny i niecierpliwił się, że ten nieład trwa tak długo.

Nagle rozerwał się, kłąb ludzi, stojących we drzwiach, zrobiła się ulica, przez którą widać było wójta w asystencyi posłuszników za stołem, przed nim stała nieodstępna księga ustaw w postaci graniastéj flaszki z okowitą, a z alkierza wypadł Małek, podskakując i wołając: „ho-hop! to ci wesele dopiéro”!

Śledztwo było ukończone. Z siedmnastu kradzieży pozostały ślady w piwnicy Podolca, świadczące niezbicie, że on je popełnił, a trzydzieści dwie niewyśledzonych należało jemu również przypisać. Zapewne już potrafił wysprzedać się ze zdobyczy. Jego zamożność została wyjaśniona.

Wójt ogłosił wynik badania i rzekł:

— Jutro pojedzie deputowany do cyrkułu do Rzeszowa. Wnęk, rychtujcie konie i wóz na jutro, pojedziecie za fruszpant.

Małek znowu krzyknął:

— Dzie je muzyka? Żydzie, psia krew, wódki!

Tłum wrócił do izby, wyprowadzono obwinionych, muzykanci się zebrali i tańce miały się zacząć. Podwójci przyniósł tymczasem nakrojone sadło Prasołowéj w kleszczach i uwiesił je u belka sufitowego w pośrodku izby. Bartuś i Wojtyna przywiedli Podolcową i kazali jéj uklęknąć i złożyć ręce, jak do modlitwy. Uklękła i wzniosła ku sadłu złożone ręce.

Małek wziął pannę młodą, stanął przed muzykantami i zaśpiéwał na nutę obertasa:

Hej, myślicie kmiecie,
Że mnie wybijecie;
Jak mnie wybijecie,
Marnie wyginiecie.

Zawinął się i z całéj siły trzasnął w twarz Podolca, stojącego ze związanemi rękami pod ścianą. Wrzasnęła muzyka, tupnęły podkute trzewiki urlopników,—wrzask, łomot i pisk rozległ się w jednéj chwili po całéj spokojnéj wsi. Rozhukane koła wiły się po izbie, okrążając klęczącą Podolcową, a każdym razem, kiedy wąż skręcony w kółko zbliżał się do Podolca, jedna ręka, niby żądło, wymykała się ku jego twarzy i znowu się chowała.

Nagle Bartuś przerwał taniec, wskoczyl w środek z harapem, wydartym jakiemuś swatowi zza cholewy i trzepnął nim Podolcową, po rękach, wołając:

— Ręce do góry! Bez całą noc tak musisz pacierz mówić do tego sadła, coś go napoczyna. Wiela razy ręce ci umgleją, tylo razy dostaniesz po łapach!

I znowu przyłączył się do tańczących.

Szał ogarniał godowników. Jak wściekli rzucili się do tańca, jak gdyby spragnieni wiru, hałasu, oszołomienia,—jak gdyby chcieli wszystką swą siłę, całą duszę wyrzucić w tych dzikich podskokach, w tych tupaniach i wykrzykach. Zatrzęsła się karczma w posadach; dzieci wtłoczone w okna od zewnątrz, przyciśnięte do ścian przez drugi szereg ciekawych wyrostków, biły w ziemię nogami i wrzeszczały do aktu: i-ha! Okna były podobne do jaskółczego gniazda, obramionego główkami piskląt, łakomych żeru.

Za plecami dzieci potworzyły się ronda, tutaj chłopców, tam dziewcząt, które wirowały zapamiętale do koła karczmy po trawie, po drodze, po zagonach ugoru. Cała wieś była w karczmie lub pod karczmą. Miarowy tupot, rzempolenie muzyki, okrzyki radosne—wybuchały z karczmy, jak nagły pożar, i szły na pola, na łąki, daleko, aż się obiły o łozy nadrzeczne i wierzbinę graniczną, skąd echem wracały znowu do swego źródła. Zdawałoby się, że w karczmie jest otwór jakiegoś wiatraka piekielnego, i że mocy nieczyste wyprawiają swoje igrzyska.

Cisza robiła się na świecie. Na zachód szarzała jeszcze wieczorna zorza, a od wschodu wystąpił biały księżyc i obudził żaby w jeziorach. Ptaki posnęły w zaroślach—ale wrzask, echami zdwojony, obudził je; zarośla i drzewa i łany zbóż poczęły tupać i rzempolić i krzyczéć: „i-ha!" Ziemia oszalała, jak ci, którzy ją uprawiali, a łoskot i dzikie okrzyki zamąciły spokój nawet w kryształowych pałacach, gdzie gwiazdy z księżycem dumają

Jan Zamorski.

Społeczne podstawy Prawa i Państwa.

Michel-Ange Vaccaro.—Les bases sociologiques du droit et de l'etat.—Bibliothèque internationale.—XI.—Paris.—Giard et Brière.—1898.—LXI+480.

Mimo usprawiedliwionego przekonania, że prace na polu nauki o społeczeństwie nie są tak daleko posunięte, aby już dziś można było przystąpić do syntetycznego zestawienia całości téj nauki; mimo ogólnie rozpowszechnionego zdania, że materyał naukowy socyologii nie jest, ani zebrany w dostatecznéj ilości, ani należycie przez krytykę obrobiony,—pojawiają się od czasu do czasu usiłowania określenia praw zasadniczych rządzących życiem społeczeństw i—wedle staréj a jednak słusznéj zasady „*in magnis voluisse sat*" — odmówić im racyi bytu nie można.

Wnikając w ostateczne podstawy życia społecznego, zestawiając materyał w coraz to nowy sposób, prace takie mają za sobą coś więcéj, aniżeli zasługę „dobrych chęci" zbudowania gmachu; stają się bowiem one często cenną wskazówką dla pracujących u podstaw, zbierających materyał i opracowujących go monograficznie; — a jeśli nie są prostém naśladownictwem lub przeróbką już sformułowanych poprzednio zasad, jeśli usiłują znaleść prawdę na nowéj drodze, jeśli się opiérają na grutownéj znajomości poprzednio sformułowanych systemów i popełnionych w nich błędów, choćby może nie wyjaśniły praw zasadniczych

rządzących życiem społeczeństw ludzkich,—przynajmniéj zbliżą się ku téj prawdzie, i wskażą pewne pojedyncze zasady albo dotąd całkiem nieznane, albo niedostatecznie oceniane.

Jedną z takich prób jest praca Michała Anioła Vaccaro, dyrektora, wychodzącego w Rzymie „Przeglądu naukowego prawa". Zdaniem Vaccaro, zasadą kierującą życiem społeczném jest „prawo przystosowania", prawo utrzymujące przy życiu w walce o byt nie najsilniejsze, ale tylko te indywidua ludzkie i te społeczeństwa, które mogą i potrafią jaknajlepiéj przystosować się do coraz to nowych warunków życia. Teorya ta niewątpliwie zostaje w ścisłéj łączności i w związku genetycznym z całym szeregiem teoryi społecznych, opartych na biologicznéj teoryi „walki o byt"; różni się jednak od nich zasadniczo tém, że nie przenosi zasad téj walki wprost do życia społeczeństw, ale sądzi, że śród jednostek ludzkich w zastosowaniu do życia społecznego walka ta przybiera zupełnie inny charakter, przybiera nowe cechy — posługuje się „hamulcami" i „środkami" światu zwierzęcemu nieznanemi. Hamulce te (*tempéraments*) i środki (*moyens*) w społeczeństwach ucywilizowanych, świadomych swoich potrzeb i celów, tak dalece mogą zmienić rezultat „walki o byt", że zwycięzcą w téj walce, utrzymującym się przy życiu, jest nie najsilniejszy bezwzględnie—ale ten, kto na próżną i bezcelową walkę o byt między ludźmi: wewnątrz i zewnątrz społeczeństw, jaknajmniéj sił tracąc, najwięcéj sił skierowywa na walki z naturą, na jaknajlepsze zużycie jéj sił, do jaknajpełniejszego zaspokojenia potrzeb, jaknajwiększéj ilości członków społeczeństwa. Teoryę swą popiéra Vaccaro ogromnym zasobem faktów, nie tylko etnograficznym (jakto czyni większość dzisiejszych socyologów)—ale historycznych, czerpanych z życia społeczeństw ludzkich, barbarzyńskich i ucywilizowanych. W pracy jego są niezawodnie niezgodności wewnętrzne, niejasności i sprzeczności; co do niektorych faktów historycznych i ich społecznego znaczenia można by się z autorem pokłócić, mimo to jednak praca jego wydaje się nam być jedną z najlepszych prac, dążących do wytłomaczenia całości rozwoju społeczeństw ludzkich. Główną jéj wadą, tak jak większéj części prac tego rodzaju jest przekonanie, że życiem społeczném rządzi wyłącznie jakaś jedna, jedyna zasada, którą w jedném prawie—w jednéj formule, streścić można, kiedy tymczasem, życie społeczne, jako rodzaj życia najbardziéj ze wszystkich złożony, prawdopodobnie rozwija się wedle całego szeregu praw wchodzących ze sobą w kolizyę a cała trudność leży nie tyle w odkryciu i sformułowaniu tych praw oddzielnych, ile raczéj w odkryciu praw kierujących w wypadkach ich wspólnego działania i wskazujących, jak w historycznym przebiegu dziejów, w różnych epokach, różne czynniki rozwoju nabierają

znaczenia, dochodzą do przeważnego wpływu, zanikają lub zjawiają się nanowo, stosownie do zmian w zewnętrznėm, fizycznėm otoczeniu społeczeństw i w psychologicznėj naturze indywiduów ludzkich.

W epoce, w którėj żyjemy, kwestye społeczne coraz więcėj zajmują miejsca w umysłowėm i politycznėm życiu społeczeństw i wymagają nieraz natychmiastowego, doraźnego rozwiązania, bez względu na to, czy nauka o społeczeństwie ma, czy niema gotowych, z naukową pewnością sformułowanych odpowiedzi w danėj kwestyi. Dla życia społecznego obojętne są spory naukowe: o zakresie i określeniu socyologii, o metodzie jėj badań i elementarnėm zjawisku społecznėm, o znaczeniu dla socyologii faktów życia narodów pierwotnych i doniosłości badań psychologii narodów. Życie nie czeka — idzie naprzód, gromadzi coraz większą ilość „kwestyi społecznych", wobec których człowiek ucywilizowany nie może pozostać bez odpowiedzi, choćby „tymczasowėj", bo czuje że ma prawo i obowiązek, że musi kierować świadomie i wedle „najlepszego swego rozumienia", losem swoim i swojego najbliższego i najdalszego potomstwa, które pokutuje nieraz wiekami za błędy ojców i dziadów.

Obowiązkiem więc każdego z nas jest: starać się zdać sobie sprawę, o ile mu sił starczy, w jakim kierunku społeczeństwa ludzkie podążają, zbadać, czy i w jakim stopniu kierunek ten może świadomie zmianie ulegać, i o ile ten kierunek z jego etycznemi przekonaniami jest w zgodzie; i dla tego powinien poznać najważniejsze rezultaty prac naukowych w tym kierunku dokonanych, choćby nawet miały one wartość „prawd tymczasowych", byleby w zastosowaniu ich praktycznėm nie zapominał o „tymczasowości" ostatecznych wyników tėj nauki.

I.

„Wszystko na powierzchni naszėj ziemi ulega zmianom, a chociaż zmiany te są względnie do nas niesłychanie powolne, to gdy wpływ tych dokonywających się zmian oddziaływa koniecznie na rasy roślinne i zwierzęce, rasy te ulegają różniczkowaniu się bez przerw istotnych". W tych słowach Lamarcka wypowiedzianych w jego „Filozofii zoologii" (1809 r.) zawiera się podług Vaccaro zaród całėj teoryi ewolucyjnėj, którą Darwin tylko rozszerzyl i dopełnił. Dziś uważamy to już za prawdę niebotrzebującą dowodzenia, że w ciągu różnych epok geologicznych, jakie kula ziemska przechodziła, zmieniające się ciągle warunki fizycznego otoczenia, wytwarzały coraz to nowe warunki bytu organicznego i jednocześnie coraz to nowe formy życia roślinnego i zwierzęcego, „przystosowane" do nowych warunków, a usuwały te

formy, które się do nowych warunków przystosować nie mogły. Warunki zewnętrzne i dziedziczność są głównemi czynnikami, ciągle odbywających się przystosowań; prace Darwina przyłączyły jeszcze trzeci czynnik „dobór naturalny”, który za pośrednictwem „walki o byt” utrzymuje przy życiu osobniki najlepiéj przystosowane. Błąd Darwina, podług Vaccaro, polega na tém, że sądzi on, iż sam dobór naturalny przy współdziałaniu doboru płciowego wywołuje przemiany gatunków. Prawda jednak wynika dopiéro z połączenia obu teoryi: Lamarcka i Darwina, a przystosowanie organizmów ma miejsce pod wpływem 3-ch czynników: zmiany warunków zewnętrznych, dziedziczności i doboru naturalnego t. j. walki o byt.

Najpospolitszym błędem w socyologii, podług Vaccaro, jest przenoszenie wprost praw biologicznych przystosowania się organizmów do dziedziny stosunków społecznych: bezwątpienia człowiek zmuszony jest też przystosowywać się do zmieniających się ciągle warunków swego bytu—ale prawa jego przystosowania są, jako istoty społecznej, inne aniżeli prawa rządzące przystosowaniem się roślin i zwierząt. Większość dotychczasowych teoryi socyologicznych grzeszy nieuwzględnianiem téj prawdy, i nie rozbiera specyalnie, jakby to wypadało, praw przystosowania się człowieka do środowiska: kosmicznego, roślinnego, zwierzęcego i społecznego.

Wszystkie teorye oparte na darwinowskiém prawie „walki o byt”, nie uwzględniają téj okoliczności, że procesy historyczne są daleko więcéj złożone i zawiłe, niż procesy biologiczne, i że ewolucya postępowa nie wyczerpuje całego procesu ewolucyi, gdyż obok niéj odbwają się téż w naturze i procesy ewolucyi wstecznéj (regresya). Teorye te przyjmują za pewnik: nieskończony i nieprzerwalny postęp, i nieuwzględniają: ani zjawisk pasorzytnictwa, tak pospolitego w sferze stosunków społecznych, ani rozmaitych środków doboru sztucznego w społeczeństwach t. j. doboru wynikającego z różnych instytucyi i zarządzeń ustanowionych przez ludzi, i nie mających żadnych analogii, ani w świecie roślinnym, ani w świecie zwierzęcym. Dla nich „walka o byt” nie bywa ani modyfikowaną, ani zawieszaną przez żadne wpływy uboczne; czemu fakta najoczywiściéj zaprzeczają.

Dla zwolenników teoryi H. Spencera przejście od niescałkowanéj jednorodności do scałkowanéj różnorodności tłomaczy wszystkie zjawiska społeczne, lecz przejście to tém mniéj tłumaczy i wyjaśnia, im zjawiska społeczne stają się bardziéj złożonemi. Spencer uznaje wpływ prawa przystosowania się, przypisuje wielkie znaczenie równowadze pomiędzy stosunkami wewnętrznemi i zewnętrznemi bytu organizmów i społeczeństw; rozważa środki zachowania téj równowagi i dzieli je na bezpośrednie i po-

średnie. To co on określa jako środki bezpośrednie, to są te same czynniki ewolucyi, które określił Lamarck;—środki pośrednie, to walka o byt, dobór naturalny i płciowy Darwina, tak, że co do ewolucyi biologicznéj — Spencer łącząc obie teorye: Lamarcka i Darwina przedstawia nam całość czynników ewolucyi. Ale błąd jego zaczyna się dopiéro wtedy, gdy wszystkie zjawiska społeczne probuje sprowadzić do zjawisk biologicznych i to z pominięciem faktów wyradzania się i pasorzytnictwa. Spencer wykazuje, że rozwój inteligencyi służy do lepszego przystosowania i zrównoważania czynności wewnętrznych i zewnętrznych, ale pomija całkiem znaczenie przyjemności i bólu, sądzi, że własności zbiorowiska ludzkiego zależą wyłącznie od własności jednostek, które to zbiorowisko składają, i stara się psychologię zbiorowisk ludzkich oprzéć na analogii z psychologią jednostki. Rozwój społeczny nazywa rozwojem nadorganicznym,—ale wyjaśnia go w sposób czysto biologiczny, nie widzi, że prawo przystosowania się przybiera inne formy w sferze zjawisk społecznych. Społeczeństwo dla niego jest organizmem, czy jestestwem analogiczném do organizmu—i kluczem do zrozumienia zjawisk życia społecznego, są zjawiska świata zwierzęcego, które „kopiuje" z praw ewolucyi zwierzęcéj. Wskutek tego zmuszony jest nieraz dociągać fakty do teoryi, i pozostawiać na boku wszelkie badania nad stosunkami wzajemnemi klas społecznych, chociaż są one faktami najbardziéj charakterystycznemi życia społecznego.

Dla Vaccaro teorye społeczne oparte na zasadach wygłoszonych przez Comt'a stoją wyżéj, niż teorye darwinistyczne i spencerowskie. Uwzględniają one wysoką złożoność zjawisk społecznych i ich odrębność od zjawisk życia organicznego. Punktem ich wyjścia jest ludzkość, bez ograniczenia w przestrzeni i czasie, przedmiotem badania: prawa ewolucyi, bez przesądzania, czy ta ewolucya jest postępem czy uwstecznieniem; przyznają one, że rozwój może być nie ciągłym, niejednostajnym w różnych sferach życia społecznego, i może nie odbywać się stale w kierunku jednéj linii prostéj, ale że zwykle waha się koło pewnego kierunku średniego. Widząc w ewolucyi świata zwierzęcego ciągły wzrost sił intelektualnych, Comte wziął za podstawę rozwoju ludzkości prawo „psychicznego, filogenetycznego i ontogenicznego rozwoju" opartego na przewadze najprzód instynktów zwierzęcych a potém instynktów społecznych. Rozwój jednostki i społeczeństwa odbywają się w jednakowy sposób: dążą one do poddania namiętności pod prawa inteligencyi, do podporządkowania instynktów jednostki instynktom społecznym i utożsamienia jednostki ze społeczeństwem. Pozostawiając na boku jedyną rzecz realną t. j. grupy społeczne, Comte bierze za punkt wyjścia ludzkość—pojęcie czysto abstrakcyjne—zwraca uwagę przede-

wszystkiém i prawie wyłącznie na nagromadzenie wiedzy i sądzi, że od rozwoju inteligencyi, zależy cały rozwój ludzkości, który podporządkowywa pod 3 epoki rozwoju umysłowego. W tém leży błąd zasadniczy Comte'a i jego szkoły, z któréj Vaccaro najwięcéj zasług przyznaje Bastian'owi.

Najbardziéj odbiegają od prawdy, zdaniem Vaccaro, wszystkie szkoły organistyczne wysilające się na stwierdzenie téj nieprawdziwéj prawdy, że społeczeństwo jest istotnym, realnym organizmem; — przyczém często w stosowaniu zasad Darwina, idą daléj, niż Darwin, dowodząc (Nowikoff), że w walce o byt zawsze lepszy zwycięstwo odnosi. To co szkoła ta nazywa metodą analogiczną, jest „metodologiczną samowolą", stosującą do życia społecznego te prawa biologiczne, które uzna za właściwe zastosować, i odrzucającą inne prawa, które się jéj nie wydają odpowiedniemi. W gruncie rzeczy podobieństwo między społeczeństwem a organizmem jest czysto powierzchowne, a co do różnic, to na ilość ich sami zwolennicy téj szkoły zgodzić się między sobą nie mogą i wyliczają ich: 3 (Spencer), 2 (Worms), a czasem 12 (de Greef). Jeśli szkoła organiczna wypowiedziała parę trafnych uwag o społeczeństwie, to udało się to jéj, nie dzięki jéj teoryi, ale mimo téj teoryi, która ma w gruncie rzeczy charakter metafizyczny i łączy się bezpośrednio historycznie z teoryami Ahrensa, Krauzego, Herdera i Platona, a często wpada w błędy przedustawnéj organicznéj harmonii ludzkości.

Z pozostałych teoryi socyologicznych, które Vaccaro nazywa niezależnemi, najwięcéj uznania ma on dla Gumplowicza; sądzi jednak, że za wielki wpływ przypisuje on walce ras, którą badał specyalnie. Walce téj jednak, tak jak ją Gumplowicz pojmuje, brak pewnego gruntu, bo wielość pochodzenia ludzkiego, w którą tak mocno wierzy Gumplowicz, nie jest bynajmniéj ostatecznie dowiedzioną. Gumplowicz zaprzecza wszelkiéj możliwości postępu, sądzi, że suma eksploatacyi ludzi przez ludzi pozostaje zawsze ta sama, a moralny charakter ludzi i klas społecznych postępowi nie ulega, do nowych warunków się nie przystosowywuje. Tak, jak w zoologicznéj teoryi Agassiza, tak i w teoryi społecznéj Gumplowicza, rasa, w szeregu wieków, jest czynnikiem niezmiennym. Podział pracy wewnątrz społeczeństwa, nie uległego podbojowi rasy obcéj, zjawia się u niego ukradkiem („*en sourdine*") bez należytego wyjaśnienia przyczyn i wpływu tego zjawiska. Zlanie się różnych ras etnicznych w państwie w jedną całość — „narodowość" wchodzi na scenę, jak „*deus ex machina*", i wszystko to pozostaje w sprzeczności z zasadniczą niezmiennością ras i stałością nienawiści rasowych, które jakoby osłabieniu ulegać nie mogą. Gumplowicz za-

przecza, aby objawy pasorzytnictwa społecznego z biegiem historyi słabły, aby jednostka ludzka była zdolna przystosowywać się coraz lepiéj do coraz to nowych warunków uspołecznienia. Charakterystycznem jest w jego teoryi i to, że prawo powstaje dopiéro w państwie.

Zbadawszy błędy poprzedników, Vaccaro tłumaczy nam swoje zasadnicze poglądy, biorąc za punkt wyjścia rolę bólu i przyjemności w życiu organizmów.

II.

Każdy organizm jestto zbiór materyi posiadający życie. Aby życie trwało, musi istnieć pewna równowaga między siłami zewnętrznemi po za organizmem i wewnętrznemi w organizmie; wrażliwość i ruchliwość organizmu wywołują ciągle przejścia od jednego stanu równowagi do następnego. Według Spencera, życie jest ciągłem przystosowywaniem się organizmu do warunków zewnętrznych, do jego otoczenia.

Ewolucya form życia na ziemi pozostawała zawsze w ścisłym związku z historyą geologiczną kuli ziemskiéj; w miarę różniczkowania się warunków geologicznych i klimatycznych, formy życia stawały się coraz rozmaitsze; zawsze jednak pod wpływem zmian zewnętrznych organizmy ulegały zmianom wewnętrznym, a siły swe czerpały przyswajając sobie coraz to nowe cząstki materyi zewnątrz nich leżącéj. Śmierć organizmu—jest przejściem do równowagi mniéj złożonéj, i następuje z chwilą, gdy dalsze przystosowanie się lub przyswajanie materyi zewnętrznéj ustały. Mimo różnic indywidualnych, każdy gatunek ma swoją średnią długość życia, wytworzoną, jak się zdaje, przez przystosowanie się gatunku w ciągu całego jego filogenetycznego rozwoju.

W szeregu wieków warunki zewnętrzne danéj miejscowości ulegały zmianom. Pod wpływem tych zmian i formy organiczne zmieniać się musiały. Jeżeli zmiany otoczenia były zbyt wielkie, organizm, nie mogąc się przystosować do nich, umiérał; jeśli były nie wielkie, organizm przystosowywał się. Jeśli zmiana wytwarzała dla organizmu warunki istnienia dogodniejsze od poprzednich, przystosowanie odbywało się szybko i bez cierpień; jeśli nowe otoczenie było dla organizmu mniéj korzystne, przystosowanie odbywało się zwolna i połączone było z cierpieniem: życie organizmu stawało się krótszém, mniéj pewném a pełném cierpień. Dobór naturalny ma za jedyne zadanie przystosowanie organizmów do środowiska; to przystosowanie jest w każdym razie względnie do pierwotnego typu zwyrodnieniem, a ci którzy przeżyli nie koniecznie są lepszymi. Jeśli po nastąpionem zwyrodnieniu gatunek po-

wraca do lepszych warunków bytu, wtedy odczuwa ciężar zwyrodnienia i nie odrazu przystosowywuje się do tych dawnych, lepszych warunków.

Przystosowanie się organizmu do gorszych warunków życia pozostaje w ścisłym związku z emigracyą form życia organicznego, rozumie się tylko zwierzęcego.

Ruchy materyi zorganizowanéj mają miejsce w kierunkach najsłabszego oporu, pod wpływem wrażeń przyjemności i bólu, jakich w danéj chwili doświadcza organizm. Podług Bain'a przyjemność to uczucie wzrastania energii życiowéj, ból—to uczucie zmniejszania się téj energii. Podług Spencera ból jest odczuciem działania szkodliwego dla organizmu—przyjemność odczuciem działania sprzyjającego dobrobytowi organizmu. Nakoniec podług Sergi—łączącego teorye Spencera i Ardigo—ból i przyjemność są uczuciami powszechnemi i pierwotnemi, ostrzegającemi organizm, czego się ma strzedz a czego poszukiwać, zachowującemi organizm od śmierci.

Wszystkie te teorye opiérają się na przypuszczeniu pewnéj czynnéj tendencyi i pewnéj celowości w naturze, na gruncie zatém teleologicznym i nienaukowym, na pojęciach dobra i zła, pożytku i szkody zupełnie nieokreślonych.

Wszystkie poruszenia dobrowolne istot organicznych są określone przez uczucia bólu i przyjemności,—to jest istotne prawo ducha. Pytanie leży w tém, jak powstają dążenia do doświadczania przyjemności i do unikania bólu?

Vaccaro sądzi, że przyjemność sprawiają organizmowi wszelkie poruszenia dążące do utrzymania równowagi pomiędzy siłami wewnętrznemi i zewnętrznemi, a uczucie bólu jest tylko skutkiem poruszeń, które tę równowagę zrywają. Ból i przyjemność są tylko objawami prawa powszechnego, dynamicznego, objaśniającego, że każdy ruch skierowany jest do równowagi. To co nazywamy kierunkiem najsłabszego oporu, jest téż objawem tegoż prawa, kierunkiem ku równowadze; kierunek przeciwny, kierunek nie dążący do równowagi—jest kierunkiem największego oporu.

Prawo, które kieruje za pośrednictwem uczuć bólu i przyjemności poruszeniami zwierząt i ludzi, jest zatém tém samém prawem, które kieruje wszelkim rodzajem ruchu. W ten sposób życie każde jest nieprzerwaném pasmem uczuć przyjemności i bólu, kierujących organizmem aż do śmierci. Ból i przyjemność są najlepszemi kierownikami instynktu zachowawczego istot organicznych. W świecie zwierzęcym wrażliwość wzrasta i staje się coraz lepszym kierownikiem. Dobór naturalny sprawia, że życie z wrażliwością łączy się węzłami coraz ściślejszemi.

Związek ten jednak nigdy nie jest doskonałym. Nigdy równowaga nie jest związana doskonale z uczuciami bólu i przyjemności—i nigdy do zupełnéj doskonałości nie dojdzie. Podług Spencera, nie zupełne uzgodnienie tego związku wynika z przebytego już przez gatunek, w ciągu jego całego istnienia na kuli ziemskiéj, szeregu przystosowań i odstosowań w różnych, nieraz sprzecznych, warunkach bytu (*adaptation* i *réadaptation).* Gdyby środowisko organizmów w szeregu wieków przestało ulegać zmianom—wtedy, być może, organizmy powoli mogłyby się ostatecznie i doskonale przystosować do swoich warunków bytu, ale warunki te stale ulegają zmianom, przystosowanie się stale za nimi podąża, nim się jednak zupełnie i całkowicie do nich przystosuje, nowa zmiana warunków wywołuje nowy szereg przystosowań, przez co niektóre poruszenia, które kiedyś prowadziły do równowagi, a obecnie ją zrywają, lub są dla niéj obojętne, sprawiają organizmowi przyjemność,—inne zaś sprawiają ból, dla tego, że kiedyś wywoływały naruszenie równowagi, a obecnie przy zmienionych warunkach bytu są czy to obojętne, czy téż nawet wprost prowadzą do przywrócenia równowagi. Istnieje czasami pewna głęboka niezgodność — jakiś tajemny związek pierwotny pomiędzy równowagą organizmu i uczuciami bólu i przyjemności — któryby można nazwać związkiem odwrotnym—a pojęcie tego związku nieraz tłomaczono istnieniem Istoty Najwyższéj, karzącéj istoty ubiegające się za uczuciami, sprawiającemi przyjemność.

Uczucia bólu i przyjemności skierowywują każdą istotę organiczną ku coraz to dokładniejszemu przystosowaniu się do warunków zewnętrznych bytu. Zmysły grają tu rolę rozszerzającą ciało w przestrzeni,—tak jak pamięć rozszerza je w czasie. Rozwijając się w czasie o przestrzeni, działanie zmysłów staje się coraz bardziéj złożoném, specyficzném, pewném i skuteczném. Pamięć przebytych przyjemności i bólów nie ginie razem z pojedynczym organizmem, z indywiduum; część jéj przechodzi nieświadomie do pamięci potomstwa. Instynkt zwierzęcy, to zorganizowana pamięć gatunku—a pamięć indywiduum, to tylko, tak samo u z zwierząt jak i u ludzi, instynkt świadomy. Dwa te gatunki pamięci: pamięć gatunku i pamięć jednostki zachowują organizm od popełniania grubych błędów. Ale działanie ich czasami jest bezskuteczne, błędne i fałszywe, a przyczyna tego leży w zmianach warunków zewnętrznych.

III.

Jakkolwiek prawa przystosowania się organizmów do warunków bytu—do środowiska — są powszechne, to jednak prawa te, o ile doty-

czą istot ludzkich, ulegają pewnym modyfikacyom. Wobec natury człowiek jest istotą słabą, musi znosić jéj działanie, do niéj się przystosowywać pod grozą śmierci — i nigdy od tego działania wyswobodzić się nie może. Ciało jego jest garścią ziemi, i pod działaniem téj garści ziemi duch jego zawsze pozostaje.

Ludzie różnią się między sobą fizycznie i duchowo, ani ciała ich, ani umysły nie są jednakowe i nie są téż stale jednakowe w szeregu wieków, wśród ciągłych zmian telurycznych. Usiłowania Kollmana, aby dowieść, że fizyczna budowa człowieka nie uległa zmianie w ciągu całéj epoki czwartorzędowéj—pozostały bez skutku.

Przy tém, odkąd człowiek wydarł naturze część téj władzy, jaką ona miała początkowo nad nim, jak nad wszelkiém zwierzęciem,—odtąd uległość jego prawom natury nie jest niezmienna i jego ciało przestało ślepo stosować się do zmian zachodzących na kuli ziemskiéj. Podług Wallac'a, ciała to jest odtąd w pewnym stopniu niezmienne, a za to umysł ulega zmianom większym i te zmiany w charakterze intelektualnym i moralnym pozwalają mu coraz lepiéj zabezpieczać się przed szkodliwemi dla ciału wpływami otoczenia. Jest to postęp, który nie tylko, że raz zdobyty, trwa daléj, ale nawet stale się nagromadza. Twierdzenie Wallace'a, podług Vaccaro, jest przesadą i ciało ludzkie ulega w dalszym ciągu zmianom pod wpływem zmiennych warunków telurycznych,—ale zmiany te, zmiany fizyczne jego konstytucyi, jeśli mają miejsce, są niedostrzegalne — a cała sprawa przystosowania się człowieka do nowych warunków bytu odbywa się w sferze jego psychologicznéj natury.

Warunki bytu zewnętrznego muszą wywoływać zmiany i w konstytucyi fizycznéj i w konstytucyi intelektualnéj, które to ostatnie redukują się téż do zmian fizycznych w ośrodkach nerwowych, są dla nas niedostrzegalne i obserwować je możemy tylko w ich objawach. Jeśli zwierze jest inteligentniéjsze niż inne—wierzymy, że jego organizacya nerwowa jest dokładniejszą, wrażliwszą, i lepiéj do warunków zewnętrznych przystosowaną. Człowiek niewątpliwie pod wpływem inteligencyi zajmuje śród zwierząt najwyższe miejsce a system jego nerwowy uległ największéj ilości przystosowań.

Jeśli to samo rozumowanie zastosujemy do różnych grup ludzkich, to musimy uznać: 1) że siły i wpływy wewnętrzne wywołują w człowieku szereg zmian fizycznych i psychicznych; 2) że te ostatnie—zmiany psychiczne są w człowieku najdaléj posunięte; 3) że dobór naturalny działa także na przymioty psychiczne i 4) że praca przystosowania się jest ta sama w człowieku co w zwierzęciu—z zastrzeżeniem

różnicy co do stopnia—rozszerzenia w czasie i przestrzeni—złożoności i specyalizacyi.

Zmysły dokładniejsze i lepsze, niż u wielu zwierząt, narzędzia przyrządy i maszyny, które sam zbudował; ubrania, domy i inne narządy ochraniając jego ciało,—umiejętność przerabiania materyału surowego na przedmioty użyteczne, — umiejętność zabezpieczenia się od szkodliwego wpływu pewnych sił przyrody przez przeciwstawienie im innych sił, również potężnych, lub jeszcze potężniejszych; wszystko to wpływa na zmianę praw przystosowania się człowieka. Ewolucya tych zmian jest z natury nieograniczona, nie może więc być ograniczoną w dalszym ich postępie—a przez to prawa przystosowania się człowieka tracą czysto biologiczny charakter.

Najogólniejsze zatém, najwyższe prawa socyologii, muszą być prawami przystosowania się społeczeństw do wszystkiego tego, co stanowi warunki zewnętrzne bytu człowieka: siły kosmiczne, flora, fauna i w końcu organizacya społeczna.

W krótkich rysach zastanawia się Vaccaro nad podstawami przystosowania się człowieka do świata zewnętrznego, do natury. Świat nieorganiczny, siły fizyczne i chemiczne, początkowo — wszystkie były jego wrogami, lub dla niego przeszkodami. Obecnie wiele z nich są mu pomocą i granice postępu w tym kierunku oznaczyć się nie dają. Dziś najcięższą do pokonania trudnością jest względna ograniczoność tych sił i przedmiotów natury i nierówny ich podział między różnych członków społeczeństwa; nadmiar u jednych i zupełny brak u drugich. W społeczeństwie cywilizowaném los nieposiadających jest gorszy, niż człowieka dzikiego w społeczeństwie pierwotném, które na ogół nic nie posiadało — bo ten ostatni do lepszego losu przyzwyczajony nie był, wzrosł wśród nędzy i do niéj już się przystosował.

Człowiek ujarzmił dziś prawie całkowicie świat zwierzęcy i roślinny;—z większéj części kuli ziemskiéj usunął zwierzęta szkodliwe—i jak obecnie najcięższą walkę stacza z temi organizmami chorobotwórczemi, które dzięki swéj niedostrzegalności usuwają się z pod jego wpływu. W różnych klimatach człowiek nabrał różnych wiadomości praktycznych i zdolności, a tam gdzie walka z warunkami klimatycznemi była cięższa, tam wyrobił w sobie charakter bardziéj energiczny i przedsiębiorczy. Nawet większa lub mniejsza odwaga, większa lub mniejsza cnota, wydają się nam być wypadkową środowiska, które zamieszkuje, lub zamieszkiwał w przeszłości.

IV.

Najzaciętsze walki, przystosowania się najbardziéj zawiłe, prawa rozwoju najszczególniejsze, wynikły z walk człowieka z człowiekiem, grupy ludzkiéj z grupą ludzką—z przystosowywania się człowieka do warunków socyalnych—społecznych. Źródłem tych walk jest względny brak, ograniczoność środków zaspokojenia potrzeb, która wiedzie za sobą usuwanie słabszych jednostek czy to bezpośrednio przez wyrzynanie, czy téż pośrednio—na drodze konkurencyi. W gruncie bowiem rzeczy wyrzynanie się i konkurencya mają cel jeden—owładnięcie środkami zaspokojenia potrzeb na wyłączny użytek jednego indywiduum, lub jednéj grupy ludzi, z wyłączeniem pozostałych. W pierwszym wypadku słabszy ginie natychmiast, w drugim umiéra powoli, w skutek niedostatku pokarmów i choroby. W pochodzie cywilizacyi rzezie znikają coraz bardziéj—przeżytek ich jednak—wojna, trwa dotąd i nie można przypuszczać, aby rychło zniknęła zupełnie.

Walki człowieka i grup ludzkich między sobą można usystematyzować, dzieląc je na walki wewnętrzne—w danéj grupie między jednostkami i klasami społecznemi—i zewnętrzne między różnemi grupami społecznemi. Oba te szeregi walk i wynikłe z nich przystosowania oddziaływają wzajemnie na siebie i wpływają na przystosowanie się wzajemne indywiduów.

Człowiek jest niewątpliwie najdzikszém ze zwierząt;—zwierzęta jednego gatunku nie wytępiają się wzajemnie nawet w walkach o samicę. Jeden tylko człowiek zabija człowieka i pożéra go. Dopóki walka z naturą jest zacięta, dopóty walka między ludźmi jest słaba. Brak żywności rzuca człowieka na człowieka; dochodzi on do tego, że morduje dla przyjemności mordowania — poluje na istoty sobie podobne z zamiłowania. Społeczeństwa starożytne nie znają pokoju tylko zawieszenia broni, ani też innych umów międzynarodowych, jak poddaństwo. Bardzo późno powstał zwyczaj wypowiadania wojny,—w walce zaś z obcemi, wszelki podstęp był dozwolony, a i dziś nawet stosunki międzynarodowe nie odznaczają się prawością (lojalnością).

W epoce, w któréj przyrodzone płody ziemi były jedyném pożywieniem ludzi, wyłączném źródłem środków zaspokojenia potrzeb życia było terytoryum (ziemia) będące w bezpośredniém posiadaniu grupy. Zwycięzcy wypędzali zwyciężonych z zajmowanego kraju—zwyciężeni musieli się usuwać na terytorya mniéj żyzne, mniéj dogodne pod względem geograficznym i klimatycznym. Popadali oni zwykle w warunki bytu mniéj dogodne, do których musieli się przystosować. Wyradzali się, stawali się jeszcze słabsi liczebnie i fizycznie.

Miliony ludzi w ten sposób znikły z oblicza ziemi—niedobitki odsunięto na krańce świata zamieszkałego (Finnowie, Baskowie, Weddahy, Indyanie amerykańscy, Buszmeni).

Najczęściéj jednak w stadyach pierwotnych zjadano zwyciężonych. Ślady ludożerstwa spotykamy na całéj kuli ziemskiéj. Wyrzynanie zwyciężonych było jednocześnie najlepszym środkiem zabezpieczenia się na przyszłość — i ten środek radykalny stosowany był nawet w czasach względnie cywilizowanych; uznawali go za odpowiedni: Plato, Arystoteles i Alberic Gentili (w w. XVI). Wypowiedzenie wojny plemieniu było jednoczesném skazaniem go na wytępienie— a prawo kanoniczne wieków średnich akceptowało na wojnie i rzeź i rabunek.

Od takiego stadyum pierwotnego zaczyna się ewolucya walk między ludźmi. Z czasem te pierwotne formy walki stają się dla człowieka mniéj korzystnemi. Przystosowywuje się on więc do innych form, a cały ten szereg nowych form walki i nowych przystosowań wytwarza nowe formy społeczne, których ewolucyę kréśli Vaccaro w następnych rozdziałach, badając naprzód ewolucyę walk zewnętrznych, a następnie walk wewnętrznych w grupach społecznych.

Przyczyny wywołujące złagodzenie walk zewnętrznych dzieli Vaccaro na dwie wielkie grupy: przyczyn bezpośrednich i pośrednich.

Pierwszą z przyczyn bezpośrednich był powoli zaprowadzony zwyczaj zaoszczędzania w rzezi po zwycięstwie kobiét i dzieci zwyciężonych. Kobiéty służyły do zaspokojenia namiętności i jako pierwsze bydło robocze. Dzieci wychowane w niewoli obracano téż do posług domowych.

Drugą przyczyną był zwyczaj wymiany lub wykupywania niewolników po walkach, które nie kończyły się ostateczną zagładą jednego z plemion, z czego, gdy człowiek jako robotnik, nabrał ekonomicznéj wartości, —wyrodził się handel niewolnikami. Powstanie i rozszerzenie się rolnictwa wpłynęło stanowczo na wprowadzenie niewolnictwa i usunięcie mordowania zwyciężonych. Niewolnik był pierwiastkowo własnością osobistą zwycięzcy, a po wojnie zwycięskiéj niewolników rozdzielano między zwycięzców. Dopiéro późniéj zjawiła się własność państwowa niewolników, których przenoszono z kraju do kraju i osadzano na roli (Assyrya, Babylon, Egipt, Rzym).

Znacznie późniéj utrwaliło się przekonanie, że niewolnik daje się spożytkować najkorzystniéj wtedy, jeśli będzie pozostawiony na własnéj ziemi i zobowiązany do płacenia danin i podatków; jest to system terytoryalnych podbojów stanowiący duży postęp w rozwoju stosunków międzynarodowych (Assyrya).

Pierwsze próby takich podbojów, zwykle oparte na niesłychanie uciążliwych dla podbitych warunkach, wywoływały nieustanne bunty — wojny — i rzezie. Pierwsi Persowie zaczęli na terytoryach zdobytych pozostawiać załogi wojskowe i urzędników administracyjnych, satrapów — i dbać o połączenie prowincyi ze stolicą dobremi środkami komunikacyjnemi (poczta). Zwyciężonym pozostawiano ich język, religię i prawa zwyczajowe, ale starano się jednocześnie zaprowadzić zniewieściałość i rozpustę dla przyspieszenia zwyrodnienia plemienia. Kserkses budował domy rozpusty w Babylonie. Chciwość satrapów w Persyi nie dopuściła do skonsolidowania się państwa perskiego w jedno społeczeństwo; — wystarczyło paru bitew, aby cały ten gmach z podboju zrodzony w gruzy się rozsypał. Państwo perskie w historyi uspołecznienia ludzkiego jest pierwszym przykładem połączenia pod jedną władzą wielu różnych grup społecznych plemiennych, mających różne: religie, języki i obyczaje.

Następną formę panowania i ciągnienia pożytku ze zwyciężonych—ich eksploatacyi—spotykamy rozwiniętą w Rzymie. Budowano obozy ufortyfikowane, osadzono w nich załogi, a zwyciężonych łupiono i obdzierano z dobytku, przywiązywano do ziemi, nakładano na nich podatki, pozwalając co do reszty urządzać się jak im się podobało. Spotykamy tę formę u wszystkich ludów aryjskich, a naprzód u Greków. Rzymianie ją wydoskonalili stosując w całym świecie cywilizowanym starożytnym; zostawiali oni podbitym cień autonomii i niezależności. Rzym stał się miastem potężnem i bogatem „*vi et armis*" — rozbojem politycznym, — stosowaniem metody politycznéj opiewanéj przez Vergilego „*parcere subjectis et debellare superbos*". Tępiono tém silniéj — im silniejsze było przywiązanie plemienne do wolności (Samnici, Iberowie). W porównaniu z innemi zdobywcami postępowano z umiarkowaniem: wymagano corocznie haraczu—*stipendium*, zabiérano na własność państwa całą ziemię lub, jak w Italii, część tylko; osadzano na niéj kolonistów, resztę wydzierżawiano miejscowym rolnikom za opłatą t. z. „*vectigal v. tributum*". Bunty uśmierzano z okrucieństwem dzikich;—wielu miastom Italii pozostawiono autonomię zastrzegając tylko, aby prawa przez nich stanowione nie były w sprzeczności z rozporządzeniami „ludu i senatu rzymskiego". Władzę senatu i ludu na prowincyi wykonywali prokonsulowie i propretorzy, z czasem brani z śród najwięcéj płacących. Podatki wydzierżawiano „publikanom". Był to najwspanialszy i największy przykład międzynarodowego politycznego „pasorzytnictwa", który zrodził i powstanie i upadek potęgi Rzymu. Po raz pierwszy odkąd człowiek doszedł do świadomości swego istnienia panował pokój „*pax romana*"—na tak wielkiéj przestrzeni; i po raz

to pierwszy tak liczne miliony ludzi pracowały w czoła pocie na nasycenie żądzy zbytku i rozpusty kilku tysięcy „pasorzytów" ludzkich, żyjących w centrum tego politycznego organizmu:—Rzymie.

V.

Przechodząc do przyczyn pośrednich, które wpłynęły na ewolucyę zewnętrznéj walki o byt między grupami ludzkiemi, Vaccaro na pierwszém miejscu stawia—odwrotny stosunek liczebnéj wielkości grup do natężenia walk zewnętrznych. Małe plemiona—żyjące w jednéj wsi, lub w kilku wsiach obok siebie leżących, są w stanie w ciągu kilku godzin wziąć się do oręża, zgromadzić się i rzucić na sąsiada. Im te grupy są większe, tém trudniejsze jest prędkie zgromadzenie sił, a tém samém już walki stają się rzadszémi.

Rzymianie zaprowadzili pokój w całym starożytnym świecie ucywilizowanym—a kiedy państwo Rzymskie rozsypywało się w gruzy, współcześni nie byli w stanie wyobrazić sobie co daléj nastąpić może i przewidywali koniec świata. Świat średniowieczny popadł na nowo w okres nieustannych walk i wojen—śród których idea powszechnéj monarchii powstawała niejednokrotnie (Papieże, Karol W., Karol V, Ludwik XIV, Napoleon). Usiłowania te jednak wywoływały szereg wojen morderczych, nie dając żadnego rezultatu prócz zmniejszenia się ilości państw niezależnych i powiększenia terytoryów państw pozostałych.

Już jednak i ten rezulat prowadzi za sobą konieczność zmniejszenia ilości wojen. Uruchomienie i zgromadzenie sił orężnych jest coraz trudniejsze; przeniesienie ich na jedną granicę coraz cięższém, a jednocześnie obawa napadu z drugiéj strony coraz większą (Chiny). W walce tylko część narodu może brać udział,—wytępienie całkowite po zwycięstwie jest niemożliwe, a obawa odwetu przy niepomyślnych konjunkturach politycznych coraz większa.

Drugą z przyczyn pośrednich wpływających na ewolucyę walk międzynarodowych, jest rozwój handlu, ogarniającego coraz to szersze przestrzenie, wiążącego węzłem wzajemnych interesów, coraz to liczniejsze narody. Kraje bogate boją się łupiestwa,—wojny w celu „łupów", stają się niemożliwe. Łupieżca może być złupiony, a chociaż zaczątki handlu łączą się w źródłach z zaczątkami rozboju (głównie korsarstwa)—dziś niéma większego wroga wojny, jak handel. Wprawdzie czasami właśnie interesy handlowe wywołują wojny—ale odkąd A. Smith dowiódł narodom, że każdy z nich zarabia tylko na pomyślności

sąsiadów—niema już wojen, których celem miałoby być zubożenie, ekonomiczna ruina, sąsiada.

Tak samo wzrost przemysłu i międzynarodowy podział pracy, udoskonalenie narzędzi wojennych i ich kosztowność, sprawiają, że wojna, nawet szczęśliwa, połączona jest z ciężkiemi zaburzeniami w sferze życia ekonomicznego, na które narody coraz rzadziéj chcą się wystawiać. Wzajemna solidarność i zależność narodów wzrasta ciągle, a kapitalista lokujący swe funty szterlingi, franki lub marki w zagranicznych przedsiębiorstwach jest największym przyjacielem pokoju.

Wojna i podbój stały się zajęciem coraz mniéj produkcyjném, a coraz bardziéj niebezpieczném. Dawniéj żołdak sam sobie żołd wypłacał łupiąc i rabując kraj nieprzyjacielski. Okropności wojny 30-letniéj nie należą do historyi starożytnéj. Dziś państwo musi samo żywić armię, nawet w kraju nieprzyjacielskim, ponosić szalone koszta wojenne, które w związku ze stratami ekonomicznemi wewnątrz kraju z trudnością dają się pokryć zwrotem kosztów wojennych i kontrybucyami.

Łatwość porozumiewania się między rządami państw stanowi téż przeszkodę do wojny, uniemożliwia zarządzenie niespodziewanéj napaści i złupienia sąsiada. Słabi łatwiéj niż przed laty wchodzą ze sobą w porozumienia przeciw silnym, a od czasów greckich, związki czasowe, ligi—przechodzą łatwo w związki stałe—federacje w celu wspólnéj obrony.

Stąd narodził się w świecie cywilizowanym t. zw. system równowagi politycznéj, który choć sam nieraz sprawił dużo złego ludzkości, nie pozostał jednak bez korzyści. Powstał on koło 1330 we Włoszech, rozdzielonych wówczas na setki politycznie niezależnych całości, i był między innemi, jedną z przyczyn trwania podziału Włoch i przeszkadzał zaprowadzeniu jedności włoskiéj. Od 1648 r. system ten zastosowany został do polityki międzynarodowéj w całéj Europie, — a chociaż nieraz używano go do popełniania gwałtów politycznych, to jednak trzyma on na wodzy chciwość, utrudnia podboje i poskramia żądzę zaborcze.

Vaccaro wierzy téż w postęp moralności politycznéj; uważa tylko ten postęp za bardzo powolny. Nie bez wpływu na moralność polityczną, podług niego jest forma rządów w państwie. Sądzi on, że demokratyzowanie się społeczeństw, zmniejsza ich wojowniczość. Wprawdzie daleko to jeszcze do tego ideału, o którym Kant marzył, aby ile razy idzie o kwestyę wojny lub pokoju, każdemu obywatelowi państwa służyło prawo głosowania w téj sprawie, ale pamiętać należy, że dzisiejsza demokracya, w większości państw europejskich, jest bardziéj

fikcyjną niż rzeczywistą, że demokracya prawdziwa niewątpliwie ze swéj natury dąży do pokoju, i że przy rządach demokratycznych, w krajach istotnie oświeconych, wojny muszą się stać bardzo rzadkiemi.

Reasumując przeszłość walk zewnętrznych między grupami ludzkiemi, Vaccaro widzi, jak prawo przystosowania się modyfikuje rezultaty walki o byt przez udomowienie zwyciężonych, t. j. niewolnictwo, najprzód kobiet, potém dzieci a w końcu i dorosłych mężczyzn zwyciężonego plemienia. Z czasem niewola z instytucyi prywatnéj przeradza się w państwową, niewolnik osadzony na ziemi płaci haracz, podatek. Drogą naturalnego i sztucznego doboru z ras podbitych, utrzymują się przy życiu tylko te, które umieją zastosować się do zmienionych warunków bytu—niewoli, te, które się zastosować nie umieją, giną wśród buntów i powstań. Wstręt do niewoli zmniejsza się a jednocześnie sama niewola przybiera coraz to łagodniejsze formy. W końcu przymus moralny, obawa sama utrzymuje w posłuszeństwie zwyciężone plemiona i jedno miasto — Rzym, żyje sokami wyciskanemi z całego świata ucywilizowanego. To przystosowanie się do uległości, to usunięcie walki międzynarodowéj wewnątrz granic państwa rzymskiego, pozwala skierować większą ilość sił ku pracy produkcyjnéj, pozwala na lepszy podział pracy, wyższe wykształcenie sztuki wojennéj i na tém łacniejszy podbój ludów stojących poza państwem. Wytworzenie się w grupach ludzkich stanu wojowników prowadzi z konieczności do oddania ich dowódcom władzy najwyższéj w społeczeństwie, do ustanowienia królewskości. Rozszerzenie rolnictwa podnosi skłonności poddańcze, a jednocześnie: wzrasta bogactwo i wzmaga się żądza łupieży w barbarzyńcach. Wzrost handlu i przemysłu odejmuje wojnom charakter ekonomicznie korzystnego przedsiębiorstwa. Tylko zastarzałe nienawiści historyczne, fałszywy patryotyzm, głupota, chęć zemsty, i egoizm pobudzają dziś narody do wojen.

Z małemi wyjątkami wojny prowadzone były zawsze dla jakichś z góry określonych korzyści. Korzyści te jednak coraz są mniejsze i chociaż wojny trwać będą dopóty, dopóki trwać będzie chciwa drapieżność w ludziach, to jednak nie można zaprzeczać, że uczucie solidarności wszechludzkiéj wzrasta stale. Organizacya wewnętrzna społeczeństw staje téż z biegiem czasu na przeszkodzie ciągłym wojnom i wymaga lepszego przystosowania się narodów do współistnienia na ograniczonéj przestrzeni. Nawet idąc za popędami egoizmu, człowiek staje się coraz mniéj wojowniczym, coraz mniéj skłonnym do napaści i łupieży; nabywa uczuć bardziéj ludzkich i woli pracować niż łupić z narażeniem życia. Sprzeczne interesy różnych grup społecznych dążą

do sharmonizowania się. Natura rzeczy zmusza ludzi do zgody, demokracya skłania ich do pokoju.

Twierdzenie Gumplowicza, że suma eksploatacyi człowieka przez człowieka w biegu epok historycznych zmianie nie ulega, nie jest faktami usprawiedliwione. Siły działające w społeczeństwie nie zmniejszają się, ale coraz większa ich część skierowaną jest produkcyjnie; pasorzytnictwo zmniejsza się, i postępy ludzkości w sferze walk międzynarodowych są wielkie. Z wszelkiém prawdopodobieństwem, podług Vaccaro, wojny będą się zmniejszać i w przyszłości i będą uważane za naruszenie zasadniczych podstaw godności ludzkiéj za „*crimen laesae majestatis humanae*".

Możliwość stałego pokoju warunkuje się przedewszystkiém obfitością środków utrzymania i pewném ograniczeniem chciwości indywidualnéj, która dziś nie umié zakreślić granic namiętności posiadania. Stąd walki konkurencyjne, powolne wymiéranie słabszych — pośrednie ich usunięcie (*elimination*). Płynie w téj walce mniéj krwi może, ale niewątpliwie więcéj łez, i gdyby szanse téj walki były z obu stron równe, być może, iż zawsze lepszy byłby zwycięzcą. Ale zbyt wiele jest przyczyn ubocznych, przypadkowych, wpływających, na wynik téj walki, aby rezultatem jéj było utrzymanie się przy życiu lepszego, czy to w życiu indywidualném, czy téż społeczném.

Pewne ludy odnosiły zwycięstwa nad innemi dzięki zbiegowi okoliczności, lub szczęśliwym warunkom; inne upadły dla tych samych. przyczyn. (Miasta włoskie i odkrycie Ameryki). Te okoliczności poboczne sprawiają, że współubieganie odbywa się z szansami nierównemi. System np. protekcyjny poparty siłą oręża zmienia jéj rezultaty. Na walce dwóch—zyskuje zwykle trzeci, dlatego wzrost i upadek narodu może być dziełem przypadku. Dopiéro po zniesieniu tych przeszkód, po usunięciu wpływu okoliczności pobocznych, możnaby twierdzić, że najzdolniejszy zawsze w walce zwycięża, że usunięcie najzdolniejszych w walce jest niemożliwe. Nasi potomkowie dojdą może do przekonania, że lepiéj jest pomódz narodom mniéj zdolnym, niż ułatwiać im zniknięcie z oblicza ziemi. Naród nędzarzy jest ciężarem dla całéj ludzkości, źródłem wiecznego niebezpieczeństwa, zarodkiem chorób moralnych i materyalnych. Imigracya jego do krajów bogatych jest pociechą dla kapitalisty, ale klęską dla robotnika (Irlandya, Chińczycy).

Kiedyś dla pożytku i z interesu ludzie wyrzynali się i zjadali, w przyszłości dla korzyści i przez interes może będą sobie wzajemnie pomagać. Barbarzyństwo ustąpi miejsca humanitaryzmowi, a przepowiednie takie nie są, podług Vaccaro, tylko marzeniami.

VI.

Więcéj pracy i miejsca poświęca Vaccaro badaniu walki i przystosowania się wewnątrz grup społecznych, niż badaniom walk zewnętrznych. Jest to w dzisiejszéj dobie zaciętych walk klasowych zupełnie zrozumiałe.

Obyczaje pierwotnych grup społecznych są nam, mówi Vaccaro, nieznane; należy tylko przypuszczać, że po zwierzętach, od których bezpośrednio pochodził, człowiek oddziedziczył pewien instynkt towarzyskości, pewne skłonności społeczne. Zjawił się on na świecie już jako „*zoon politikon*" — zwierzę polityczne, społeczne. Pomiędzy temi pierwotnemi indywiduami ludzkiemi musiały téż istniéć pewne różnice w budowie, skłonnościach, postępowaniu, obyczajach i zajęciach — w jedném nawet stadzie ludzkiém. W każdym razie i to pierwotne stado ludzkie ulegało prawu ludności, i jak tylko powstał brak środków pożywienia, jedne indywidua dążyły do usunięcia drugich, każdy osobnik dążył do zapewnienia sobie największéj sumy przyjemności, a zwalenia przykrości i bólów, na inne osobniki hordy; słabi musieli ulegać silnym. Ten peryod pierwotny był prawdopodobnie okresem życia niemal zwierzęcego, bydlęcego i tylko prawo naturalnego doboru wpłynęło na zmianę obyczajów. Stada, w których silni mniéj uciskali i mniéj wytępiali słabych, miały więcéj szans zwycięstwa, niż stada, w których siła nie była ograniczona żadnym obyczajem. W stadzie siła musiała być ograniczoną pod groźbą prędkiego wytępienia stada przez obcych.

To nieświadome dążenie do ograniczenia siły obyczajem, prawem, z czasem stało się dążeniem świadomem i dobrowolném, i doprowadzało do barbarzyńskiéj zasady, że lepiéj nie pastwić się nad jednoplemieńcami, aby tém więcéj znęcać się nad obcymi. Dla tego téż opinia ogółu w stadzie oburzała się na napaść wewnętrzną, a chwaliła napaść na obcych. Siła i odwaga wzniecały uwielbienie; instynkta zwierzęce zwrócone przeciw obcym zyskiwały pochwałę. Zgniecenie sąsiadów polepszało warunki istnienia stada; przegrana w walce z nimi pogarszała te warunki, czyniła walki wewnętrzne bardziéj zawziętemi, wyłączała większą ilość słabych osobników i prowadziła za sobą rychłe osłabienie i zniknięcie stada.

W pewnym dość wczesnym peryodzie, twierdzi Vaccaro, musiały się tworzyć wewnątrz hord ludzkich pewne grupy jednostek czujących do siebie pewną sympatyę, oparte być może na poczuciu wspólnego pochodzenia, na węzłach krwi. Węzły takie prowadziły do wspólnéj pracy i wspólnego zamieszkania. W łonie hordy tworzą się wtedy jakby

jądra, grupy społeczne, wewnątrz których napaść jednych członków grupy na drugich jest stanowczo wyłączona, zakazana. Takie wyłączenie napaści musiało w bardzo prędkim czasie okazać całą swą użyteczność dla zachowania, wzrostu i powodzenia tych grup; dało im pewną trwałość i siłę, które w indywiduach pozostałych po za grupą wzniecało szacunek i obawę. Z czasem przy wzroście ludności, hordy stały się plemionami, a te zarodki grup społecznych rodami, klasami. Być może, mówi Vaccaro, iż rzeczywisty rozwój ludzkości postępował nieco inną drogą; w każdym razie obawa napaści z zewnątrz, zsolidaryzowała i utrwaliła związki wewnętrzne w hordzie i te hordy, które prędzéj przystosowały się do potrzeb takiéj solidarności, których członkowie łatwiéj przystosowali się do zgodnego wewnątrz hordy pożycia, te miały niewątpliwie więcéj zdolności do życia, więcéj szans zwycięstwa w zewnętrznych walkach o byt.

Fakta potwierdzają tę teoryę: wszystkie plemiona dzikie, które były naukowo obserwowane, lub o których doszły do nas o tyle o ile wiarogodne wzmianki, były, lub są przystosowane do zgodnego pożycia wewnątrz stada. Niektóre z nich uległy zatrzymaniu rozwoju i te żyją w stanie zupełnego bezrządu, bez żadnéj widocznéj władzy społecznéj. Na ziemi Ognistéj silni obdzierają słabych, mordują ich i nikt się temu nie sprzeciwia i nie dziwi. To sama zauważono u plemion Damara i Buszmenów. U Sioux'ów: gwałt, kradzież i podpalenie uważane były za środki odznaczenia się.

Pierwszą przyczyną osłabiającą walki wewnętrzne—zmuszającą silnego do hamowania swéj siły—jest obawa solidarnego działania rodu, obawa zemsty rodu za zabitego lub pokrzywdzonego członka; korzyści wynikające z takiego otamowania nadużyć siły rychło sprawiają, że ród staje się instytucyą powszechną i trwałą, że pod jego opiekę garną się i ci, których krew i pochodzenie z rodem nie łączą, tak że wkrótce wspólne pochodzenie rodu jest tylko fikcyą. Potęga rodu polega na ścisłém wykonywaniu zemsty rodowéj; opinia nikczemności grozi temu, który od wykonania zemsty się uchyla.

Z czasem do zemsty, jako podstawy rodu, węzła ród łączącego, przybywa wspólna religia, która uświęca zemstę i chociaż z czasem zemsta staje się przeszkodą dalszego postępu, w pierwocinach bytu człowieka na ziemi oddała ona wielkie usługi cywilizacyi. Jeśli nacisk plemion obcych z zewnątrz jest słaby, może ona trwać bardzo długo; pod silnym naciskiem walk zewnętrznych—rody łączą się w większe uspołecznienia, zjawia się władza polityczna, państwo, i wobec jéj powagi ród i zemsta rodowa znikają.

Aby zapobiedz wykonaniu zemsty przez ród pokrzywdzonego na całym rodzie krzywdziciela, wydają winnego rodowi obrażonemu. Winny pierwotnie bywa zabijany na miejscu; z czasem następuje rodzaj przystosowania się, zabicie zmienia się w niewolę, a zamiast wydania winnego ma miejsce wydanie niewolnika; w końcu niewolnik zastąpiony bywa okupem. Ostatnią formą znikającéj zemsty rodowéj jest sądzenie winnego przez oba rody wspólnie i wykonanie kary na jego osobie.

Drugim środkiem przystosowania się wewnętrznego jest powstanie władzy w rodzie i plemieniu. Zwykle potrzeba wojenna, obrona lub napaść, wywołuje w hordzie, rodzie lub plemieniu wybór wodza: najstarszego i najmędrszego. Niemniéj na osłabienie walk wewnętrznych wpływa podział rodu i rozszerzenie się na zajętem terytoryum. Wskutek tego podziału wzrasta możność zaopatrzenia się w środki żywności, a gdy powstaje rolnictwo, zbiory początkowo są wspólną własnością rodu i dzielone bywają na równi między jego członków. Kobiety są téż w rodzie wspólne (?), odstępują się i pożyczają z łatwością, a tém samem usuwa się z łona rodu zazdrość, źródło częstych walk wewnętrznych.

Gwałty wykonywane przez silnych musiały być pierwotnie bardzo częste. Ofiarami gwałtu prawdopodobnie były przedewszystkiém kobiéty: one wykonywały najcięższe roboty, one ulegały stale kaprysom mężczyzn. Dzieci są własnością rodziców, i jako takie oddawane na ofiarę bogom i zabijane. Los starców nie o wiele był lepszy. Wiele jednak w obyczajach plemienia zależy od urodzajności kraju. Zbyteczne wytępianie słabych wstrzymuje jego wzrost liczebny, zbytek litości osłabia téż siłę rodu; jego siła, jego obyczaje, muszą się przystosować do warunków zewnętrznych, w których łatwość zdobycia środków pożywienia gra najgłówniejszą rolę i przystosowanie to jest tém trudniejsze, im bardziéj ród co do środków pożywienia zależny jest wprost od działania sił natury. Dopiéro powstanie produkcyi pasterskiéj i rolnéj, zależność tę ludzi od natury zmniejsza.

Pod wpływem organizacyi rodowéj walki wewnętrzne słabną, ale nie ustają. Gdyby rody były sobie równe co do sił, walki między niemi byłyby krótkie; ale i między rodami są różnice co do ilości i jakości członków, i rody słabe z trudnością mogą osiągnąć sprawiedliwość przeciw rodom silnym. Dla człowieka pierwotnego śmierć nie następuje inaczéj, jak tylką za czyjąś sprawą. Stąd walki nieustanne między sąsiedniemi rodami, a rody silne z tych walk wychodzą jeszcze silniejszemi, wypędzając słabe z ich terytoryów, lub wytępiając je całkowicie. Dla uniknięcia walk rody jednego plemienia prędko docho-

dzą do wytworzenia rad starszych w plemieniu, rozstrzygających spory między rodami; rady te jednak nie są wzorami sprawiedliwości; rody silne mają w nich stanowczą przewagę. Równość, o któréj twierdzono, że istniała w pierwotnych ustrojach społecznych, nie istnieje śród nich w rzeczywistości. Nierówność między rodami nie jest wielka, tém niemniéj istnieje i wywołuje liczne nadużycia i gwałty.

Najsilniejszym jednak bodźcem rozwoju, przyczyną najsilniejszych i największych przystosowań się były zawsze walki zewnętrzne: bez wojen między plemionami zastój zupełny miał-by miejsce w uspołecznieniu człowieka. Punktem wyjścia każdego solidarnego współdziałania jest konieczność obrony lub chęć napaści. Bez okrucieństw wojny człowiek byłby pozostał umysłowo i fizycznie słabym. Wojna robi karność konieczną: nawet zwierzęta w walce umieją działać łącznie—słuchają starych samców, odważnych i silnych. Śród ludzi, chociaż dowódca, z ustaniem wojny, początkowo traci swą władzę, to jednak zachowuje i w czasie pokoju pewną powagę i przewagę, a gdy plemiona karne i uległe wodzom prędzéj i częściéj zwyciężają, niż niekarne i nieuległe, pierwsze trwają i zwiększają się liczebnie, drugie upadają i giną, lub wymiérają zwolna. W epokach, w których wojna pomiędzy plemionami jest stanem normalnym, przystosowania się ludzi do uległości wodzom musi się odbyć prędko, i wytępienie nieprzystosowanych następuje téż szybko. Władza staje się tém samem stałą. Czynniki nadprzyrodzone i powaga przodków wpływają na wzmocnienie i ustalenie władzy dowódców, a tak: władzę i karność, uświęca tradycya.

W rozwoju jednak władzy uświęcone tradycye grają często rolę przeszkód. Naczelnik rodu jest przedstawicielem zmarłych przodków, inaczéj nie miałby mocy stanowienia praw. Dlatego téż u niektórych narodów dzikich: Hottentotów i Meksykanów naczelnik obejmując władzę przysięgał [1]), że nie zmieni nic w ustanowieniach społecznych i prawach. Obyczaje przodków są nierzadko wynikiem nieświadomości i uświęcanie ich potęgą pojęć nadprzyrodzonych przyczyniło się niemało do utrwalenia nadużyć i przesądów. Często prawa są wynikiem przewagi silnych i dążą do zabezpieczenia ich interesów: uświęcanie ich jest więc nieraz uświęcaniem niesprawiedliwości.

Powaga zmarłych wzmocniła w każdym razie powagę władzy, a z czasem wzięta w monopol przez kapłanów wyrodziła między nimi

---

[1]) „*Pacta conventa*“ w Polsce były niezawodnie przeżytkiem czasów pierwotnych.

i dowódcami wojennemi rodzaj współki do eksploatowania plemienia. Często téż dowódcy wojenni dla tém większéj powagi bywali wielkimi czarownikami „*grands sorciers*", wielkiemi kapłanami, i w tym charakterze zagarnęli dla siebie prawo tłomaczenia woli bogów, sądzenia, rządzenia i nakładania podatków. Jeśli słabi zdołali przystosować się do takiego rządu silnych, silni stali się przezto jeszcze silniejszymi, a słaby z czasem już ulegał dobrowolnie. W tych warunkach pewna grupa społeczna, z łatwością dochodzi do wszechpotęgi społecznéj i mała garstka ludzi jest w stanie przy pomocy cieniów zmarłych i uświęconych obyczajem praw despotycznie tyranizować znaczną większość społeczeństwa. Naczelnik rodu, stanu, czy grupy staje się wtedy monarchą absolutnym. Państwo, jak słusznie mówi Gumplowicz, jest panowaniem mniejszości nad większością, ale myli się on, sądząc, że państwo powstaje tylko drogą podboju. Powstaje ono i samorzutnie, pod naciskiem sił zewnętrznych przez silne zorganizowanie plemiona w celach obrony [1]). Podbój i wojna przyspieszają tylko powstanie państw i władzy politycznéj.

W społeczeństwach dzikich i barbarzyńskich władza utrzymująca hordę w karności musi być téż dzika i barbarzyńska; musi obdzierać, wyrzynać, łupić, a za pierwszy swój obowiązek musi uważać zabezpieczenie siebie od buntu przed własnymi poddanemi. Uczy się prędko nakładać podatki i prędko téż dochodzi do pojęcia o prawie własności panującego do wszelkiego majątku poddanych: ruchomości, ziemi i kobiet. Ofiary, jakie ponoszą ludy dzikie, na utrzymanie téj władzy, są przerażająco wielkie; znoszą je jednak, bo to jedno zabezpiecza je od stanu wiecznéj walki wewnętrznéj, i dlatego téż władza monarchiczna powstaje zwolna u wszystkich plemion barbarzyńskich a wojowniczych. Tylko silna i jednolita władza zapewnia im szanse powodzenia w walce o byt, i tylko przystosowaniem się do takiéj władzy unikają one niebezpieczeństwa zagłady w walkach zewnętrznych i wewnętrznych.

Wódz jest pierwiastkowo arbitrem (sędzią polubownym) w sprawach osobistych; z czasem zagarnia on prawo sądzenia i stanowienia praw; tylko późniéj nabiera przekonania, że jego własny interes wymaga sprawiedliwego sądzenia; że sprawiedliwość podnosi jego powagę i wzmacnia siły jego państwa. Władza sądowa daje mu prawo konfiskaty majątków i pobierania kar sądowych. W końcu, gdy uważa wszystkich poddanych za swych niewolników, poczuwa się do obowiązku obrony słabych przeciw silnym i znajduje korzyść w poniżaniu i osła-

---

[1]) Czechy. Polska.

bianiu tych drugich. Despotyzm jednego jest dla plemienia zawsze korzystniejszym od despotyzmu wielu.

Jak tylko władza monarchiczna nabierze dostatecznéj siły, związki rodowe słabną i rodzina zarówno ojcowska, jak i macierzysta zaczyna grać większą rolę. Początkowo rodzina nie ma funkcyi społecznych wyraźnych; być może, że związek ten stanowił podstawę pewnych spraw spadkowych do majątku zmarłego członka rodziny, majątku, który ogranicza się wówczas do broni i ozdób, i to o tyle o ile téj broni i tych ozdób ustalony zwyczaj nie kazał grzebać wraz z umarłym. Z czasem jednak rodzina wchodzi w prawa i obowiązki rodu: ona odpowiada za przestępcę, ona ma obowiązek zemsty, ona dziedziczy majątek. Kobieta—pierwotnie własność rodu—z czasem staje się własnością mężkich członków rodziny, potém, gdy rolnictwo czyni oddzielne domostwa koniecznemi, staje się własnością jednego mężczyzny (?), W miarę tego jak prawa spadkowe i obowiązki zemsty przechodzą na rodzinę, ród staje po za nią w tych prawach pomocniczo, a z czasem znika zupełnie. Własność indywidualna kobiét zjawia się najprzód jako atrybut naczelników lub znanych z siły wojowników, a przedewszystkiém odnosi się do kobiet zabranych na wojnie w niewolę. Odtąd ojcostwo staje się pewném, i rodzina patryarchalna powstaje, a gdy w rodzinie takiéj karność pod kierunkiem ojca jest większa, gdy ta karność przystosowuje ludzi lepiéj do uległości władzy i jedności w działaniu, nic dziwnego, że narody z silną władzą ojcowską, z wzrastającą rodziną patryarchalną wzięły górę nad innemi, a plemiona, które do tego porządku rzeczy przystosować się nie mogły, odsunięte, osłabione powoli zniknąć musiały.

Instynkt ojcowski istnieje u niektórych ras zwierzęcych. Patryarchalna rodzina ludzka, gdy raz powstała, musiała rozszerzyć się na wszystkie narody ucywilizowane, i stać się dla nich typem zasadniczym rodziny. Ojciec stał się panem, sędzią i przedstawicielem interesów rodziny, jéj władcą i kapłanem. Po śmierci ojca brat starszy obejmuje władzę, a karność rodzinna trwa śród dorosłych członków rodziny nieustannie, nawet po dojściu ich do dojrzałości.

Powstanie rodziny ojcowskiéj zmienia ekonomiczne i polityczne podstawy istnienia grup społecznych: za tą formą rodziny idzie zróżniczkowanie majątkowe, podział grupy na bogatych i biédnych, a podział ten prowadzi za sobą niechybną przewagę bogatych i uciemiężenie biédnych. Taki podział i taki ucisk spotykamy już u dzikich Polynezyi, u negrów afrykańskich i u monarchicznych czerwonoskórych plemion w Ameryce, przed pojawieniem się europejczyków. Jednocześnie zjawia się śród bogatych obawa złupienia ich przez biédnych. Stąd

poparcie, jakie bogaci dają istniejącemu porządkowi, stąd usiłowania zorganizowania są celem obrony majątków, wzięcie na swój żołd części biednych dla obrony przed resztą, i dążenie ze strony ubogich dostać się pod opiekę bogatych, zostać ich klientami. Śród tych stosunków „pasorzytnictwa” z jednéj strony, eksploatowania i uległości z drugiéj, obie strony ulegają zwyrodnieniu i obie nabywają cech charakterystycznych: przymiotów i wad właściwych patrycyuszom i plebejuszom. W ten sposób, bez najazdu i podboju z zewnątrz, grupy społeczne różniczkują się na klasy, i powstaje szereg grup społecznych złożonych, w których prawa walki i przystosowania się pod wpływem powstałego wewnątrz grupy pasorzytnictwa, ulegają nowym zmianom i modyfikacyom.

(D. n.) *Stanisław Piotrowski.*

ZAKŁADY GÓRNICZE

w Białogonie.

I.

Ktokolwiek ze stacyi Kielce koleją Dąbrowiecką ku Chęcinom wyrusza, musi naprzód zwrócić uwagę na górę Kadzielnią, którą pociąg od południa okrąża; daléj, na wznoszącą się po za nią w stronie północnéj Karczówkę, pokrytą lasem sosnowym, ponad który wystrzela wieża po-bernardyńskiego kościoła, a następnie, w znacznėm zagłębieniu, na rozległą, zadrzewioną osadę, z murowanémi budynkami, które w otoczeniu olbrzymich lip, wierzb srebrnolistych i olch ciemnych, bielejąc, nadają jéj pozór dobrze zabudowanego miasteczka.

Jest to Białogon, miejscowość niegdyś głośna, nietylko w granicach kraju, ale i daleko po za jego obrębem, a dziś do tego stopnia obca nowemu pokoleniu, że w „Słowniku geograficznym", co do innych miejscowości tak dokładnym i wyczerpującym, zaledwie poświęcono jéj kilkunasto-wierszową wzmiankę; w „Encyklopedyi" zaś wielkiéj, pominięto zupełnie. Jest to tém dziwniejsza, że właśnie miejscowość ta przez długi czas była głównėm ogniskiem górniczego u nas przemysłu i łączy się jak najściśléj z jego historyą.

Do napisania zresztą jéj monografii, nie trzeba było ryć się w aktach byłych komisyj: Spraw wewnętrznych, Przychodu i Skarbu, oraz b. Banku polskiego, gdyż wszystkie dane, odnoszące się do niéj,

znajdują się na miejscu. W naszych bowiem zakładach górniczych był ten zwyczaj chwalebny, że przy każdym utrzymywano księgę, do któréj, jak najskrupulatniéj zapisywano każdorocznie nietylko wszystkie szczegóły, odnoszące się do działalności fabrycznéj i jéj produkcyi, ale i rozporządzenia władz wyższych, zmiany, zachodzące w składzie urzędników górniczych, a nawet i wypadki losowe. Taką księgę, złożoną z kilkuset kart, utrzymywano i w fabryce białogońskiéj, a ma ona choćby z tego już względu źródłowe znaczenie, że każdorocznie naczelnik okręgu górniczego, zwiedzający zakłady, sprawdzał jéj zawartość i poświadczał zgodność z rzeczywistym stanem fabryki.

Z owéj téż księgi, zatytułowanéj: *Opis geograficzno-historyczny i statystyczno-techniczny zakładów rządowych, górniczych w oddziale białogońskim*, przeważnie do naszego artykułu materyał czerpiemy.

Pobudką do jego skreślenia była zarówno chęć przypomnienia dzisiejszemu pokoleniu téj miejscowości, pominiętéj w dziełach, które wyczerpującym jéj opisem zająć się były powinny, jak i ta okoliczność, iż fabryka białogońska przechodzi z rąk rządu w długoletnią dzierżawę, która zamknie cały jéj okres 80-cio letniéj działalności, wielce pożytecznéj dla kraju.

Białogon od Kielc o wiorst 5 odległy, znajduje się tuż przy szosie, łączącéj Warszawę przez Radom, Kielce, Chęciny, Miechów i Michałowice—z Krakowem. Ta szosa téż, przed zaprowadzeniem u nas kolei żelaznych, była najgłówniejszą arteryą komunikacyjną w Królestwie. Położony zresztą w dolinie rzeki Bobrzy, biorącéj pod Samsonowem początek, oraz jéj dopływów: Strumienia niewachlowskiego i Silnicy i z trzech stron otoczony pasmami gór lesistych, liczy się Białogon do piękniejszych miejscowości, w które tak obfituje dawna ziemia sandomierska. Jakoż na północ od niego wznosi się pokryta lasem sosnowym góra *Stokowa*, u któréj stóp wytryskują obok siebie trzy źródła. Jedno z nich ma rozwalniające własności; o ile jednak wiemy, nikt dotąd składu jego wody nie badał. W tym samym kierunku, tylko bardziéj na wschód, po za Stokową i nieco w głąb' cofnione, ciągnie się pasmo *Dalnéj góry*, dziś już ogołoconéj z lasu, ale pamiętnéj odkryciem, przez gwarka, Hilarego Malę, ogromnéj bryły samorodnego ołowiu, z któréj wyrobiono posąg ś. Barbary, mający wysokości stóp 4 i cali 9, a umieszczony w jednym z bocznych ołtarzy w pobernardyńskim, na Karczówce, kościele. Było to w r. 1642. Na miejscu tego odkrycia do dziś dnia wznosi się słup kamienny, z wyrytym odpowiednim napisem. Szereg gór, od północy otaczających Białogon, zamyka Karczówka, na któréj w r. 1624 biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, wystawił kościół, jako *votum*, po uśmierzeniu grasującego

w Kielcach powietrza i przy nim bernardynów osadził. Góra ta zawierała bogate pokłady rudy ołowianéj i dotąd jeszcze liczne zagłębienia wśród lasu wskazują na dawne szyby, dziś już zasypane doszczętnie. Od południa znowu, długiém pasmem, wyciągnietém na wschód, wznoszą się góry *Posłowskie*. Zachodni ich szczyt, zwany *Biesak*, pokryty lasem świerkowym, tworzy kraniec spadzisty stromo. U stóp jego przechodzi nasyp kolei, wkraczając w dolinę Bobrzy, która od mostu, przy wsi Zagrody przybiéra nazwę *Trupieńca* i łączy się z wodami Nidy. Nazwa ta, według podania, pochodzić ma od wielkiéj ilości trupów szwedzkich, w bitwie z Czarnieckim poległych. Czy tak było w istocie? Na to niéma historycznego dowodu. Za rzeką, przy szosie, przechodzącéj ku Chęcinom przez Zagrody, poczyna się nowe pasmo *Zgórskie*, ciągnące się na zachód wzdłuż łożyska Bobrzy. Było ono niegdyś pokryte prześlicznym lasem bukowym, tworzącym przeciwieństwo z świerkowém poszyciem Biesaku. Dziś las ten przetrzebiła już nieco spekulacya żydowska i, obnażając faliste gór szczyty, cały urok miejscowości odjęła. Właśnie z punktu, gdzie szosa stykając się z kolejowym nasypem, okrąża Biesak, zakréślając półkole, roztacza się najpiękniejszy widok przed okiem wędrowca. Dwa te pasma bowiem, oddzielone mniéj, niż półwiorstową przestrzenią, zachodząc jedno na drugie, wytwarzają łudzącą, iście dekoracyjną perspektywę, która pozwala domyślać się bardziéj jeszcze romantycznych widoków. Zdaje się bowiem, że wjeżdżasz do jakiegoś lesistego wąwozu, w którym i w dalszym ciągu towarzyszyć ci będą: z jednéj strony spady świerkami pokrytego Biesaka, z drugiéj owe góry ze stuletniémi bukami, przeglądającémi się w ciemnych falach Trupieńca. Złudzenie trwa jednak krótko. Góry się rozstępują, rzeka bukowy las opuszcza, by prozaicznie koła sąsiedniego młyna obracać, i przed tobą roztacza się najpospolitszy krajobraz, zawodząc wszelkie oczekiwania i rozwiewając ułudę.

W pobliżu owego zwodniczego punktu stała niegdyś karczma, zwana *Słowikiem*. Otóż po jéj zburzeniu, nazwę tę rozciągnięto na całą okolicę, tak, że przebywać na letniém mieszkaniu w Zagrodach, znaczy dziś tyle, co mieszkać na Słowiku. Właściwie nazwa ta może się jedynie odnosić do willi, zbudowanéj przez dr. Piątkowskiego z Radomia, a położonéj w bliskości owéj karczmy zburzonéj. Kto jednak chce jednym rzutem oka ogarnąć piękności całéj okolicy, a zarazem poznać dokładnie rzeźbę zagłębienia, w którém się znajduje Białogon, niech wstąpi na jeden ze szczytów Zgórskiego pasma, a wtedy rozwinie się przed nim tak wspaniały krajobraz, jakiego nikt się nawet nie domyśla, przebywając tę okolicę końmi, lub w wagonie. Bo naprzód, bez

względu na wyniosłe, piaszczyste, porosłe jałowcem wzgórza, które, stanowiąc wschodnie odnogi góry Stokowéj, otaczają od północy Białogon; cała pięciowiorstowa przestrzeń, poczynając od górskiego szczytu, do stóp czerniejącéj borem Karczówki, układa się do równéj powierzchni i roztacza różnobarwną mapą łąk, pól pokrytych rozmaitém zbożem, plamami zarośli i girlandami wierzb i olch nad Bobrzą i równoległym do niéj kanałem wyrosłych. Owe pagórki, widziane z téj wysokości, rozpłaszczają się, nikną, zagłębienia wypełniają i tylko pozostaje równina z otaczającemi ją górami. Jedynie pasmo gór Szewskich, wyżyna Piekoszowska, otaczająca dolinę Bobrzy od zachodu i Kadzielnia z nieprzebranemi pokładami wapienia i dolomitu, zamykająca zagłębienie od wschodu, nic ze swych kształtów nie tracą. Wszakże jeden szczegół jeszcze bardziéj piękność tego krajobrazu podnosi. Za Białogonem, który swemi budynkami szeroko rozpostarł się na téj równinie, błękitnieje wśród ogólnie panującéj tu zieloności, olbrzymiego stawu zwierciadło, który, zasilany wodami, płynącéj kręto Bobrzy, zarosły tatarakiem i trzciną, rozlewa się na wiorstowéj przestrzeni, dosięgając aż do góry Stokowéj.

Jak wiele wsi i osad w bliskości Kielc położonych, tak i Białogon należał do uposażenia biskupstwa krakowskiego i od czasów niepamiętnych był osadą górniczą. Jakoż biskupi krakowscy z gór okolicznych wydobywali miedź i ołów już to sami, już wypuszczając kopalnie prywatnym przedsiębiorcom za tak zwaną *olborę*, czyli roczną dzierżawę. Nie ulega téż wątpliwości, że w Białogonie oddawna istniała huta i hamernia. Ale skąd jego nazwa pochodzi?... Nad jéj wyjaśnieniem łamało sobie głowę wielu. Nam się jednak zdaje, że kwestyę tę zarówno nazwa rzeki, jak i składowe części denominacyi osady rozstrzygają stanowczo.

Jakoż nie może wątpliwości ulegać, że niegdyś nad jéj brzegami musiały być liczne bobrów osady, które spowodowały jéj nazwę.

Z drugiéj strony w dawnéj polszczyznie d r z e w e m b i a ł é m nazywano lasy liściaste, w przeciwstawieniu do lasów iglastych, które nosiły miano d r z e w a c z a r n e g o. Że Białogon od zachodu był otoczony bezpośrednio lasem, dochodzącym do samego łożyska Bobrzy, to pewna. Ostatni jego szmat w oczach naszych uprzątnęła przed kilku laty spekulantów siekiera; ludzie zaś wiekowi zachowali w pamięci większe jego obszary. Mógł to być las nietylko sosnowy, lecz mieszany, lub przeważnie liściasty. Wszak tyle wierzb, olch i innych drzew tego rodzaju ocienia od téj strony fabrykę, dla czegóżby i dawniéj ziemia nie była zdolną ich wydawać? Jeżeli przypuścimy, że

prawy brzeg Bobrzy był drzewem białém pokryty, to już nam się część pierwsza nazwy Białogon wyjaśni. Co do drugiéj, pochodzenie jéj stanie się tém oczywistsze, gdy zwrócimy uwagę, iż w staréj polszczyznie wyraz gon, oznaczał gniazdo bobrów. Nazwa przeto pierwotna biały gon dla odróżnienia od czarnego, położonego w lesie iglastym, przeniesioną została i na powstałą tu późniéj, osadę. Forma jéj przysłówkowa była tylko przystosowaniem się do nazw podobnie złożonych, jak Kurozwęki, Moczodoły, Czarnolas i w. in.

II.

W jakim stanie znajdowały się fabryki w Białogonie za czasów ostatniego zarządu biskupiego, nie mamy żadnych wskazówek. W każdym razie nie stały wyżéj od królewskich zakładów w sąsiednim Niewachlowie i Miedzianogórze za Stanisława Augusta.

Po roku 1795, rząd austryacki zabrał na skarb dobra biskupie, lecz widocznie nie wiele obiecywał sobie z huty białogońskiéj korzyści, skoro główną uwagę zwrócił na eksploatacyą królewskich w Miedzianogórze zakładów. Jakoż w r. 1805 utworzył główną dyrekcyę górnictwa na Galicyę wschodnią w Kielcach, którą składali: dyrektor Karol Lill von Lillienbach, asesorowie: Schwabi i Frydmański, markszajder (inżynier górniczy) Přibila starszy, oraz probierz Přibila młodszy.

Pod dyrekcyą tą rozpoczęto dobywanie i przetapianie miedzi, z użyciem, jako motoru: w Hucie Miedzianogórskiéj—kieratu, w Niewachlowskiéj—wody. Wszystko to jednak trwało lat cztery. W roku bowiem 1809 kopalnie położone w b. województwach: krakowskiém i sandomierskiém do Księstwa warszawskiego przyłączone zostały.

Nie od razu w niém jednak przystąpiono do zreorganizowania nowego zarządu górnictwa. Zaledwie w następnym roku utworzono t. z. Zarząd centralny w Kielcach, w którym na stanowisko dyrektora, na miejsce Lillienbacha, powołany był Aloizy Kraus, na sekretarzów, zastępujących dawnych assesorów: Wilhelm Tübich i Eliasz Kisielewski. Nadto przy ministeryum spraw wewnętrznych ustanowiono dwóch komisarzów: Herdera, b. radcę górnictwa w Saksonii i Ludwika Haukego, którzy zająć się mieli organizacyą kopalń. Projekta wszakże przez nich przygotowane nie mogły się urzeczywistnić na razie, skutkiem braku w skarbie pieniędzy, obracanych na potrzeby wojenne. Dokonano tylko jednego: nie poprzestając na hutach, istniejących w Niewachlowie i Miedzianogórze, założono jeszcze trzecią w Białogonie,

w miejscu, gdzie dziś wznosi się główny budynek, obejmujący warsztaty mechaniczne. Było to w r. 1814. Dopiéro z utworzeniem Królestwa kongresowego, rozpoczyna się istotny wzrost górnictwa krajowego, a dla Białogona, jako jego ogniska, nastaje epoka niebywałéj świetności. Postanowieniem bowiem namiestnika królewskiego, ks. Zajączka, wydaném w d. 20 lutego 1816 r., utworzono Dyrekcyę główną górniczą w Kielcach, która pozostawać miała pod ogólnym dozorem Komisyi spraw wewnętrznych, a szczególném zwierzchnictwem członka, kierującego wydziałem górniczym". Na to stanowisko zaś powołany był Stanisław Staszyc, mąż, który przez swe badania geologiczne Alp i Apeninów, oraz rodzinnych Karpat i turni tatrzańskich, najwięcéj się na nie zalecał.

Usuwany za czasów rzplitéj od wszelkiéj działalności publicznéj z przyczyny swego mieszczańskiego pochodzenia; nie mogąc służyć krajowi za czasów rządu pruskiego, który Niemcami wszystkie stanowiska obsadzał; teraz, powołany na dyrektora wydziału górnictwa i przemysłu w 61 roku życia, rozwinął cały zasób niezwykłéj energii i wiedzy, długoletniemi studyami zdobytéj, by wydrzéć ziemi ukryte w jéj łonie skarby i obrócić je na pożytek krajowy.

Dyrekcya główna w Kielcach bezpośredniemu kierunkowi jego poddana, składała się: I) z dyrektora głównego (był nim Jan Ulmann do r. 1826); II) z nadzorców okręgów (dozorów) górniczych, których początkowo ustanowiono 5, mianowicie: 1) Miedzianogórskie, 2) Olkusko-Siewierskie, 3) Suchedniowskie, 4) Samsonowskie i 5) Pankowskie; III) z nadzorcy ekonomicznego dóbr narodowych, przeznaczonych na uposażenie górnictwa, jak: Kielce, Iłża, Bodzentyn, Suchedniów, Samsonów, Sławków, Bobrownik i Sulików, a stanowiących niegdyś część dóbr biskupstwa krakowskiego i nakoniec IV) z syndyka, czuwającego nad ścisłém wykonywaniem praw i urządzeń górniczych, który sprawował nadto obowiązki sekretarza dyrekcyi.

Tém samém postanowieniem namiestnika utworzono w Kielcach szkołę akademiczno-górniczą, zostającą pod bezpośredniém kierownictwem dyrektora głównego. Uczniowie jéj nosili nazwę *Elewów* górniczych i dzielili się na trzy klasy, odróżniające się szczegółowemi oznakami umundurowania. Pierwszą składali t. zw. Przypuszczeni (*admissi*), tworzący klasę przygotowawczą; przyjmowano do niéj młodzież, która przynajmniéj klas pięć szkół wojewódzkich skończyła i wykazała dokładną znajomość języka niemieckiego, w którym wykładano wiele przedmiotów. Profesorami bowiem przeważnie byli Niemcy, sprowadzeni z Saksonii. Nadto od wstępujących wymagano, by mieli lat 16 skończonych i w świadectwie szkolném przyznane sprawo-

wanie się wzorowe. Klasę drugą składali t. zw. Ekspektanci (wyczekujący), trzecia zaś najwyższa nosiła nazwę klasy Akademików. Celem szkoły, jak mówi ustawa, było „kształcenie zdatnych do kopalni urzędników i oficyalistów", skład zaś w niéj profesorów, podług artykułu Feliksa Rybarskiego, (Szkoła akademiczno-górnicza w Kielcach, 1816—1827, Gazeta Kiel., 1885, N.N. 29, 30, 31, 32), był następujący: „Graff Jakób wykładał: inżynieryę górniczą („*Markszeidenkunst*), oraz rysunki, Kossowicz Andrzej—prawo górnicze; Kaden Henryk docymazyą (δοκιμασία rozeznawanie) czyli probierstwo: dziś nazwanoby to analizą; Krumpel Karol—inżynieryę górniczą; Lempe Fryderyk-Wilhelm—matematykę czystą i stosowaną, fizykę i maszyneryę górniczą; Pusch Jerzy—chemię ogólną, hutnictwo i budownictwo górnicze; Tomaszewski Józef—mineralogię i geognozyę; Ueberschauer Jan-Fryderyk — praktyczne gospodarstwo leśne, wreszcie Spleszyński Aleksander—rysunki.

Wykłady te prowadzono przez 4 dni w tygodniu, od 8 — 12 i od 2—4; w sobotę zaś kończono je o 12, gdyż czas popołudniowy przeznaczano na pisanie dziennika, w którym każdy uczeń obowiązany był zdawać sprawę z całotygodniowych zajęć szkolnych i poza szkolnych, co wszystko ulegało najściślejszéj kontroli; w poniedziałek zaś odbywano wycieczki naukowe do poblizkich kopalń i zakładów fabrycznych. Nadto kończący szkołę obowiązani byli do dwuletniéj praktyki w jednéin z pięciu dozorstw fabrycznych i dopiéro po jéj ukończeniu mogli posadę etatową otrzymać.

Nie na tém wszakże ograniczała się organizacya górnictwa. W r. 1817, na przedstawienie hr. Tadeusza Mostowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i policyi, dekretem cesarza i króla Aleksandra I, w d. 12 marca t. r. wydanym, utworzony został królewski korpus górniczy, do którego należeli wszyscy, zostający na służbie, oraz młodzież, uczęszczająca do szkoły górniczéj w Kielcach [1]).

---

[1]) Mundur dyrektora górnictwa, należący do klasy I, był granatowy, ze stojącym, na haftki zapinanym kołnierzem, z haftem srebrnym, wyobrażającym dwa rogi obfitości w otoczeniu liści dębowych z żołędziami i obwódką srebrną, naszywaną w ząbki dokoła. Taki sam haft zdobił i mankiety rękawów. Dziewięć guzików srebrnych, z wyobrażeniem orła białego, na jeden rząd zapinało mundur, którego poły, bramowane wypustką karmazynową, odwijały się z przodu. Również po trzy guziki znajdowało się na klapach kieszeni bocznych, dwa zaś przystrajały stan nad kieszeniami tylnemi. Do tego munduru należały nadto dwie szlify z wierzchem karmazynowym, sukiennym, obszytym srebrnym galonem, w którego środku widniał wyhaftowany orzeł srebrny, trzymający w szponach na krzyż złożone młotek i motykę. Nadto dolną część szlif okalał potrójny sznurek srebrny i podtrzy-

Korpus górniczy miał nadaną chorągiew barwy karmazynowej, z orłem białym z koroną, trzymającym w szponach krzyżujące się młotek i motykę. Używano jéj we wszystkich uroczystych występach, a obowiązki chorążych sprawowali uczniowie szkoły górniczéj, zwłaszcza z klasy akademików. Korpus ten posiadał nadto dobrze zorgani-

---

mywał wiszące srebrne buliony. Na dni powszednie miały być noszone spodnie granatowe gładkie, w dnie uroczyste białe. przy butach pół palonych, zachodzących cholewami ponad kolana, z ostrogami srebrnemi, zapinanemi na sprzączki. Nakryciem głowy był kapelusz stosowany, bez pióra, z srebrnemi kordonkami, kokardą i bulionem, spiętym na guzik biały z orzełkiem. Do tego szpada z rękojeścią srebrną, gałką pozłacaną i felcechem srebrnym.

Mundur ten nadawał rangę generalską.

Uniform urzędników wyższych i profesorów szkoły górniczéj należał do klasy III i wyróżniał się od pierwszéj haftem na kołnierzu i mankietach o wiele prostszym, bo z jednego rogu obfitości złożonym, z obwódką srebrną przy dolnéj tylko części kołnierza, a ząbkowaną u haftek przez całą jego szerokość. Również buliony u szlif były krótsze, miejsce zaś orła zajmowały wyszyte srebrem młotek i motyka. Wreszcie u kapelusza, zamiast bulionu, przy kokardzie tylko srebrny galonek.

Ekspektanci i Akademicy nosili mundur klasy VI, ale nie bez wyróżnień w szczegółach. Był on także granatowy ze stojącym kołnierzem, lecz jedynie bramowanym galonkiem srebrnym. Od przodu zapinany w jeden rząd na 9 gładkich guzików, był krótki, od dołu ścięty okrągło i dochodzący do bioder. Z prawego ramienia, przypięty białym guzikiem, przechodził na piersi i plecy pas z sukna karmazynowego, służący do podtrzymania pendenta. Na nim zawieszony był kordelas z felcechem z jedwabiu białego dla Akademików, bez niego, dla Ekspektantów. Spodnie granatowe gładkie spadały na buty, wreszcie, jako nakrycie głowy, szako czarne, z młotkiem i motyką z białego metalu na przodzie.

Dodatkiem wcale nieestetycznym do tego ubioru był fartuch czarny skórzany (*Lederwerk*), od dołu zakończony owalnie, a zwieszający się z tyłu u pasa, do którego z przodu przyczepioną była ładownica na 9-ym guziku, dla Ekspektantów gładka, dla Akademików z białym orzełkiem.

Mundur wreszcie klasy VII nosili Przypuszczeni, oraz giserzy, mierzacze (?), pierwsi hutnicy, majstrowie hamernicy, instruktorowie i maszyniści. Mundur ten od klasy VI tém się jedynie wyróżniał, że zamiast kordelasa noszono na pendencie młotek, lub inne górnicze narzędzia.

Umundurowanie wreszcie robotników górniczych, zajętych w hutach i kopalniach, składało się z bluzy czarnéj, latem kamlotowéj, zimą sukiennéj, ze stojącym, na haftki zapinanym kolnierzem, mającym z obu ich stron z białego metalu młotki z motykami na krzyż złożone. Bluzy te, z rękawami bufiastymi, a obcisłym mankietem u dłoni, miały przy ramiączkach półokrągłe klapki oraz dwie na piersiach kieszonki. Ściśnięte pasem czarnym, skórzanym, dochodziły po niżéj bioder. Wreszcie spodnie czarne, opuszczone na buty, lederwerk z cielęcéj skóry, zwrócony sierścią na zewnątrz i kaszkiet z młotkiem i motyką z białego wyrobione metalu, dopełniały uniformu. (Por. F. Rybarski: Szkoła).

zowaną muzykę z samych górników złożoną; należący do niego byli wolni od służby wojskowéj.

Jakkolwiek każde dozorstwo miało główne swéj działalności ognisko, to jednak Białogon, jako miejscowość, znajdująca się w najbliższém sąsiedztwie zarządu, od pierwszéj chwili zorganizowania górnictwa, otrzymał nad innemi pierwszeństwo. Jakoż w r. 1816 dawna huta białogońska zmieniła nazwę na hutę Aleksandra I; w roku zaś następnym oddzielono Białogon od dozorstwa Miedzianogórskiego i utworzono nowe, białogońskie, które pod swym zarządem miało huty: Aleksandra I, Stanisława w Niewachlowie, oraz cegielnie i łomy wapienne w górze Kadzielni pod Kielcami. Do składu zarządu należeli: Klemm, jako nadzorca okręgowy, Kaden Ernest, jako zawiadowca huty Stanisława w Niewachlowie, wreszcie Funkhennel, jako zawiadowca huty Aleksandra. Gdy w dozorstwach: Suchedniowskiém, Samsonowskiém i Pankowskiém, a po zniesieniu w r. 1819 zgromadzenia Cystersów, Starachowickiém i Wąchockiém zajmowano się tylko eksploatacyą żelaza; w hucie Aleksandra zwrócono głównie uwagę na dobywanie miedzi, srebra i ołowiu. Tak różnorodne téż czynności wymagały wielu nowych budynków, które, w krótkim czasie wzniesione, zupełnie inną postać Białogonowi nadały.

Przedewszystkiém rozszerzono dawną hutę, nadając jéj kształt wydłużony, jaki do dziś dnia ten budynek zachował. Tu trzy koła wodne wprawiały w ruch miechy piecowe, oraz stępy, do tłuczenia rud kruszcowych, gdy do ich prażenia zbudowano murowaną rusztownią, którą obecnie na magazyn zajęto.

Przecież w Białogonie nie ograniczano się na samém wytapianiu miedzi, ale zamierzono przerabiać ją na miejscu. W tym celu, w r. 1819 wzniesiony został, według planu nadzorcy budowli i hut Moritza, nowy pawilon z lewéj strony budynku hutniczego. W pawilonie tym pomieszczono hamernię i walcownię. W pierwszéj dwa koła wodne poruszały: jedno miech skórzany, przeznaczony do rozniecania hamerniczego ogniska,—drugie młot hamerniczy. W walcowni znowu, nadawało ruch maszyneryi trzecie koło wodne, które, za pośrednictwem dwóch trybowych, zębatych, wprawiało w bieg tak zwane koło szalone („*Schwung-Rad*), które już wprost obracało walce gniotące, o systemie uprzęży filarowéj, a pojedynczém złożeniu.

Rzeka Bobrza, zasilająca obficie staw, o którym mówiliśmy powyżéj, była wystarczającym do poruszania tych sześciu kół motorem. Oprócz odpływu upustem do przerwanego stawem łożyska, wody jéj, po ich zużytkowaniu na koła, odpływały jeszcze kanałem, który w odległości blizko wiorstowéj, łączy się z jéj naturalnym korytem. Wyrosłe

nad nim olchy, wierzby płaczące i topole nadwiślańskie, tworzą dziś nader malownicze tło dla budynków fabrycznych.

W tymże pawilonie wystawiono jednocześnie 5 pieców do topienia mosiądzu, a w następnym roku 1820 urządzono gisernię do lań kunsztownych zarówno z tego aliażu, jak i z żelaza w połączeniu z posrebrzaniem i złoceniem.

Zawiadowcą hamerni, walcowni i odlewni był Wojciech Krygar, którego Staszyc wysłał na koszt rządu do Berlina dla wyuczenia się robót formierskich i pozłacań. Sprowadzono nadto za staraniem Staszyca kosztowne modele z Berlina, Glewic, oraz innych miejscowości fabrycznych, wraz z uzdolnionymi formierzami i modelownikami. Również tygli do topienia mosiądzu dostarczała zagranica, dópóki nie odkryto w Przysusze glinki, która z dodaniem w połowie masy ze starych tygli passawskich, wybornie nadawała się do ich wyrobu.

Pomyślny rozwój zakładów górniczych w Białogonie skłonił nadzorcę budowli, Moritza, do zaprojektowania drugiej walcowni. W tym celu wzniósł on nowy pawilon od strony prawéj budynku hutniczego. Ponieważ jednak z przyczyny samego położenia nie podobna było wprost ze stawu zwrócić wody na koło, mające nadawać ruch walcowni; przeto wykopano przez cały dziedziniec fabryczny szerokie i głębokie kanały wodne; gdy jednak przekonano się, że wykonanie tych planów nadmierne za sobą pociągnie wydatki, zasypano kanały, a nowowzniesioną budowlę przeznaczono na warsztaty mosiężnicze. Tym sposobem wytworzyła się owa symetryczność w rozmieszczeniu budynków fabrycznych, ktora w zakładach białogońskich têm miléj oko uderza, że je otaczają przepyszne, sadzone w rzędy kasztany.

Nie tu był wszakże kres działalności budowlanéj w Białogonie. Nie naruszając symetryi, jaką osiągnięto w rozmieszczeniu budynków głównych, stawiano w miarę potrzeby poza niemi nowe, rozszerzając coraz więcéj obręb fabryczny. Tak, za warsztatami mosiężniczemi wzniesiono jeszcze jeden pawilon przeznaczony na kotlarnię miedzianą do wyrobu aparatów gorzelnianych. Nadto z polecenia Staszyca, chemik Klauer wzniósł za stawem, u stóp góry Stokowéj jeszcze jeden budynek, w którym dwa laboratorya urządził. W jedném wyrabiał kwas siarczany, w drugiém otrzymywał inne przetwory chemiczne.

W tych budynkach życie górnicze po raz pierwszy na początku r. 1817 puszczeniem w bieg huty Aleksandra zawrzało.

Działalność rozpoczęto od eksploatacyi miedzi, któréj rud dostarczały kopalnie w Miedzianéjgórze i Miedziance. Była ona dwojakiego rodzaju: otrzymywana z p ł u c z e k (*Wasche-Erz*), oraz dobywana z szybów, zwana C z e r n i a n e m m i e d z i (*Schwartz-Kupfer-Erz-*

Stufen). Do oznaczenia jéj procentowości urządzono przy hucie Aleksandra probiernią, zostającą pod kierunkiem Henr. Kadena, gdzie także uczniowie Szkoły górniczéj zaznajamiali się praktycznie z docymazyą. Otóż, z licznych prób, dokonywanych przezeń i jego pomocników: Stanisława Żychowicza i Romańskiego, drogą suchą przez ogień (*via sicca*), przekonano się, iż ruda płuczkowa N. 1-szy zawierała kruszcu od 8 do 12%; N. 2-gi od 6 do 7%; N. 3-ci od 5 do 6%; ruda zaś Czerniaau-miedzi: N. 1 od 25 do 27%, N. 2 od 18 do 19%, wreszcie N. 3 od 12 do 13%. W téj ostatniéj znajdowały się cząstki srebra, które oddzielano od niéj drogą właściwą.

Rudę miedzianą wytapiano sposobem metalurgicznym, który wobec dzisiejszego stosowania metód elektro-chemicznych, był nader uciążliwym i zmudnym: zawiele bowiem czasu i pracy pochłaniał, nie dając możności wydzielenia z rudy całego bogactwa kruszcu, który z żuzlem w znacznéj części odpływał.

Do wytapiania miedzi w hucie Aleksandra używano t. zw. pieców wysokich (*Hoch-Ofen*), mających naówczas zastosowanie powszechne przy otrzymywaniu surowca, czyli, mówiąc językiem hutników, „*Rho-Lechu*". Budowano je zaś w formie trapeza, w którego boku krótszym, znajdował się spust dla odpływania lechu do dwóch tyglów, wyrobionych z mieszaniny gliny z miałem węglowym, gdy przeciwległym, zatém szerszym, przez t. zw. f o r m ę, umieszczoną w samym środku jego szerokości, na 16 cali powyżéj spodu wewnętrznego pieca, wpadał silny prąd wiatru, wytwarzany przez dwa miechy skrzynkowe. Forma miała „wylot" pochylony na spód pieca (*Sohle*) pokryty warstwą gliny wysuszonéj i ubitéj z miałem węglowym, o spadku 2 do 3 cali, by ściek lechu do tyglów, ustawionych na przedpiecku, ułatwić.

Takich pieców w hucie Aleksandra było dwa. Bieg ich trwał około dwóch miesięcy bez przerwy.

Do każdego z tych pieców zasypywano odpowiednio przygotowaną rudę, przez t. zw. g i c h t ę, czyli otwór górny. Wiadomo jednak, że ruda nie jest łatwo topliwą, jeżeli jéj nie dodamy odpowiedniéj przymieszki. Otóż i tu sypano naprzód węgiel drzewny w stosunku 1—3, następnie żuzel, otrzymany z poprzedniéj produkcyi, w końcu zaś rudę miedzianą w stosunku do żuzla, jak 1—2, powtarzając tę czynność kolejno, aż do zapełnienia pieca do pewnéj wysokości. Mieszaninę te pokrywano nadto f l u s e m, czyli wapnoskałem z w a r p, t. j. z ziemi, wyrzuconéj z szybów ołowianych na Karczówce, w stosunku 25 do 30 na 100 centnarów rudy i 200 centnarów żuzla.

Z téj mieszaniny pod działaniem ognia otrzymany surowiec, tłuczono na miał po ostudzeniu w sześciu stępach, poruszanych jednem

kołem wodném; następnie, po przesianiu go przez rafy i sita metalowe, poddawano 24-o godzinnemu działania ognia w rusztowni, w celu oczyszczenia miedzi z siarki i innych przymieszek. Piece rusztowe (*Reverberier-Ofen*) były tak urządzone, iż płomień nie dochodził bezpośrednio do lechu, lecz z czeluścia dostawał się do kanałów, przeprowadzonych pod sklepieniem, na którém miał był złożony. Cały ten więc proces był właściwie prażeniem. By zaś nie dopuścić do stopienia lub zbrylenia miedzi, otrzymanéj w téj formie, mieszano ją żelaznemi grabiami i ogień podsycano wolno.

Dla otrzymania miedzi czarnéj, miał, dobyty z rusztowni, poddawano nanowo silnemu działaniu ognia w piecach Hochofen, mieszając go z żużlem w stosunku 100 – 150. Ściekająca spustem miedź do tyglów, tworzyła teraz krążki, które dla tém dokładniejszego oczyszczenia z żużli, siarki i arszeniku wkładano do pieców, zwanych *Dahr-Ofen*. Mieściło się w nich od 80 do 100 centnarów miedzi. Proces, przez jaki tu przechodziła, był wielce podobny do działania pieca rusztowego. I tu bowiem od ogniska na ruszcie szły kanały, przez które ciągnął płomień, nie stykając się bezpośrednio z krążkami, ułożonémi na sklepieniu kanałów. Oddzielone z miedzi części obce, wydostawały się w stanie lotnym przez komin, połączony z tym piecem; żużel zaś opadał do rusztu.

Po 30 lub 40 godzinach takiego oczyszczania, przystępowano do g a r o w a n i a miedzi. Dokonywano zaś tego w dwóch piecach, zwanych wytapiającemi („*Gahr-Ofen*”). Urządzenie ich podobne było do ogniska hamerniczego. To znaczy, że na wewnętrzne ognisko, na które była zwrócona forma wiatrowa, na dwa cale od jego poziomu nachylona swym wylotem, sypano węgle i za pomocą miechów rozniecano je silnie. Na nie rzucano krążki miedziane i przetapiano na nowo. Ale wiatr, dmący na ognisko, nietylko krążki w stan płynny zamieniał, ale burząc i bałwaniąc rozpuszczony metal, oddzielał od niego części obce i oczyszczenie z nich ułatwiał. Dla przyspieszenia ugarowania miedzi, rzucano w masę jéj roztopioną kawałek glejty lub ołowiu, które łącząc się z pozostałą obcą przymieszką, wyzwalały ją od niéj zupełnie. Wreszcie drewienkiem, osadzoném na końcu żelaznego pręta, ściągano z jéj powierzchni resztki żużla i pokrywano węglem dopóty, aż przekonano się z wziętéj próby o zupełnéj czystości metalu. Przyrząd probierczy był nader prosty i składał się z cienkiego żelaznego wałeczka, którego jeden koniec zanurzano w roztopionym metalu. Jeżeli miedź była czysta, to po jego wyciągnięciu, barwa, przylegającéj do niego masy, była czerwona i na końcu tworzyła dzióbek śpiczasty; jeżeli przeciwnie miała barwę żółtą i zwisała z końca wałka formując kulkę, to znaczyło, że

miedź niedość jeszcze była ugarowana i że należy ją poddać dalszemu procesowi czyszczenia. Po ostatecznéj próbie, przerwano działanie miechów, miedź spuszczano do tyglów, w których nanowo przybierała kształt krążków, poczém dla nadania większéj spójności i ostudzenia, skrapiano ją wodą, ściągano za pomocą grabek żelaznych i oddawano dla dalszéj przeróbki do hamerni lub walcowni.

Tym sposobem od r. 1817 do 1819 produkowano rok rocznie od 200 do 800 centnarów miedzi. W hamerni przez kucie na gorąco przygotowano ją do wyrobu kotłów gorzelanych, w walcowni wyrabiano z niéj blachę, którą pod względem wartości na trzy klasy dzielono. Za centnar pośledniejszy, czyli kl. I, brano zł. 180; za centnar kl. II, zł. 200; wreszcie za blachę wyborową, zatém kl. III, zł. 220. Nadto znaczną jéj część wysyłano do mennicy warszawskiéj, gdzie wybijano z niéj grosze i trzygroszniaki z napisem: „Z miedzi krajowéj".

Oprócz blachy miedzianéj, wyrabiano tu także początkowo blachę cynkową, dopóki w Sławkowie nie urządził oddzielnéj walcowni Jacek Lipski, który hutę w téj miejscowości prowadził. Późniéj wzięto się do produkowania blachy mosiężnéj i żelaznéj. Centnar blachy mosiężnéj sprzedawano po 250 zł; cynkowéj: od 40 do 50 zł. Ciekawą także jest ówczesna płaca robotnika. Od wyrobu centnara blachy cynkowéj płacono zł. 2, miedzianéj od 2 do 3; mosiężnéj zł. 10, żelaznéj 4. Różnica zależała od ciągliwości metalu, zatém od większéj lub mniejszéj w wyrabianiu blachy trudności. Kruchy, łamliwy o wiele ich więcéj nasuwał.

Nie mamy odpowiednich danych co do mosiądzu, ale porównanie żelaza z miedzią da przybliżone pojęcie. Na 100 funtów żelaza wyrabiano blachy funtów 70, gdyż na obcinki tracono 24, a w ogniu funtów 6; tymczasem na centnarze miedzi ponoszono ubytku zaledwie funtów 4.

Mówiliśmy wyżéj, iż miedź czarna zawierała w sobie pewien procent srebra i że w hucie Aleksandra zajmowano się jego odciąganiem. Dokonywano tego w piecu zwanym płomienisty (*Flamm-Ofen*), opalanym drzewem, z odpowiednio urządzoném ogniskiem. Miedź połączona z ołowiem srebrnonośnym, którego dostarczały szyby olkuskie, przetapiano w nim i spuszczano do tyglów, w których, powstała stąd mieszanina, tworzyła kręgi, wynoszące od 4 do 5 centnarów. Dla oddzielenia ołowiu ze srebrem od miedzi, poddawano je działaniu ognia, w tak zwanym piecu zajgrowym (*Seuger-Ofen)*, w którym, nad kanałami, przeprowadzającemi płomień do jego wnętrza, ustawiano z obu stron ukośnie kręgi mieszaniny i zasypywano je węglem. Roztopiony ołów ze srebrem spływał wówczas przed ogniskiem do tyglów, tworząc w nich

krążki od 25 do 30 funtów wagi, a miedź pozostawała na blasze kanałowéj i szła potém na piec garowy, jak każda inna miedź czarna.

Odciąganie srebra od ołowiu odbywało się w piecu trajbowym („*Treib-Ofen*"), mającym formę okrągłą. Piec taki zaprawiał się popiołem wilgotnym, powstałym z oczyszczonych przez płukanie i spalenie kości baranich, i ubitym mocno na spodzie pieca, by tworzył masę twardą i stałą. Na tak przygotowany spód kładziono owe srebrno-ołowiane krążki, puszczano silny płomień i nanowo je topiono. Gdy zaś mieszanina była do najwyższego stopnia rozgrzaną, puszczano do pieca wiatr, dwiema na wprost skierowanemi na nią formami. Wiatr strącał glejtę, jaka się na ołowiu stopniowo tworzyła, do rynny wyrzniętéj w popielnéj zaprawie pieca, aż gdy się tym sposobem wszystek ołów w glejtę zamienił, otrzymywano na spodzie pieca krążek srebra surowego, które następnie oczyszczano w ognisku kowalskiém, ubitém ze spalonych kości baranich. Proces ten zaś powtarzano dopóty, dopóki nie sprawdzono drogą docymazyi jego próby 16-éj.

Takie srebro krystalizowało się przy stygnięciu, a w kuciu było ciągłe i nie pękało. Z jednego centnara miedzi otrzymywano zwykle 2 do 3 łutów srebra. Dla zbadania, czy miedź zawierała je w sobie, używano przy próbach docymazyjnych ołowiu probierczego (*Probier-Blei*), który sprowadzano z Gór Tarnowskich na Szlązku. Był to biały węglan ołowiu (*Weissblei-Erz*). Ołów' krajowy, zwłaszcza olkuski, o wiele znaczniejszy procent srebra zawierał. Z jednego centnara ołowiu otrzymano 6 do 8 łutów. Od r. 1817 do 1824 wyrobiono go 747 grzywien. Z niego to w mennicy warszawskiéj bito złotówki i pięciozłotówki z napisem: „Ze srebra krajowego". Z najpierwszéj zaś, wyprodukowanéj w Białogonie bryły, wybito kilkadziesiąt medali $2^1/_4$ cala średnicy, z wyobrażeniem: z jednéj strony huty Aleksandra w płaskorzeźbie z dwiema po bokach górami, nad któremi wschodziło słońce z napisem w górném półkolu: „I kruszcom Polski zajaśniało słońce", gdy w dolném widniał napis: „Huta Aleksandra w Białogonie, r. 1817; na drugiéj zaś umieszczono popiersie Aleksandra I, z napisem w górnem półkolu. „Dawca pokoju—Wskrzesiciel Polski". Wartość medalu oznaczono na złp. 20. Dziś w zbiorach numizmatycznych należy do rzadszych okazów.

W pół roku, po puszczeniu w ruch huty Aleksandra, zajęto się w Białogonie eksploatacyą ołowiu, którego rud dostarczały szyby kopalniane na Karczówcze, z Kolejówki pod Czarnowem, z Machulorskiéj szpary pod Miedzianągórą, ze Szczukowskich górek, z pod Olkusza, oraz z prywatnych kopalń hr. Tarły z Jaworzni. Z tych ostatnich

ruda była najbogatsza w kruszec. Z płuczek bowiem otrzymywano z niéj od 20 do 30%, z szybów od 45 do 60% ołowiu.

Dla otrzymania go w stanie czystym, po wyprażeniu, potłuczeniu i wypłukaniu rudy, topiono ją w zwykłym piecu wysokim, z przymieszką żuzla, granalów (surowizny żelaznéj), trochy flusu (wapnoskał) lub szlaki ołowianéj. Na jeden centnar rudy dodawano 14 do 26 funtów granalu, który przez większą łatwość łączenia się z siarką, oddzielał ją od ołowiu, gdy inne przymieszki ułatwiały topienie. Doprowadzona ruda do stanu płynnego, ściekała do tyglów, w których na wierzchu tworzyła się pokrywa, z t. zw. kamienia ołowianego. Kamień ów zdejmowano w sposób mechaniczny, a ołów wylany do form stanowił surowiec, który należało poddać zajgrowaniu, by od niego srebro odciągnąć i zupełnie je oczyścić. Kamień ołowiany jeszcze raz poddawano prażeniu w rusztowni i topieniu w piecu wysokim i tym sposobem z centnara otrzymywano 8 do 10 funtów ołowiu. Szlaka (żuzel) na centnar wydawała go 6 funtów.

Tak rozwinięta w hucie Aleksandra działalność, zwracała na Białogon oczy całego kraju, który, zniszczony długoletniemi wojnami, wierzył, iż w produkowaniu tylu metali odkryto niewyczerpane bogactwa. Szczególniéj schlebiało miłości własnéj narodu bicie z nich monety krajowéj, która, w powszechnym zostając obiegu, dawała w najodleglejszych zakątkach o tém bogactwie dotykalne świadectwo. Nic téż dziwnego, że od chwili puszczenia w bieg huty Aleksandra, zaczęły zwiedzać Białogon co najpierwsze w kraju osobistości.

Przedewszystkiém epokowe dla niego znaczenie miało przybycie w d. 4 lipca 1818 r. namiestnika, ks. Józefa Zajączka, który pragnął naocznie przekonać się o stanie zakładów górniczych, powołanych przezeń do życia. Towarzyszyli mu: dyrektor główny górnictwa, Jan Ulmann, komisya wojewódzka z prezesem swym, Kacprem Wielogłowskim, i komisarzem obwodu kieleckiego, Antonim Walewskim, późniejszym gubernatorem, na czele. Nadto z osób zostających przy boku namiestnika, obecnymi byli: adjutant Józef Mieroszewski, Albert Grzymała, wice-referendarz stanu, oraz generał hr. Małachowski, kasztelan. Wobec nich odciągano srebro i zaznajamiano ze wszystkiemi czynnościami zakładu. Odjeżdżając téż ks. Zajączek w księdze pamiątkowéj na pierwszéj karcie zapisał: „Namiestnik królewski oświadcza górnictwu swoje ukontentowanie z złożonych prac i całéj operacyi, którą widział. 4/7 1818. Xiąże Zajączek". Poczém następują podpisy wszystkich obecnych. Nie dość na tém na pamiątkę téj bytności w Białogonie, umieszczono w hucie marmurową tablicę ze złoconym napisem: „Huta Aleksandra srebrna, miedziana i ołowiana, ukończona w r. 1817,

przez namiestnika królewskiego w r. 1818 odwiedzoną została". Dziś niéma po niéj nawet i śladu. Nie była to jednak pierwsza i ostatnia ze strony namiestnika wizyta. Zjeżdża on tu jeszcze dwa razy: w d. 16 maja 1820 r. w towarzystwie dyrektora generalnego poczt, Sumińskiego i 30 lipca 1822 r. Od tego jednak czasu księgę pamiątkową coraz częściéj zapełniają zwiedzających podpisy. Tak w d. 20 lipca 1818 r. wizytuje zakłady białogońskie Lange, inspektor generalny budownictwa komunikacyi lądowych i wodnych, a oprócz niego przeszło 100 osób różnych powołań i stanowisk. Pomiędzy innemi spotykamy się z podpisem głośnego na ówczas Jana Olrycha Szanieckiego, dziedzica Pińczowa i radcy województwa krakowskiego, oraz z nazwiskami: Tarłów, Wielogłowskich, Oraczewskich, Michałowskich, Bystrronowskich, Dembowskich, Sołtyków, Lanckorońskich, Męcińskich i Darowskich.

W roku 1819 zwiedziło Białogon osób 95. Z nich zasługują na wzmiankę: Józef hr. Sierakowski, radca stanu, Ludwik hr. Plater, oraz Stanisław Staszyc, który w d. 29 lipca bytność swą w hucie Aleksandra, podobnie, jak ks. Zajączek, dłuższą zapiską w księdze pamiątkowéj zaznaczył. „Zwiedzając, pisze on, wszystkie zakłady górnicze przy murowaniu walcowni i przy sprowadzaniu dla niej (*sic*) wód potrzebnych, byłem obecny".

Walcownia, jak wiemy, powstała według planu Moritza; ale łatwo pojąć uczucie zadowolenia, jakiego doznał autor Ziemiorodztwa Karpat na widok rosnących zakładów białogońskich i prac, które były jego kierującéj myśli wcieleniem.

Najliczniejszą wszakże frekwencyą odznacza się rok 1820. W ciągu niego zwiedziło Białogon 200 osób, pomiędzy któremi znajdujemy wielu duchownych świeckich i zakonnych, wojskowych różnych stopni, nauczycieli szkół wojewódzkich, prawników i urzędników wszelkich dyskasteryj, właścicieli ziemskich, studentów wyższych zakładów naukowych, a nawet cudzoziemców, wiedzionych ciekawością poznania nowopowstałego ogniska pracy górniczéj. Byli to górnicy z Gór Tarnowskich: Schuhnagel i Güntzel, oraz Juncke ze Szczecina.

W r. 1821 było zwiedzających 130 osób, między innemi: Roman hr. Sołtyk, Józef hr. Załuski, Adam hr. Plater, Christiani, dyrektor generalny w zarządzie dróg i mostów, oraz O. Chłapowski, z Poznańskiego.

W roku następnym w księdze pamiątkowéj znajdujemy nazwisk 98. Białogon zwiedzają: ks. Jakób Falkowski, rektor Instytutu głuchoniemych, Kołaczkowski, podpułkownik inżynieryi, dyrektor Szkoły aplikacyjnéj wraz z 27 jéj uczniami, ks. Wojciech Szwejkowski, rektor uniwersytetu, wreszcie generałowie: Hauke i Bontemps.

Ale już rok 1823 ze względu na liczbę osób, zwiedzających zakłady białogońskie, przedstawia rażące, odnośne do lat poprzednich zjawisko. Księga zapisowa wykazuje ich zaledwie 18!... A pomiędzy niemi występuje jedna, jedyna wydatniejsza osobistość: Tomasz Święcki, mecenas, członek Towarzystwa przyjaciół nauk, znany w szerokich kołach, autor: Starożytnéj Polski. W roku 1824 jest zwiedzających niby trochę więcéj, lecz zawsze liczba uderzająco mała, zaledwie 32 osób, a z wydatniejszych tylko Karol Lill von Lilienbach, dawny dyrektor górnictwa za rządów austryackich, oraz Stanisław hr. Grabowski, minister oświecenia i wyznań. Ale w roku następnym liczba ta spada znów do 27, a w r. 1826 jest tylko jeden zwiedzający i to przybyły z Galicyi. [1])

Więcéj powiemy. Od roku 1826 do 1839 w księdze pamiątkowéj znajdujemy niczém nie zapełnioną przerwę. Nie zapisano w niéj ani jednego nazwiska. Czyby karty wydarto?... Bynajmniéj! Tylko w tym przeciągu czasu w zakładach białogońskich i całém górnictwie nastąpił przewrót, którego nikt się nie mógł przed rokiem 1823 spodziewać. Rzecz jednak była prosta. Ten stan świetności huty Aleksandra, który budził podziw w zwiedzających, a nie uchronił od złudzeń i samego Staszyca, był daleki od téj skali, jaką mierzyć go chciano. Nie dał się jednak nim olśnić Ksawery ks. Drucki-Lubecki, ówczesny minister skarbu. Działalność huty była różnorodna, budynki jedne za drugiemi wyrastały, jakby z pod ziemi, lecz produkcya nie odpowiadała nakładom. Jakoż rubryka dochodów z górnictwa była najsłabszą stroną ogólnego budżetu.

Bystry też umysł Lubeckiego od razu spostrzegł, iż górnictwo z samego początku weszło na drogę nieprodukcyjną, fałszywą. Zamiast rozwinąć na wielką skalę eksploatacyą żelaza, mającego obszerne zastosowanie w fabrykach, rolnictwie i codziennych potrzebach życia

---

[1]) Że w całym tych lat przeciągu w zwiedzaniu zakładów białogońskich brały udział i damy, byłoby mówić rzeczą zbyteczną. Czy wszystkie interesowały się w równéj mierze garowaniem miedzi, lub odciąganiem od niéj srebra i ołowiu, o tém wątpić należy: przynajmniéj jedna z nich wypowiedziała w księdze pamiątkowéj, co ją zajmowało najwięcéj: „*J'ai vu*—pisze ona—*de jolis garçons à Białogon*“. Odnosiło się to zapewne do praktykantów. Niektóre i to noszące dość głośne imiona, podlegają znów roztargnieniom innego rodzaju. Piszą np., że „były z curkami, albo kładą swe imię w formie: Chelena. Uwagi mężczyzn są niemniéj ciekawe. Jeden np. wyraża się: „przytomny zawsze zakładów chwalebnych“ (*sic*). Pewien znów kapitan „czuje się szczęśliwym, że w ojczyźnie swojéj widzi wzrost fabryk, skąd więcéj zapewne w kraju nadal pozostanie gotowizny“!

i którego bogate pokłady rozciągały się na ogromnéj przestrzeni kraju; zajmowano się produkowaniem mniéj potrzebnych metali, szukając w tém chluby, że z własnego srebra i miedzi możemy wybijać pieniądze. Było to jednak zbyt kosztowne dla skarbu i na tém większe narazić go mogło straty w przyszłości, że kopalnie miedzi i ołowiu z każdym rokiem swą wydajność zmniejszały. Na to niebezpieczeństwo oddawna wskazywał Lubecki, ale głos jego nie znajdował u Staszyca posłuchu. Owszem, to jego mieszanie się do spraw górnictwa on, z wielu innymi, za chęć przewodzenia w komisyach uważał. Według niego, jeżeli kopalnie wyczerpaniem groziły, to z rozszerzeniem ich pola, mogły się odkryć nowe, bogatsze jeszcze pokłady. W każdym razie wszelkie zmiany w dotychczasowym systemie eksploatacyi za szkodliwe dla górnictwa, zaledwie powstającego z pieluch, uznawał.

Innego wszakże zdania był Lubecki. Jako finansista i wytrawny mąż stanu, wiedział, iż półśrodkami nie dokonywa się niczego i, nie mogąc działać zgodnie z Staszycem, popieranym przez Tadeusza Mostowskiego, postanowił sam ratować zagrożoną gałąź przemysłu. Jakoż, w raporcie swym, złożonym za r. 1823 na ręce ministra-sekretarza stanu, przedstawił cesarzowi istotny stan górnictwa w Królestwie, żądając ze względów finansowych zaprowadzenia w niém zmian koniecznych, a przedewszystkiém zwrócenia punktu ciężkości do eksploatacyi żelaza, jako produktu najściśléj związanego z rozwojem ogólnego przemysłu. Raport ten wywarł wielkie na cesarzu Aleksandrze I wrażenie. Następstwem jego było wydanie w d. $^{2}/_{14}$ grudnia 1824 r. postanowienia, który górnictwo od d. 1 stycznia 1825 r. pod zarząd ministeryum skarbu poddawał. I to tłómaczy tak nagłe zmniejszenie się od r. 1823 liczby zwiedzających Białogon. Krok ten bowiem Lubeckiego, w gruncie uzasadniony, powszechne w kraju oburzenie wywołał, a ugodził w samo serce Staszyca. Człowiek ten, zaledwie na schyłku życia znalazłszy odpowiednie pole działalności dla siebie, włożył całą duszę w górnictwo; tymczasem, gdy zaledwie zaczął zbiérać swoich trudów owoce, burzono jego dzieło i samego spychano ze stanowiska, na którém do ostatniego tchnienia życia chciał dla kraju pracować. Dotknięty téż krokiem ks. Lubeckiego głęboko, podał się natychmiast do dymisyi ze wszystkich zajmowanych urzędów i postanowił się na zawsze z życia publicznego wycofać. Zaledwie wdanie się namiestnika i ministra oświecenia, Stanisława hr. Potockiego, powstrzymało rozżalonego starca od tego kroku. Przyjął więc ofiarowane sobie miejsce w Radzie stanu i w Komisyi oświecenia na zajmowaném dawniéj stanowisku pozostał.

Ale cios doznany nazawsze jego zdrowie podkopał i w znacznéj mierze przyczynił się do jego zgonu, który w dniu 20 stycznia 1826 r. w skutek apopleksyi nerwowéj nastąpił.

III.

Po śmierci Staszyca dokonano reorganizacyi górnictwa. Jakoż postanowieniem namiestnika z d. 6 grudnia 1826 r. zwinięto naprzód Dyrekcyą górniczą w Kielcach, następnie w r. 1828 i Szkołę przeniesiono do Warszawy. Był to krok niewłaściwy, gdyż tym sposobem pozbawiano uczniów jednoczesnéj praktyki górniczéj. [1]) Nadto wydział górnictwa oderwany od Komisyi spraw wewnętrznych, przyłączono do Komisyi skarbu i na jego dyrektora powołano radcę stanu, Ludwika Haukego, b. komisarza do organizacyi min za czasów Ks. warszawskiego.

Wydział ten odtąd miał się znosić bezpośrednio z naczelnikami okręgów górniczych.

W dozorstwie białogońskiém z dawniejszych osobistości pozostali w zarządzie: Jan Klemm, radca hutniczy, w charakterze inspektora zakładów, Ernest Kaden, jako zawiadowca hut; Wojciech Krygar, jako dozorca hutniczy. Przybyli zaś: sztychmistrz, Fran. Protschkar, i zawiadowca ekonomiczny huty, Eliasz Kisielewski; ustąpił zaś ze swego stanowiska. Funkhennel.

Pomimo jednak dokonanéj reorganizacyi zakłady białogońskie nie były czynne. Stało się bowiem to, co przewidywał ks. Lubecki. W r. 1826, w skutek zalewu szybów Miedzianogórskich, zabrakło rudy miedzianéj.

Teraz minister skarbu zamierzył przeprowadzić własne pomysły. Przedewszystkiém zniosł hutę Aleksandra, a na jéj miejscu utworzył w Białogonie *Warsztaty mechaniczne*. W nich dla osuszenia kopalń olkuskich miano zbudować 10 maszyn parowych, o sile 100 koni każda, za pomocą których nieustannie pompowanoby wodę. Jakoż maszyny te, ustawione później przy sztolni, wybitéj pod Olkuszem, przez długi

---

[1]) Skład téj szkoły obecnie był następujący: mineralogią i geognozyą wykładał: Józef Tomaszewski; chemię, hutnictwo i górnictwo: Jerzy Pusch; matematykę i budowę maszyn: Fryderyk Lempe; prawo górnicze i naukę stylu: Andrzej Kossowicz; markszajderyę: Fryd. Krumpel. Ci wszyscy mieli przyznany tytuł profesorów. Nadto w charakterze nauczycieli wykładali: docymazyę: Henryk Kaden, rysunki i geometryę wykreślną: Aleks. Spleszyński

czas swoję funkcyę spełniały. Główniejsze do nich części, jak: cylindry, pompy, parallelogramy, sprowadzono z Anglii; grubsze wyroby, jak: balansyery, kotły, koła zębate i szalone miały wyrabiane być w kraju.

Do wykonania tych pomysłów powołany został inżynier-mechanik William Preacher, którego ks. Lubecki przed rokiem sprowadził z Anglii na kierownika do założonéj przez siebie fabryki machin na Solcu w Warszawie.

Tak więc, po okresie rozwijającym się pod wpływem górników saskich nastąpił dla Białogona drugi, mający się rozwijać pod wpływem inżynieryi angielskiéj. Jakoż Preacher zabrał się energicznie do spełnienia swego zadania.

Przedewszystkiém na pomieszczenie warsztatów wybrał budynek główny, w którym się huta Aleksandra mieściła, ale ten wymagał bardzo wielu przeróbek. Zburzono więc dawne piece i mury wewnętrzne, oddzielające huty: miedzianą, srebrną i ołowianą; zniesiono dawniéj działające w nich koła wodne, a natomiast zbudowano jedno, nowszéj konstrukcyi, o sile 12 koni. Było ono drewniane, z żelaznemi ramiennikami (szprychami) i takimże regulatorem i stawidłem. Miało zaś średnicy stóp 17, na 6 stóp i 9 cali szerokości, o 42 korcówkach. Koło to, za pomocą innego koła zębatego, osadzonego poziomo na wale, ustawionym pionowo wewnątrz budynku, rozsyłało za pomocą innych kół zębatych, kątowych, ruch całemu systemowi walców, umieszczonych w górze, pod powałą, a mających kształt bębnów, na których osadzone pasy transmisyjne udzielały siły obrotowéj tokarniom i wszystkim warsztatom mechanicznym, umieszczonym na dole.

Rzecz naturalna, iż wszystkie części składowe warsztatów mechanicznych, jak tokarnie, heblarnie, gwintownie, śrubsztaki, kowadła, pilniki—musiano sprowadzać z Anglii. Dostarczały ich pierwszorzędne fabryki: manchesterskie Sharp Roberts et Son, oraz fabryka Fox'a z Derby. Było to koniecznością, by warsztaty od pierwszéj chwili postawić na stopie europejskiéj. Inne ich części wyrabiano w kraju, bądź w fabryce machin na Solcu, bądź na miejscu pod kierunkiem naczelnego inżyniera, Preachera, mechanika John Peesa, oraz Wiliama Mac Connola, który początkowo kierował robotami kowalskiemi, następnie zaś wyłącznie zajmował się budową kotłów parowych.

Nadto sprowadzono z Anglii majstrów tokarskich i formierskich, którzy jednak czy to w skutek jakiegoś zajścia z władzami kierującemi, czy niemożności przystosowania się do warunków miejscowych, powrócili wkrótce do swego kraju. Również nie wrócił inżynier Thomas,

wyprawiony do Anglii dla zakontraktowania nowéj partyi majstrów, na miejsce wybyłych i zakupienia różnych części do maszyn parowych. Brakowi temu jednak umiał zapobiedz Preacher, kształcąc miejscowych majstrów i robotników.

Po urządzeniu i wprawieniu w ruch warsztatów mechanicznych, co nastąpiło pod koniec r. 1828 lub na początku 1829, Preacher zajął się w dalszym ciągu rozwinięciem innych części zakładu. Przedewszystkiém przedłużył pawilon z prawéj strony wzniesiony i urządził w nim od strony stawu kuźnią z 10 ognisk złożoną, gdy drugą jego połowę przedzielił dwiema ścianami na trzy części, przeznaczając je na pomieszczenie warsztatów stolarskich, modelownią i budowę machin.

Jednocześnie Ernest Kaden, pełniący obecnie obowiązki zawiadowcy, zbudował dom mieszkalny dla siebie, który po dziś dzień w pierwotnym kształcie istnieje. Uderza on przedewszystkiém grubością murów, okratowaniem okien i masywnemi drzwiami, jakby w jakiéj fortecy. Pochodziło to stąd, iż nie było osobnego pomieszczenia na kasę, i że w domu zawiadowcy składano każdodzienny dochód fabryczny oraz sumy, wyznaczone na przebudowę zakładów.

Istotną jednak chwałę Preachera stanowi urządzenie walcowni nowéj, podług najlepszych wzorów, jakie znaleźć mógł w Anglii. Dawna, z przestarzałym systemem, nie tylko nie odpowiadała wymaganiom techniki postępowéj, lecz i ze względu na rozszerzoną produkcyę żelaza nie była wystarczającą. Powiększono więc drugi pawilon, lewy, w ten sposób, iż część przybudowaną wysunięto po za kanał, który teraz pod budynkiem przepływał; wewnątrz zaś urządzono nad nim koło wodne, nader kunsztownéj budowy, która dziś jeszcze podziw znawców obudza. Osadzone na wale żelaznym, miało średnicy stóp 23 i cali $3^1/_2$ w świetle, przy szerokości stóp 12, cali $7^1/_4$, oraz 48 korcówkach, głębokich na cali 19. Pomimo dość wielkich rozmiarów odznaczało się ono iście filigranową robotą i lekkością, którą przedewszystkiém zawdzięczało temu, że obwód koła z walcem łączyły trzy tylko ramienniki, zewnętrzne z drzewa, wewnętrzne ze sztab żelaznych, które odejmując masywność, nadawały moc i trwałość budowie. Koło to o sile 40 koni wprawiało w ruch za pośrednictwem kół trybowych i koła szalonego jednę uprząż walców blachowych; następnie za pomocą łączników (*Mittel-Stück)*, poruszało drugą uprząż do blach małego formatu, oraz walce gładzące (*Polier-Wälze*). Nadto kanał odpływowy ujęto w ciosy i opatrzono stawidłem żelaznem, mechanicznem.

Ustawieniem walcowni zajmował się mechanik John Pees przez cały rok 1830, i część roku następnego i właśnie, gdy mógł z dumą

spoglądać na ukończone swe dzieło, nieszczęście chciało, iż pierwszą próbę puszczenia w ruch walcowni, własném życiem przypłacił.

Było to w samą wielką środę 1831 r. W następny dzień miano puścić w ruch walcownią w obec komisyi, na któréj czele stał Piotr Michałowski, radca hutniczy, kierujący warsztami mechanicznemi w Białogonie, który późniéj, jako artysta, genialnemi akwarelami zasłynął. Z nim przybyć miało wiele innych osób, pomiędzy niemi i ks. Leon Sapieha, obecnie radca honorowy w zarządzie górnictwa, późniéj marszałek długoletni sejmu lwowskiego. Nic też dziwnego, iż w wigilią tego dnia John Pees, pragnąc przekonać się o prawidłowém działaniu maszyn, kazał wieczorem podnieść stawidło i puścił w ruch walcownię. Maszyny funkcyonowały dobrze; ale na swe nieszczęście zauważył, iż się w jednéj z nich obluzowały niektóre części. Zamiast jednak ruch koła wodnego powstrzymać, on wszedł między koła trybowe i, zaleciwszy stojącemu za nim ślusarzowi, trzymać poły swego surduta, zaczął klinami rozluźnione części umacniać. Lecz właśnie, gdy po skończonéj robocie, miał już przebyć zagrodę, oddzielającą maszynę od reszty budynku, ślusarz zawcześnie wypuścił z rąk trzymane poły i spowodował straszny wypadek: tryby bowiem pochwyciły je swemi zębami i w mgnieniu oka zmiażdżyły nieszczęśliwego John Peesa.

Śmierć jego rzuciła cień na uroczystość dnia następnego, a o sile wywartego wrażenia świadczy obszerna o tym wypadku zapiska, oraz żywa tradycya, która do dni naszych przetrwała. Było to tém smutniejsze, że walcownia wprawiona w ruch kosztem życia uzdolnionego mechanika, wkrótce funkcyonować przestała. Rok bowiem 1831 bynajmniéj nie sprzyjał rozwojowi robót górniczych. Z wyjazdem do Petersburga ks. Lubeckiego, który już więcéj na swe stanowisko nie wrócił, wykonanie szerokich jego zamysłów nadługo zawieszone zostało. W warsztatach mechanicznych nie było żadnych zamówień: wyrabiano w nich tylko broń sieczną i palną; co się zaś tyczy walcowni, to o jéj produkcyi w księdze pamiątkowéj przez lat dwa niéma najmniejszéj wzmianki.

Wogóle cały okres działalności górnictwa pod zarządem Komisyi przychodów i skarbu uważać należy jedynie za przygotowawczy, przejściowy. O ile ks. Lubecki miał trafne na jego rozwój poglądy, o ile zresztą osuszenie kopalń olkuskich byłby doprowadził do skutku, to dopiéro miała przyszłość wykazać. Tymczasem jego usunięcie się z zajmowanego stanowiska w chwili, gdy jeszcze nie przeprowadził swych zamysłów w całości, nie pozwala jego zasług w tym kierunku ocenić. Bądź co bądź dla Białogona z r. 1831 skończył się okres dru-

gi;—trzeci rozpoczyna się w r. 1833, gdy górnictwo przeszło pod zarząd b. Banku polskiego.

Naczelny nad niém kierunek objął teraz jego wice-prezes Henryk hr. Łubieński, który jasném zrozumieniem potrzeb krajowych, najwięcéj przyczynił się do wzrostu i rozwoju górnictwa. Obejmując je spadkiem po ks. Lubeckim, musiał liczyć się z dokonanemi przezeń robotami, i plany jego uwzględniać; ale, mając na oku, równie jak on, produkcyę żelaza, nadał jéj praktyczny i właściwszy kierunek.

Przedewszystkiém, pragnąc silniejszy nadzór nad górnictwem rozciągnąć, ustanowił na miejsce zniesionych przez ks. Lubeckiego dozorstw bezpośrednie zarządy, dzieląc górnictwo na trzy okręgi: *wschodni* w Suchedniowie, *zachodni* w Dąbrowie Górniczéj, oraz *północny* w Ciechocinku. Nad niemi zaś, jako zarząd główny, utworzył przy Banku wydział górniczy, w którym obowiązki dyrektora sprawował radca Lempe.

W tak zorganizowaném górnictwie, Białogon ze względu na swe położenie geograficzne, wszedł w skład okręgu wschodniego. Naczelnikiem jego był Łukasz Reklewski; na stanowisko zaś zawiadowcy naczelnego nad zakładami białogońskiémi powołany został Preacher.

Nie odejmując téż Białogononowi charakteru głównego ogniska górniczego przemysłu, hr. Łubieński posunął się o krok daléj i jego zakłady zrobił dźwignią krajowego rolnictwa: słowem, z warsztatami mechanicznemi połączył fabrykę narzędzi rolniczych. Pomysł był arcyszczęśliwy, zwłaszcza, że w latach 1831 i 1832 zbudowano szosę, która, łącząc Warszawę z Krakowem, przechodziła tuż około białogońskich zakładów i jako główna arterya komunikacyi lądowéj, za pomocą dróg bocznych, ułatwiała sprowadzanie wyrabianych tu machin i narzędzi w najdalsze okolice kraju.

Że założenie téj fabryki odpowiadało jego potrzebom ekonomicznym, dowodzą liczne zamówienia, jakiemi zakłady białogońskie od pierwszéj chwili rozpoczęcia w nich robót, zarzucone zostały. Pomiędzy obstalunkami najwięcéj spotykamy: młockarń, sieczkarń, młynków do wiania i czyszczenia zboża, młynków do mielenia kartofli w gorzelniach, słodu w browarach, wreszcie tartaków i kieratów.

(*D. n.*) *Roman Plenkiewicz.*

Listki z pola wiedzy.

I.

TREŚĆ: Odkrycie trzech nowych pierwiastków, wchodzących w skład powietrza atmosferycznego. — Klasyfikacya pierwiastków chemicznych. — Prace na têm polu chemików i podawane systemata. — Chemiczne „prawo oktaw“ Newlands'a, odpowiadające oktawie muzycznéj. — System „peryodyczności pierwiastków“ w chemii, analogiczny z prawem Bode'go w astronomii.—Przedstawienie tego systemu w sposób poglądowy. — Bliższe szczegóły prac prof. Ramsaya. — Rozbiór widmowy nowych pierwiastków. — Ogólny rzut oka na rozwój elektryczności w ostatnich latach. — Niepodzielne jéj panowanie w przyszłości. — Zastosowania elektryczności w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj. — Najnowsze badania. — Prace prof. H. Hertza. — Telegraf bez przewodników. — Telektroskop Szczepanika.

W świecie handlowym istnieje godny naśladowania zwyczaj zestawiania, w dłuższych lub krótszych odstępach czasu, bilansu dokonanych czynności, z któregoby można było odrazu, na pierwszy rzut oka poznać prawdziwy stan rzeczy, zoryentować się w położeniu.

Ten sam system z korzyścią może być stosowany i w dziedzinie nauki, na polu któréj ruch wcale nie ustępuje handlowemu, i z tego powodu specyaliści zmuszeni są nieraz cofać się w przeszłość, wchodzić niejako w samych siebie, w prace swoje dawniejsze, aby zoryentować się w położeniu obecném, rozpatrzéć uważnie co dotąd zrobiono oraz co obecnie robić należy.

Obserwując ten ruch, to wnikanie w samych siebie ze strony nowych badaczy, i sprawozdawca popularny, chcąc przedstawić czytelni-

kom obraz ruchu na polu nauk, musi wchodzić w samego siebie, naśladując powyższy zwyczaj, i podając czytelnikom wiązankę faktów naukowych, zastanawiać się, co w danéj gałęzi wiedzy zrobioném już zostało dla nauki a co jeszcze stosunkowo do zrobienia pozostaje.

Niektóre z tych faktów, znaczące pojedyncze etapy w rozwoju danéj nauki, pozostające tylko w zakresie teoryi, mogą miéć znaczenie tylko dla specyalistów, a to między innemi z tego względu, że byłyby nieprzystępne dla ogółu; inne kwalifikują się do zaregestrowania w sprawozdaniu popularném, mogą stanowić pokarm naukowy dla przeciętnego czytelnika.

Nie powinni się zatém dziwić czytelnicy, jeżeli w sprawozdaniach tego rodzaju dostrzegać czasem im się zdarzy luki, jeżeli zauważą, że pewne działy naukowe są za obszernie traktowane, inne przeciwnie, jak gdyby z umysłu pomijane; szczegółowsze bowiem sprawozdanie w jednych a pewne braki w innych gałęziach wiedzy są nieraz więcéj pozorne niż rzeczywiste.

Przechodząc do ważniejszych i wydatniejszych rezultatów, osiągniętych w czasach ostatnich w rozwoju nauk, właściwie pierwsze miejsce możeby należało poświęcić astronomii—téj królowéj nauk, jak ją nazywał wielki nasz matematyk, Jan Śniadecki. Musimy jednak w danym razie zrobić wyjątek od téj zasady i zaczniemy od chemii i fizyki, które w ostatnim roku, zwłaszcza pierwsza z tych nauk, zrobiły olbrzymi krok naprzód w swoim rozwoju.

Mamy tu na myśli między innemi odkrycie trzech nowych pierwiastków chemicznych. Pierwiastki te są: krypton, neon i metargon. Specyalne pismo angielskie „Przemysł i Żelazo" [1]) podaje niektóre szczegóły o odkryciu pierwszego z wymienionych pierwiastków, a mianowicie kryptonu. Wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy, sprawozdanie o tém odkryciu złożył najprzód francuzkiéj Akademii Nauk Berthelot i dopiéro w następstwie zakomunikował o tém „Towarzystwu Królewskiemu" (*Royal Society*) chemik angielski Ramsay, który właśnie odkrył ten pierwiastek gazowy. Krypton został odkryty, jak powiedziano w sprawozdaniu, w zagęszczoném (t. j. skroploném czyli płynném) powietrzu w chwili, gdy to ostatnie przechodziło znowu, wskutek parowania, w stan gazowy, po usunięciu z niego innych znanych poprzednio jego składników. Otrzymano go zaś w sposób następujący:

Ramsay i Traverse wzięli 750 cent. sz. płynnego powietrza, odparowali do objętości 10 cent. sz. i zebrali gaz w rurkę szklaną. Otrzy-

---

[1]) „*Industry and Iron*".

many tym sposobem krypton oczyścili od przymieszek obcych. Przedewszystkiém oddzielili tlen za pomocą miedzi metalicznéj; następnie azot za pomocą iskier elektrycznych; resztki zaś tlenu, jakie znajdowały się zatrzymane przez krypton, zostały ostatecznie usunięte przez przepuszczanie go nad mieszaniną magnezyi i czystego wapna.

Otrzymany po dokonaniu téj operacyi gaz, oprócz słabego widma argonu, znanego już dawniéj, dał drugie widmo, zupełnie nowe. To ostatnie składa się z dwóch niezwyczajnie jasnych linii, z których jedna prawie schodzi się z jasno-żółtą linią helium, druga zaś, zielona, może być porównana z zieloną linią helium. Ciepło gatunkowe tego gazu prawie takie, jak helium i argonu, skąd wynika, że krypton jest pierwiastkiem jednoatomowym.

Takim sposobem atmosfera nasza zawiéra, oprócz tlenu i azotu, nietylko argon, ale jeszcze jeden nowy gaz, nazwany kryptonem, który jest cięższy od argonu, a mniéj lotny, niż trzy inne znane składniki powietrza atmosferycznego. Ramsay nazwał go kryptonem (z greckiego, to co ukryte) ponieważ dłużéj niż pozostałe gazy w naturze był ukryty dla nauki, a nie mógł być prędko odkryty dlatego, że się znajduje w powietrzu w bardzo małéj ilości ($^1/_{200}$ %, t. j. 1 część kryptonu na 20,000 części powietrza).

Okazało się jednak w następstwie, że powietrze atmosferyczne, oprócz czterech pierwiastków (tlenu, wodoru, argonu i kryptonu), zawiéra jeszcze dwa inne elementy. Uczeni chemicy Moisson i Délandre przedstawili francuskiéj Akademii Nauk zamknięty pakiet; akademia otworzyła go i zakomunikowała o jego treści prof. Ramsayowi, który, w odpowiedzi na to, zawiadomił o stanie swoich prac, prowadzonych razem z Traversem, przyczem sprostowaném zostało, że ci dwaj chemicy odkryli krypton nie w chwili przejścia płynnego powietrza, drogą parowania, w stan gazowy, jak to było poprzednio ogłoszone w pismach, ale przy badaniu własności ciekłego argonu. Ramsay i Traverse pracowali całą zimę nad tém, aby wydzielić z płynnego powietrza płynny argon w objętości dostatecznéj do przeprowadzenia badań i właśnie w tym izolowanym argonie znaleźli krypton.

Ale oprócz tego odkryli inny gaz, który pod wpływem prądu elektrycznego zapala się w rurce szklanéj i płonie bardzo pięknym kolorem pomarańczowym. Ten nowy gaz dał i nowe widmo, różne od widma argonu, i nazwany został przez Ramsaya „neonem” (gazem nowym). Kiedy przejście w stan pary płynnego argonu zbliżało się do końca, w pozostałości znaleziono inne ciało, ulatniające się nadzwyczaj powoli. Odosobnienie tego gazu nie przedstawiało wielkich trudności. Ten szósty składnik powietrza atmosferycznego nazwał Ramsay „me-

targonem". Zbadanie własności 3-ch nowo-odkrytych gazów (kryptonu, neonu i metargonu) jest obecnie tylko kwestyą czasu.

Zupełnie niespodziewane odkrycie argonu, wobec tego, gdy otaczająca nas atmosfera była bardzo wiele razy badana, w ciągu ostatnich stu lat przez uczonych wszystkich krajów, jak powiadają pp. Ramsay i Traverse w swojém sprawozdaniu złożoném „Towarzystwu Królewskiemu", nie mogło nie zaambarasować specyalistów. Pomimo woli powstała wątpliwość co do dokładności poprzednich metod badania powietrza, a tém samém i otrzymanych rezultatów.

Przy pracach nad odkryciem nowych pierwiastków chemicznych wielką pomocą i ułatwieniem tych badań a jednocześnie i zasadą, któréj się trzymać i podług któréj oryentować się mogli uczeni chemicy, była t. z. „peryodyczność pierwiastków chemicznych, dla wyjaśnienia któréj musimy kilka słów powiedziéć, cofając się na chwilę w przeszłość.

Dawno już bardzo Döbereiner spostrzegł, że niektóre ciała proste, czyli pierwiastki chemiczne, mogą być ustawione w grupy, składające się z trzech elementów. Wyboru tych elementów dla tworzenia tego rodzaju potrójnych związków dokonywano na zasadzie pewnego podobieństwa ich własności oraz pewnego następstwa wielkości ich ciężarów atomowych. Tak np. wapń, stront i bar tworzyły jednę z podobych grup, ich zaś tlenki, czyli niedokwasy, (wapno, stroncyana i baryta), rozpuszczalne w wodzie, tworzyły wodę wapienną, barytową i stroncyanową. Ich siarczany są, jak wiadomo, wszystkie mało rozpuszczalne. Zauważono również podobieństwo między ich chlorkami i azotanami (czyli saletranami). Ta prawidłowość dawała się dostrzegać w ich ciężarach atomowych. Przyjęte podówczas liczby były: 20,42.5 i 65. Otóż ciężar atomowy strontu stanowił średnią arytmetyczną pomiędzy ciężarami atomowemi dwóch pozostałych pierwiastków. [1]). Grupy te, ustanowione dla innych pierwiastków, nazywano tryadami Döbereinera.

Drugi system klasyfikacyi pierwiastków, oparty również na podstawie ich ciężarów atomowych, zaproponowany był przez Pettenkofera, Cooka i innych uczonych. Polegał on na wynalezieniu wyrażenia algebraicznego, któreby przedstawiało różnice pomiędzy ciężarami atomowemi pokrewnych pierwiastków. Tak np. różnica między ciężarem atomowym litu (7) i sodu (23) jest 16. Ta sama różnica 16 istnieje również między ciężarem atomowym sodu (23) i potasu (39). Prawidłowość jednak tego systemu nie zawsze była widoczna.

W następstwie Dumas wynalazł dosyć złożony wzór, przedstawiający do pewnego stopnia prawidłowość, z jaką zmienia się ciężar ato-

---

[1]) Jakoż $(20+65):2=42._5$.

mowy przy przejściu od fluoru do chloru, bromu i jodu, a także przy przejściu od azotu do fosforu, arsenu, antymonu i bizmutu.

Dalszym ciągiem tych usiłowań odkrycia prawidłowości, przejawiającéj się w zmianie ciężarów atomowych, są prace Johna Newlanda, który w r. 1894 ustanowił tak zwane „prawo oktaw". Badacz ten, ułożywszy pierwiastki w grupy ośmiowyrazowe, znalazł, że przez ustawienie ich w porządku ciężarów atomowych „każdy ósmy pierwiastek, bez względu na to, od którego z nich rozpoczniemy liczenie, przedstawia w pewnym rodzaju powtórzenie pierwszego, zupełnie tak samo jak ósma nuta w oktawie muzycznéj!" I dla tego właśnie prawidłowość tę nazwał „prawem oktaw".

Dalszy rozwój téj zasadniczéj myśli nauka zawdzięcza profesorowi M. Meierowi i Mendelejewowi. Ustanowili oni t. zw. „prawo peryodyczności pierwiastków" w nauce chemii, do pewnego stopnia analogiczne z prawem Bode'go w astronomii. [1])

Ten związek pomiędzy ciężarami atomowemi można przedstawić w najprostszy sposób przy pomocy cylindra rozdzielonego na ośm odcinków liniami, równoległemi do jego osi; linia śrubowa, przeprowadzona po powierzchni cylindra, przetnie ośm razy te linie w ciągu jednego swojego obrotu. Ustawiwszy cylinder pionowo, piszemy nazwę pierwiastka i jego ciężar atomowy na każdém przecięciu się spiralnéj z linią prostą, trzymając się rosnącego porządku ciężarów atomowych. Wtedy, jak powiadają wymienieni wyżéj chemicy, pierwiastki znajdujące się pod sobą na jednéj linii pionowéj stanowią klasę naturalną, posiadają własności podobne, tworzą związki jednego typu, wykazując pewne stopniowanie w zmianie swoich gęstości, punktów topliwości i wielu innych cech. Wszakże jedna z tych kolumn różni się od innych tém, iż na niéj znajdują się trzy grupy, z których każda składa się z trzech pierwiastków o stosunkowo równym ciężarze atomowym. Pierwiastki te są: żelazo, kobalt i nikiel; pallad, rod i ruten; platyna, iryd i osm. Rzecz jasna, że w téj kolumnie jest jeszcze miejsce dla czwartéj grupy z trzech elementów, a nawet i dla piątéj.

Że odkrycie takiéj grupy jest prawdopodobne, dowodzi tego fakt, iż kiedy tablica ta była ułożona po raz pierwszy, prof. Mendelejew odrazu wskazał na pewne puste miejsca w téj tablicy, które w następstwie

---

[1]) Jak wiadomo, prawo to, podług którego obliczyć można odległości planet od słońca, pozwoliło astronomom Leverrier i Galle odkryć w swoim czasie nieznaną poprzednio planetę, Neptuna, któréj istnienia domyślali się na zasadzie pomienionego prawa.

zostały zapełnione przez odkrycie pierwiastków, jakiemi są: gal, german i inne.

Wskutek odkrycia argonu, prof. Ramsay zwrócił uwagę na jego położenie w téj tablicy. Ponieważ gęstość jego jest 20, to gdyby argon był gazem dwuatomowym, jak tlen, musiałby w tym systemie peryodycznym następować po fluorze. W pierwszéj chwili Ramsay sądził, że argon, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawia mieszaninę trzech gazów, z których każdy ma prawie jeden i ten sam ciężar atomowy, jak np. żelazo, kobalt i nikiel. Gdy jednak okazało się, że drobiny, czyli cząsteczki (molekuły), argonu składają się z jednego atomu, to koniecznem było przyznać mu ciężar atomowy 40 a nie 20, czyli pomieścić argon w tablicy tuż za chlorem, nie zaś za fluorem.

Ale powstały tu nowe trudności, których nie możemy rozbierać w popularnym artykule. Powiemy tylko, że trudności te zostały pokonane i że bardzo dokładnie przeprowadzone doświadczenia przez Ramsaya i innych chemików dowiodły, iż argon jest ciałem prostém, nie zaś mieszaniną pierwiastków. Odkrycie pierwiastku helium rzuciło nowe światło na tę kwestyę i skłoniło chemików do dalszych poszukiwań na tém polu.

Poprzestajemy na tych wyjaśnieniach, które wykazują dostatecznie, w jaki sposób postawiony system peryodyczności pierwiastków może przyczynić się do odkrycia nowych nieznanych w nauce elementów i ułatwić uczonym badanie na tém polu.

Powróćmy do głównego naszego zadania. Jakeśmy wyżéj zaznaczyli, powstała tu kwestya treści następującéj:

Jeżeli po niezliczonych, w ciągu całego roku prowadzonych doświadczeniach, w powietrzu mógł okazać się, oprócz dawno znanych pierwiastków tlenu i azotu, jeszcze inny gaz-argon, to dlaczego nie moglibyśmy przypuścić, że skład atmosfery ziemskiéj jest daleko więcéj skomplikowany i nie ogranicza się na tych trzech elementach?

Podobna myśl powstała jednocześnie w głowie wielu chemików angielskich i francuskich, którzy energicznie wzięli się do pracy, i oto w roku bieżącym, w ciągu kilku tygodni, wiadomém się stało zdumionemu światu specyalistów o istnieniu w składzie atmosfery ziemskiéj trzech nowych elementów gazowych: kryptonu, neonu i metargonu. Odkrycie dwóch ostatnich gazów, neonu i metargonu, nastąpiło zupełnie przypadkowo, dzięki téj okoliczności, że przed kilkoma miesiącami Ramsay odkrył sposób otrzymywania argonu w wielkiéj ilości z powietrza atmosferycznego. Otrzymawszy przeszło 18 litrów tego rzadkiego w naturze gazu, Ramsay postawił sobie za zadanie rozłożyć argon na części składowe, gdyż przypuszczał, że to jest ciało gazowe złożone.

W tym celu przefiltrował argon przez płytę glinianą, ale przecedzony tym sposobem gaz okazał się niezmienionym. Wtedy, łącznie z Traversem, postanowił Ramsay przedsięwziąć szereg nowych doświadczeń przy pomocy płynnego powietrza użytego w znacznéj ilości.

Dla tego to, przeprowadziwszy dostateczną ilość powietrza w stan ciekły, naturaliści pomienieni zmniejszyli ciśnienie, wskutek czego rozpoczął się odwrotny proces, t. j. przejście płynnego powietrza, za pomocą parowania, w stan gazowy; jednocześnie wszakże zagęszczał się, łatwo i szybko, zawarty w rozrzedzającém się powietrzu argon.

Dla zwiększania skutku, argon przepuszczany był, przy pomocy syfonu szczególnéj budowy, przez długą i cienką rurkę, oziębianą zewnątrz ciekłém powietrzem. Ten aparat syfonowy opatrzony był w wanienki z merkuryuszem oraz w pompki, przy pomocy których przedewszystkiém usuwane było zawarte w cienkiéj rurce powietrze.

Obserwując oddzielający się płynny argon, Ramsay zauważył, że jednocześnie z nim oddzielało się w znacznéj ilości jakieś inne ciało nierównie większéj konsystencyi, które już to osadzało się na wewnętrznych ściankach rurki szklanéj, już to unoszone było prądem płynnego gazu.

Po wydzieleniu około 14 litrów płynnego argonu, chemicy nasi zamknęli kran i w ciągu kilku minut utrzymywali nizką temperaturę w tym celu, aby przywrócić równowagę pomiędzy płynem i parą w samym aparacie.

Podczas gdy to się odbywało, za pomocą pompki merkuryuszowéj starannie usunięto z syfonu zebrane w nim powietrze, a następnie, po otworzeniu kranu, wpuszczono tam nieznany gaz, który zebrał się w rurce nad powierzchnią płynnego argonu w objętości 100 do 120 cent. sz. Gaz ten zauważony już był dawniéj przy poprzednich doświadczeniach.

W następstwie ciśnienie atmosferyczne zostało znowu znacznie zwiększone i pod wpływem tego ciśnienia odbywała się dalsza dystylacya płynnego argonu do osobnego odbieralnika dotąd, dopóki na ściankach i na dnie rurki pozostała tylko sama wspomniana wyżéj substancya. Po skończeniu dystylacyi, pozostałe w rurce tylko jedno ciało stałe przeprowadzono do osobnego odbieralnika gazów i usunięto ciśnienie; wtedy zaczął się bardzo powolny odwrotny proces, t. j. przechodzenie substancyi stałéj w gaz, którego zebrało się 140 do 150 cent. sz.

Doświadczenia te były wykonane znakomicie, z zupełném powodzeniem. Wtedy jasną stało się rzeczą, że pomienieni badacze posiadają oprócz argonu dwa nieznane gazy w stanie izolowanym.

Potrzeba było tylko zbadać te gazy. Rozpoczęto badanie od lżejszego ciała gazowego, które zebrało się w rurce, nad powierzchnią

płynnego argonu. Gaz ten przeprowadzony został do rurki szklanéj, z któréj powietrze poprzednio usunięto, dla oznaczenia widma, wykonywając ogrzewanie za pomocą zmiennego prądu elektrycznego; w skutek tego otrzymane zostało widmo, w którém zwracało szczególniéj uwagę kilka czerwonych linii, wśród nich zwłaszcza jedna nadzwyczaj świetna, a oprócz tego jedna jasno-żółta linia, podczas gdy linie zielone i błękitne, chociaż ich było wiele, nie przedstawiały nic godnego uwagi. Największą uwagę zwracała na siebie wspomniana linia żółta, ponieważ widma metalu sodu, helium i tylko co odkrytego kryptonu również zawierają jasną żółtą linię. Ale bliższe badanie dowiodło w zupełności, że linia żółta tylko co odkrytego nowego gazu, jakkolwiek jest téj saméj mocy, to jednak bardzo różni się od podobnych do niéj z koloru linii ciał wymienionych.

Ostatnia jednak wątpliwość co do tego nowo odkrytego pierwiastku znikła, kiedy nasi uczeni przystąpili do obserwowania go w próżni. Okazało się wtedy, że ten nowy gaz, który nazwali „neonem", nie tylko odróżnia się swojém widmem i gęstością, w przeciwieństwie do helium, argonu i kryptonu, ale będąc wprowadzony do rurki szklanéj, z któréj usunięte zostało powietrze, wywołuje zjawiska świetlne pod działaniem prądu elektrycznego, przechodząc od koloru karminowo-czerwonego do bardzo jasnego pomarańczowego, która to okoliczność poprzednio nie była spostrzeżona przy żadnym gazie.

Po wydzieleniu neonu i oznaczeniu jego własności, Ramsay i Traverse przystąpili do badania drugiego gazu, otrzymanego w rurce szklanéj w przestrzeni pozbawionéj powietrza, z wyżéj wspomnianego ciała stałego barwy białéj. Przy rozbiorze widmowym gaz ten dał bardzo różnorodne złożone widmo, które ogólnie zbliżało się do widma argonu, ale w szczegółach różniło się bardzo od widma tego pierwiastku. Przy słabém rozproszeniu kolorów, otrzymywało się zwyczajne widmo ze zwykłym rozdziałem linii, gdy tymczasem przy wzmocnioném, za pomocą siatki, występowało mnóstwo oddzielnych linii jasnych, prawie w równéj odległości jedna od drugiéj. Zresztą przy bliższém badaniu, odległości pomiędzy jasnemi liniami okazały się wypełnione takiemi samemi licznemi liniami, dostatecznie widzialnemi. Tych jasnych linii było 11, z których 5 leżało w zieloném polu widma, a 6 w niebieskiém. Przy mierzeniu długości fal okazało się, że zgadzała się ona z długością fal odpowiednich linii w widmie argonu, ale nie schodziła się z długością fal pozostałych linii. Linie czerwone, w skutek nadzwyczaj bladego zabarwienia, nie były mierzone. Pojawienie się w widmie podwójnéj linii czerwonéj dowodziło, że ten nowy gaz nie był wolny od przymieszki argonu. Drogą badania długości fal głosowych w tym gazie

dowiedzionem zostało, że gaz ten jest pierwiastkiem jednoatomowym. Wskutek bardzo znacznych różnic widma nowego gazu od widma argonu, a również z tego powodu, że przechodzi on w stan stały przy takiéj temperaturze, przy któréj powietrze pozostaje płynném, nie można go nie uznać za pierwiastek nowy, poprzednio nieznany.

Z drugiéj strony jego blizkie pokrewieństwo z argonem było powodem, że wymienieni wyżéj chemicy nazwali go „metargonem”. Ramsay i Traverse zwrócili uwagę na tę okoliczność, że metargon pozostaje w takim stosunku do argonu, jak nikiel do kobaltu. Oba te pierwiastki mają jednakową wagę atomową przy różnych własnościach.

Takie są ogólne rezultaty badań dwóch wielkich chemików. Rozszerzyliśmy się cokolwiek nad temi badaniami, poprzedzając je dorywczym szkicem klasyfikacyi pierwiastków, ze względu na ich nadzwyczajną działalność. Dziś trudno przewidzieć następstwa tych odkryć. Ważny krok na tém polu badań zrobiony zostanie w chwili, kiedy się uda uczonym zagęścić wodór *w wielkich ilościach*. Wtedy bowiem będą mieli do swego rozporządzenia jeszcze niższą temperaturę, tak potrzebną przy tego rodzaju badaniach.

* * *

Znany elektro-technik, inżynier E. Thomson, pomieścił w dzienniku „*Forum*” ciekawą pracę, obejmującą rzut oka na rozwój elektryczności w ostatnim dziesiątku lat, oraz najrozmaitsze zastosowania téj gałęzi wiedzy do praktycznych celów w życiu codziennem w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Wyjmujemy z tego sprawozdania niektóre dane.

W r. 1887, na zgromadzeniu specyalistów interesujących się sprawą dróg żelaznych miejskich, wszelkie próby zastąpienia siły pociągowéj konia przez siłę elektryczną uważane były za bezużyteczną stratę czasu. Natomiast na zgromadzeniu członków tego samego towarzystwa, odbytém w początku roku bieżącego, wyrażono opinię o możliwości ogólnego zastosowania siły elektrycznéj, jako siły pociągowéj, nietylko po drogach miejskich, ale i pomiędzy miastami. Pewną jest rzeczą, jak powiada E. Thomson, że w niedalekiéj przyszłości męczenie koni na kolejach konnnych należéć będzie do dziedziny podań i wspomnień. Przy sile pociągowéj elektrycznéj otrzymano przyśpieszenie ruchu i ulepszenie ekwipaży, oświetlanych i ogrzewanych elektrycznością, co przyczynia się do zachowania czystości i przedstawia udogodnienia, niemożliwe przy innych rodzajach siły pociągowéj. Łatwość, z jaką może być wprowadzona elektryczność na drogach przeznaczonych pierwotnie dla siły pociągowéj parowéj, dowodzi już samo przekształcenie służby kolejowéj. Wagony mogą poruszać

się stosunkowo bezpiecznie przy prędkości przeszło 90 kilometrów na godzinę. Zbudowanie kilku wielkich lokomotyw elektrycznych pokazało, że lokomotywy te siłą swoją przewyższają siłę lokomotyw parowych i mogą poruszać najcięższe pociągi z jednakową, a nawet większą prędkością od lokomotyw parowych. Zdaniem Thomsona, z biegiem czasu lokomotywy parowe zastąpione zostaną w zupełności silnikami elektrycznemi, obracającemi osie wagonów tak, jak to się dzieje w tramwajach ulicznych.

Przed dziesięciu laty istniały już wprawdzie sieci telefonów, ale nie było komunikacyi na dalekie odległości. Obecnie mamy komunikacye telefonowe z wielu miastami, oddalonemi od siebie na setki kilometrów.

Przed rokiem 1887 oświetlenie elektryczne spotykało się tylko w wielkich miastach. Obecnie i mniejsze miasta posiadają swoje stacye elektryczne, lampy łukowe do oświetlania ulic, lampy żarowe do ogólnego użytku. Te ostatnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj liczą się na miliony, a samych stacyi elektrycznych jest kilka tysięcy, co reprezentuje kapitał 500 milionów dolarów, czyli miliard rubli.

Znakomite jest zastosowanie elektryczności na Niagarze, przedstawiające dotykalnie znaczenie przemysłowe taniéj i pewnéj siły, otrzymywanéj skutkiem spadku wody. Siła wielkich kół wodnych udziela się potężnym maszynom dynamo-elektrycznym, które znowu służą do rozwoju energii elektrycznéj. Od siły, udzielanéj w ten sposób przez wodę, znajdują się w zależności oświetlenie i drogi elektryczne w samém mieście Niagarze, a także i niektóre zakłady przemysłowe tego miasta. Przedstawia się tu możliwość udzielania siły na wielką odległość po linii wysokiego naprężenia do Buffalo, gdzie otrzymuje się potrzebny zapas energii elektrycznéj dla stacyi miejscowéj.

Zasługują również na uwagę zastosowania prądu elektrycznego do ogrzewania i metalurgii. Tą drogą wyrabiają się akcesorya czyli części zapasowe ekwipaży, osi, obręcze, części welocypedów, różne narzędzia, topi się wszelkie metale i wykonywa wiele innych robót.

Znaczenie elektryczności dla metalurgii otrzymało niedawno nowy dowód w Niagarze, gdzie cena glinu, która przed kilkoma laty wynosiła jeszcze 2 dolary za uncyę, jest obecnie niższą od ceny mosiądzu. Pomijamy prace wykonywane dla otrzymania sodu i innych metali, oczyszczanie miedzi drogą elektrolizy i inne praktyczne zastosowania elektryczności.

Od tych zastosowań elektryczności w przemyśle, przechodząc na pole naukowe, między innemi podnieść musimy przedewszystkiém wykonanie doświadczenia przesyłania znaków na wielkie odległości bez

pośrednictwa przewodników metalowych, jedynie za pomocą fal elektrycznych.

Budowa telegrafu bez drutu opiéra się na prawie fizycznèm falistego ruchu elektryczności. Zjawisko wibracyi elektrycznych, które teoretycznie odgadł Maxwell, było zbadane szczegółowo przez Henryka Hertza, profesora uniwersytetu w Bonn. Doświadczenia jego z tak zwanemi „wibratorami elektrycznemi" dowiodły, że elektryczność, podobnie jak światło, rozchodzi się w powietrzu według praw ruchu falistego. Dla wykonania tych doświadczeń użył on cewki (bobiny) Rumkorfa, dającéj pod wpływem prądu elektrycznego nieustający szereg iskier. W odległości około dwóch metrów od przyrządu, który prof. Hertz nazywał „wibratorem elektrycznym", ustawiał on drut metalowy, zgięty w koło, z wązką przerwą między jego końcami, przyczém pomienione koło w stosunku do prądu spełniało rolę rezonatora, zupełnie tak samo, jak kamerton. Profesor Hertz wprawiał wibrator w ruch, a między końcami zgiętego w koło drutu pokazywały się natychmiast iskry, pomimo odległości oddzielającéj go od wibratora i braku wszelkich przewodników komunikacyjnych. Zjawisko to dowodzi, że elektryczność rozchodzi się rzeczywiście według praw ruchu falistego, podobnie jak to ma miejsce przy zjawiskach świetlnych i głosowych.

Następne doświadczenia profesora Hertza jeszcze więcéj potwierdziły analogiczność ruchu fal elektrycznych z ruchem drgań światła i dźwięku. Prof. Hertz pomieszczał swój przyrząd elektryczny w ognisku zwierciadła parabolicznego z blachy cynkowéj, i zagięty w koło drut, znajdujący się na przedłużeniu osi optycznéj takiego reflektora, dawał natychmiast iskry w odległości sześciu lub siedmiu metrów, gdy tymczasem w stronie od zwierciadła, nawet w bardzo blizkiéj odległości od wibratora, drut nie dawał wcale iskier. Rzecz jasna, że w danym razie zwierciadło wklęsłe odbijało fale elektryczne w kierunku równoległym, nie pozwalając im rozchodzić się na pewnéj przestrzeni. Prof Hertz pomieszczał zgięty w koło drut między dwoma zwierciadłami, ustawionemi naprzeciw siebie, i drut dawał iskry nawet na znacznéj odległości od wibratora. Te i tym podobne doświadczenia przekonały obserwatora, że elektryczność w przyrodzie jest ruchem falistym, nie mającym żadnych przeszkód w swém rozchodzeniu się, jakiemi są np. mury, ściany i t. p.

Rzecz jasna, że doświadczenia te położyły podstawę dla dalszych badań skonstatowanych zjawisk, które z kolei doprowadziły do zbudowania telegrafu bez drutów.

Poprzestając na tém teoretyczném wyjaśnieniu kwestyi, przechodzimy z kolei do drugiego wielkiego wynalazku, a mianowicie zbudo-

wania przez rodaka naszego, Jana Szczepanika, aparatu, służącego do przesyłania obrazów na odległość, t. j. tak zwanego telektroskopu.

Od czasu, jak w Ameryce zbudowany został pierwszy telefon, od czasu, jak człowiek był w stanie przesyłać na znaczne odległości drgania głosowe, wynalazcy wszystkich krajów i narodów zaczęli myśléć o budowie aparatu, który byłby tém dla światła, czém dla dźwięku jest telefon. Pojawiały się w czasopismach wiadomości o wynalezieniu różnych telefonów, fototelegrafu i innych tego rodzaju przyrządów, ale po upływie pewnego czasu tak sam aparat, jak i nazwisko wynalazcy, były uważane za płód fantazyi reporterów i skazywane na zapomnienie.

Z tego powodu pierwsza podana przez niektóre pisma wiadomość o wynalezieniu przez polaka, Jana Szczepanika, nowego telektroskopu przyjęta została z początku z pewną nieufnością. Okazało się jednak niebawem, że chodzi tu o sprawę bardzo poważną. Pisma naukowe zagraniczne podawać zaczęły różne szczegóły i rysunki, odnoszące się do téj kwestyi, i nakoniec ogłoszoném zostało, że departament handlu i przemysłu ministerym finansów w Petersburgu wydał J. Szczepanikowi i L. Kleinbergowi (bankierowi wiedeńskiemu, który dostarczał Szczepanikowi potrzebnych środków) przywilej na wynaleziony przez pierwszego z nich sposób mechanicznego przesyłania obrazów na odległość. Okazało się tedy, że telektroskop Szczepanika nie jest czczą chimerą, fantazyą efemeryczną, ale faktem rzeczywistym.

Telektroskop Szczepanika składa się z dwóch aparatów, zupełnie różniących się między sobą, z którychjeden znajduje się na stacyi wysyłającéj, drugi—na stacyi odbierającéj, czyli stacyi przeznaczenia. Działanie tych dwóch aparatów polega na rozłożeniu przesyłanego obrazu na oddzielne punkty, na przekształceniu tych punktów w prąd, ciągle zmieniający swoją siłę stosownie do siły zabarwienia świetlnego każdego punktu oddzielnie, i na nadzwyczaj szybkiém odtworzeniu z tych oddzielnych punktów całego obrazu. Podobna reprodukcya możliwa jest wtedy, kiedy szybkość jéj będzie taka, iż nie pozwoli oku ludzkiemu zauważyć oddzielnego pojawiania się jednego punktu za drugim, przedstawiając cały obraz prawie odrazu.

Wszelki przedmiot, żywy czy martwy, który chcemy przesłać za pomocą telektroskopu, odrzucany bywa przy pomocy szkieł optycznych na zwierciadło, znajdujące się przy przedniéj ściance aparatu. To ostatnie, umocowane na osi i wprawiane w ruch wahadłowy około swojéj osi za pomocą elektromagnesu, pokryte jest na całéj powierzchni czarną farbą, nieprzenikliwą dla światła, i tylko jedna linia, idąca w kierunku osi, pozostaje niepokryta i odbija padające promienie.

Podczas wahania się zwierciadła kołysze się ciągle kąt, jaki toż zwierciadło tworzy z płaszczyzną obrazu, i dlatego na linię zwierciadła dostają się jedna za drugą wszystkie linie obrazu. Ponieważ linia zwierciadła nie zmienia swego położenia w przestrzeni, to wszystkie linie obrazu odrzucane są przez nią w jedno i to samo miejsce, na jednę i tę samą linię, znajdującą się na tylnéj ściance aparatu.

Na téj linii przymocowana jest oś drugiego zwierciadła, przygotowanego w zupełnie taki sam sposób, jak pierwsze, ale różniącego się od niego tém, że kierunek linii zwierciadła nie schodzi się z kierunkiem osi, lecz nachylony jest do niego pod kątem prostym; wskutek tego z całéj téj linii, którą w jakiéjkolwiek chwili pierwsze zwierciadło odrzuci na drugie, tylko jeden punkt padnie na powierzchnię zwierciadła i odbije się od niéj; wszystkie pozostałe punkty padną na warstwę czarnéj nieprzenikliwéj farby i zostaną przez nią pochłonięte. Ale i to drugie zwierciadło wprawiane zostaje w ruch wahadłowy około osi przez taki sam elektromagnes, jak i pierwsze, tylko z szybszemi przerwami, to drugie zwierciadło zwolna odbije od siebie z kolei wszystkie punkty obrazu. Oś zwierciadła drugiego nie zmienia swego położenia w przestrzeni, i wszystkie punkty, na które rozkłada się obraz w drugiém zwierciadle, będą przez toż zwierciadło odbite na jeden i ten sam punkt, znajdujący się na górnéj ściance aparatu.

Na tym punkcie, przez który przechodzą zwolna wszystkie punkty obrazu, przymocowany jest kawałek selenu.

Selen, nieodróżniający się żadnemi szczególnemi zaletami pod względem chemicznym, posiada jednocześnie zadziwiającą własność fizyczną, iż zmienia swoje przewodnictwo elektryczne w zależności od siły padającego nań światła. Kiedy jest ciemny (nie oświecony), prąd prawie zupełnie nie może przezeń przechodzić; a im więcéj promieni pada na selen, tém prąd przechodzi swobodniéj.

Ponieważ selen, przeniesiony z jasnego (oświetlonego) pomieszczenia do ciemnego, nie odrazu zmienia swoje przewodnictwo, ale potrzebuje na to pewnego czasu, co byłoby szkodliwe dla dokładnéj reprodukcyi obrazu, to niedogodność tę usuwa Szczepanik za pomocą bardzo dowcipnego przyrządu. Nadaje on selenowi kształt pierścienia, wprawianego w szybki ruch za pomocą mechanizmu zegarowego. Co chwila inny punkt pierścienia selenowego atakowany jest przez punkta świetlne obrazu, i dla tego prąd idący po linii kołysze się w swojéj sile, zupełnie odpowiednio do siły światła i koloru każdego oddzielnego punktu obrazu.

Taki jest aparat odbierający. Przesyłany obraz rozłożony jest na punkty i przedstawiony przez prąd, ciągle zmieniający swoją siłę.

Zobaczmy teraz, jak pomieniony odbieralnik reprodukuje z tych kołysań elektrycznych pełny obraz.

Na górnéj jego ściance przymocowane jest jakiekolwiek źródło światła, np. lampka elektryczna, nie pozostająca w żadnéj zależności od prądu, który wychodzi ze stacyi wysyłającéj. Źródło to z dwóch stron zakryte jest dwoma ekranami, w których zrobione są dwa maleńkie otworki (po jednym w każdym). Ekraniki te wprowadzane są w szczególnego rodzaju ruch wahadłowy, którego udziela ciągle kołyszący się prąd, idący ze stacyi wysyłającéj. Wiązka promieni światła, wychodzących z pomienionego źródła, pada na szkło podwójnie wypukłe, które zbiera pojedyńcze promienie i daje w swojém ognisku punkt świecący.

W ognisku szkła podwójnie wypukłego pomieszczone jest zwierciadło, podobne do drugiego zwierciadła stacyi wysyłającéj. Składa się ono z oddzielnych punktów linii, które odbija na drugie zwierciadło, odpowiadająee pierwszemu zwierciadłu stacyi wysyłającéj. To ostatnie składa z oddzielnych linii cały obraz, który przedstawia nam na matowém szkle, znajdującém się na przedniéj ściance aparatu.

Ta reprodukcya, powstała z odzielnych punktów całego obrazu, trwa nie więcéj nad $^1/_{10}$ sekundy, a oko nie może otrzymać wrażenia zjawisk świetlnych, trwających mniéj niż $^1/_5$ do $^1/_7$ sekundy; wskutek tego jasną jest rzeczą, że nie możemy widzieć stopniowego pojawiania się pojedyńczych punktów i linii, ale cały obraz odrazu.

Taką jest teorya telektroskopów wogóle, a w szczególności telektroskopu Szczepanika, posiłkującego się jeszcze przy użyciu aparatu dwoma pryzmatami, z których jeden, na stacyi wysyłającéj, rozkłada wszystkie barwy na pojedyńcze; drugi, na stacyi odbiérającéj, odtwarza z barw pojedyńczych barwy złożone.

Jak działają te pryzmaty? tego nie wie nikt, chyba sam wynalazca, jak się dowcipnie wyraził jeden ze sprawozdawców.

Nadmieniamy przy téj sposobności, że większa część sprawozdań o tym wielkim wynalazku naszego rodaka zredagowana jest już to ciemno, niezrozumiale, już niedorzecznie tak, że niewiadomo co wybrać z téj powodzi opisów.

Według sprawozdań pism wiedeńskich, próby zastosowania telektroskopu Szczepanika do przesyłania obrazów na odległość były wykonane w Wiedniu w obecności uczonych specyalistów i w Paryżu

w obecności specyalnego komitetu wystawy powszechnéj r. 1900. Próby te dały świetne rezultaty. Jedyną wadą tego nowego wynalazku jest pewne kołysanie się obrazu na szkle matowém odbieralnika, przypominające kołysanie się obrazów kinematografu. Odległość, na jaką działa telektroskop, ma być taka, jak przy telefonach.

Można się spodziewać, że w krótkim czasie z takąż samą łatwością będziemy widziéć na znaczną odległość, z jaką obecnie możemy słyszéć i rozmawiać.

T. Skomorowski.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Dzieje narodu polskiego“, wykład popularny na podstawie ostatnich badań naukowych z przedmową *Władysława Smoleńskiego*. (Biblioteka dzieł wyborowych: N. 52, 53, 54, 58). Tom I—IV. Warszawa, 1898.

Prawdziwą usługę oddali nam kierownicy wydawnictwa „Biblioteki dzieł wyborowych”, wybiérając do popularyzowania wśród szerszych warstw ludności niniejszą pracę. Myśl to ze wszech miar chwalebna, choćby z tego względu, iż w literaturze naszéj brak właśnie tego rodzaju dziełka, przystępnego tak ze względu na cenę, jak i sposób traktowania przedmiotu; tém bardziéj, iż jest to kompendyum dziejów naszych od czasów najdawniejszych do chwili niemal obecnéj. W przedmowie pióra znanego historyka, Władysława Smoleńskiego, szanowny autor „Przewrotu umysłowego w Polsce w w. XVIII” zaznacza cel i metodę niniejszego podręcznika. „Autor odrzucił materyał anegdotyczny i pominął to wszystko, co nie ma związku z tematem wykładu naukowego”;—powiada tu p. Smoleński—„podjął zaś zadanie przedstawienia nie tylko dziejów politycznych, lecz i zmian, jakich w kolei czasu doświadczył ustrój państwowy i społeczny, t. j. tego, co pospolicie nazywają historyą stosunków wewnętrznych”. Przedstawienie wewnętrznego rozwoju narodu i państwa w popularnym podręczniku jest rzeczą nader pożądaną, gdyż właśnie ta strona dziejów była tam zwykle pomijana milczeniem, a rozwodzono się natomiast zbyt szeroko o stosunkach polityki zagranicznéj, tak, iż przy tego rodzaju traktowaniu przedmiotu historya, jak to często daje się słyszéć z ust socyologów, prze-

staje być historyą, a staje się biografią wielkich ludzi. Wprowadzenie do wykładu dziejów znamienniejszych rysów ewolucyi prawno-państwowéj jest najświetniejszą zdobyczą nauki o społeczeństwie w ostatnich dziesiątkach lat.

Nie zapomniał o tém autor „Dziejów narodu polskiego" i poświęcił stosunkom wewnętrznym względnie dużo miejsca, szczególniéj w pierwszych dwóch tomach swéj pracy. Nie bawiąc się w podział na okresy, który zawsze był kamieniem obrazy dla jednych historyków, kością niezgody dla innych, o czém możemy się dowodnie przekonać chociażby ze wstępu do „Dziejów Polski" Bobrzyńskiego, autor odrazu przystępuje do wykładu, podzieliwszy treść, zawartą w I tomie na 4 rożdziały: I—„Słowiańszczyzna"; II—„Kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego"; III—„Upadek władzy monarchicznéj" i IV—„Kształtowanie się rzeczypospolitéj szlacheckiéj". II i III z tych rożdziałów w myśl zasady, zaznaczonéj we wstępie, składają się z dwóch części: w pierwszéj z nich autor podaje krótki rys historyi politycznéj narodu w danéj epoce, w drugiéj—rzuca szkic ustroju społecznego i instytucyi społeczno-politycznych jako to: władzy królewskiéj, klasy urzędników, oddzielnych stanów i t. d. Podział ten nie jest już wytrzymany w IV rozdziale, chociaż traktuje on o stopniowym wzroście szlachty, jako przeważającego pierwiastku w życiu polityczném Polski od Władysława Łokietka do Stefana Batorego; ogranicza się autor tylko na wymienieniu w spisie rzeczy główniejszych ustaw i konstytucyi, na których ugruntowała się polityczna potęga narodu szlacheckiego, od uchwały koszyckiéj do ustanowienia trybunałów. Wprawdzie wskazane tu są stronice tomu, gdzie można znaleźć rzecz o tych znamiennych faktach z historyi naszego parlamentaryzmu, ale to nie wystarcza. Należało dzieje instytucyi przedstawicielskich postawić oddzielnie, by ułatwić tak samoukowi, jak i pedagogowi, możność łatwiejszego oryentowania się w historyi rozwoju rzeczypospolitéj szlacheckiéj XVII wieku.

W następnym tomie widzimy tę rzeczpospolitę już ukonstytuowaną. Dwa rożdziały tego tomu obejmują: V—„Organizacyą Rzeczypospolitéj szlacheckiéj" i VI—„Rządy stanów Rzeczypospolitéj". Pierwszy z nich jest wielce pożyteczny i po części wynagradza braki poprzedniego: znajdujemy tu zupełny i wszechstronny obraz stanu wewnętrznego Polski z wieku XVII—XVIII. Więc podział Rzeczypospolitéj na prowincye i województwa, więc atrybucye króla, stanu senatorskiego i sejmu, więc poczet urzędników, stan duchowieństwa, mieszczaństwa, żydów, więc wreszcie sądownictwo, wojsko i skarb. Powtarzamy, rożdział ten jest wielce pożyteczny, tak dlatego, iż w innych podręczni-

kach kwestye te zaledwie są zaznaczone i to w chaotycznéj spójni ze sprawami polityki zewnętrznéj, jak i z tego względu, iż, jak słusznie zauważył p. Smoleński w przedmowie, „tylko dokładne przestudyowanie jego da możność zrozumienia stosunków wieku XVII i XVIII".

Szkoda, iż autor w następnych tomach nie poszedł tym samym torem i stosunków wewnętrznych nie uwzględnił. Tom III np. zawiera jeden tylko rożdział: „Próby reform i upadek Rzeczypospolitéj". Jest to historya polityczna Augusta III (na 30 stronicach) Stanisława Augusta Poniatowskiego (na 160—pozostała część tomu). Widzimy więc, iż III tom stanowi monografię epoki, „prób reform i upadku" państwa, monografię wprawdzie umiejętnie bardzo napisaną, z wielkim zapasem erudycyi, ciekawą i zajmującą. ale jak na podręcznik, może zbyt obszerną i drobiazgową. Przytém dzieje wewnętrzne, wbrew metodzie, przyjętéj w poprzednim wykładzie, autor włącza w ogólny wykład panowania: jest tu przeobrażenie poglądów i umysłowości polskiéj w drugiéj połowie XVIII w., rozwój szkolnictwa, wzrost przemysłu i handlu, dane statystyczno-ekonomiczne i t. d.

IV tom „Dziejów" jest prawdziwie cennym nabytkiem w naszéj literaturze historycznéj. Oddawna czekaliśmy już na treściwy rys stulecia naszych dziejów porozbiorowych, które znaliśmy tylko częściowo, z pamiętników i monografii, odznaczających się zawsze pewném zabarwieniem partyjném. Praca więc niniejsza zapełnia poważną lukę w naszém piśmiennictwie i oddać może niepospolite usługi, tém bardziéj, że czas już przedmiotowo spojrzéć na ubiegłe stulecie naszych dziejów. „Czasy porozbiorowe" w naszém dziele malują nam stan prowincyi polskich, historyę Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego, oraz dzieje ruchów rewolucyjnych od 1830 — 1863 roku. Kończą się „Dzieje" mniéj więcéj na siódmym dziesiątku lat XIX stulecia; szkoda, że ostatnia ćwierć wieku nie mogła być uwzględnioną. Ale i bez tego tom ten, podając materyał historyczny, krytycznie sprawdzony, może wyrugować wiele mylnych sądów i mniemań co do ostatnich wypadków z naszéj historyi. Stanu wewnętrznego w tym tomie autor nie uwzględnił, zapewne z tego powodu, iż w każdéj z trzech dzielnic życie polityczne toczyło się inném korytem.

W końcu tego tomu autor podaje „Literaturę historyczną" t. j. wykaz główniejszych opracowań, tyczących się naszych dziejów, tak ogólnych, jak i specyalnych monografii, wreszcie, „indeks osobowy" i „miejscowości" w porządku alfabetycznym. Ilustrują również wykład mapy historyczne (w I tomie jest ich 5, w II, III i IV—po jednéj), oraz tablice genealogiczne. Tych ostatnich w I tomie znajdujemy 9,

w II—3, w III—również 3: „familii" Czartoryskich, Poniatowskich i Potockich, w IV wreszcie—jednę: Zamojskich. Szkoda tylko, iż mapki nie są staranniéj i wykwintniéj odrobione.

W całéj pracy znać wielką erudycyę, obejmującą najnowsze zdobycze nauki, i umiejętne z nich korzystanie, wykład żywy i jasny, przystępny i zrozumiały, co wszystko razem wzięte nadaje dziełu wartość niemałą w nauczaniu dziejów. Żałować tylko należy, iż autor nie zwrócił baczniejszéj uwagi na wymagania pedagogii względem wszelkiego rodzaju podręczników; starał się on, jak powiada p. Smoleński w przedmowie, „skonstruować całość dziejową spoistą, według pomysłów metodycznych, odpowiadających potrzebom dydaktycznym"; ale wysuwając na pierwszy plan ową, „spoistość", nie uczynił zadość wszystkim „potrzebom dydaktycznym". Podzieliwszy np. całość dziejów na wielkie działy, wyżéj wymienione, a obejmujące czasem całe tomy, nie postarał się o dalszy podział na panowania, ustępy i paragrafy. Ucierpiałaby na tem wprawdzie ciągłość wykładu, ale zyskałoby się na wartości pedagogicznéj. Wszak pamięć ucznia musi się na czémkolwiek zatrzymać, chociażby na tytule rozdziału czy paragrafu, z którym kojarzą się wyobrażenia, połączone z jego treścią; a i pedagogowi łatwiéj się oryentować w wyborze materyału, potrzebnego mu do wykładu, gdy widzi go ograniczonym w sferze jakiegoś ważnego wypadku historycznego, panowania, czy strony życia społeczno-politycznego.

Nie będziemy wyszukiwać poszczególnych błędów i usterek, zostawiając to fachowéj krytyce. Zaznaczymy tylko jedno, zaraz na pierwszéj stronicy „Dziejów", rzucające się w oczy przeoczenie. Mówi tu autor, iż język Słowian „należy do rodziny języków, powstałych z sanskrytu" (Tom I, str. 11); otóż wszystkie języki aryjskie, a między innemi i słowiański, powstały wprawdzie z jednego pnia, ale nie z sanskrytu, który jest tylko najstarszą odnogą drzewa genealogicznego języków aryjskich, ale z domniemanego języka praaryjskiego, którego formy językowe możemy wskrzesić, porównywając pomiędzy sobą wszystkie języki aryjskie, a między innemi i sanskryt. Żałować również należy, iż autor, znowu zapewne w celach „spoistości", trzymał się porządku chronologicznego i nie wysunął z ogólnego tła dziejów takich przełomowych objawów życia narodowego, jak reformacya, reakcya katolicka lub ruch polityczno-filozoficzny z drugiéj połowy XVIII w., włączając poszczególne objawy tych ruchów w ogólny ciąg dziejów, przez co nie występują one dla czytelnika z dostateczną wypukłością.

Zaznacza p. Smoleński w przedmowie, iż autor niniejszego dzieła „nie okazuje predylekcyi do pewnych kierunków historyozoficznych;

nie wyrokuje o przeszłości ze stanowiska jakiejkolwiek doktryny politycznéj, społecznéj lub religijnéj: ogranicza się na samém konstatowaniu faktów, które poczytał za niezbędne do odtworzenia procesu dziejowego, usiłował być objektywnym w przeświadczeniu, że z nauką nie godzi się kojarzyć jakichkolwiek celów ubocznych". To téż owa ścisła objektywność, cofająca się przed używaniem historyi za narzędzie do szerzenia takich lub innych przekonań lub poglądów, to wybitna cecha naszego podręcznika. Autor podaje nam materyał dziejowy w formie skończonéj, dogmatycznéj, nie wdając się w żadne polemiki, ani przycinki pod adresem stronników przeciwnego obozu historycznego czy politycznego; unika starannie wszelkiéj dydaktyki, wszelkich uwag moralizatorskich na temat ludzi dawno zmarłych, lub wypadków, które się już odrobić nie dadzą.

W téj skrupulatności dochodzi autor do tego, iż powstrzymuje się nawet z wypowiadaniem sądów i ocen co do osób historycznych i ich działalności politycznéj; zrzadka tylko daje nam krótkie charakterystyki dziejowych jednostek, i to zupełnie przedmiotowo. To samo można powiedziéć co do sposobu przedstawiania epok, prądów, kierunków i całych warstw politycznych; i tu téż autor nie wychodzi po za granice ścisłéj przedmiotowości,o ile tylko osiągnięcie takiéj przedmiotowości jest możliwém dla każdego historyka, którego „ja" czasem mimowoli może się zdradzić ze swemi upodobaniami. Jedném słowem— niéma w téj książce tego, co zarzuca nasz autor Bobrzyńskiemu, mówiąc, że „jego Dzieje Polski w zarysie dają same poglądy bez podkładu faktycznego" i dla tego, mogą być czytane bez szkody tylko przez ludzi, dobrze obeznanych z przeszłością i mających wyrobiony sąd w sprawach politycznych".

Być może, iż znajdą się tacy, co będą naszemu historykowi za grzech poczytywać tę jego przedmiotowość w traktowaniu naszéj przeszłości. My jednak przeciwnie, skłonni jesteśmy miéć mu to za zasługę. Po sielankowym idealizmie jednych, po rozpaczliwych jeremiadach nad zmarnowaną przeszłością u innych autorów, przyszła koléj na beznamiętne, krytyczne obejrzenie się po za siebie, na rozważenie ubiegłych wypadków trzeźwo, *sine ira et studio*, bez zbytniego optymizmu, ale i bez gorzkiego pesymizmu. Należy się więc autorowi wdzięczność za przedmiotowy podręcznik dziejów ojczystych, a wydawcom „Biblioteki dzieł wyborowych" za jego rozpowszechnienie.

H. Galle.

Gaudeamus! Pieśni wędrownego grajka. Z Rudolfa Baumbacha, Wiktora Scheffla i Juliusza Wolffa przełożyli Czesław Jankowski, Julian Łętowski, Wład. Nawrocki, Andrzéj Niemojewski i Włodzimierz Zagórski. Warszawa, 1899 r., in 16-o str. 107.

Zdawałoby się, że po zejściu z widowni tytanów poezyi niemieckiéj: Goethego, Schillera i Heinego zamilkła i muza germańska... tak cicho dziś o niéj między nami. Nie zamilkła, żyje wciąż, lecz oczy nasze, olśnione blaskiem wielkiéj epoki poprzedniéj, nie widziały, czy téż nie chciały widziéć, co się działo w ostatniéj dobie — przed kilku i kilkunastu laty. Poprzednia epoka znana jest naszemu ogółowi z licznych przekładów; autorów nowéj tłómaczono bardzo mało. Zresztą nasi poeci ostatnich czasów zwracali się więcéj do liryki francuskiéj oraz belgijskiéj i na jéj wzór subtylizowali—czasem aż do chorobliwości—psychiczne momenty i poruszenia.

Verlaine, Heredia, Maeterlinck i inni mają dla nich więcéj powabu, niż naprzykład Baumbach, albo jowialny Scheffel, którego lutnia przeżyła śpiewaka i wesołym brzękiem, szczerym śmiechem, żartem i humorem porywa ciężkich mieszkańców Germanii, z trudem trawiących ironię i sarkazm Heinego i licznych jego naśladowców. Natomiast o tak wybitnych pisarzach, jak Bodenstedt, Greif (Hermann Frey), Wolff, Geibel, Reiniek, i o całym zastępie innych dużych talentów wiemy bardzo niewiele. To téż z przyjemnością witamy pojawienie się w naszéj literaturze takiego zbioru, jak „*Gaudeamus*".

Pod tym tytułem wyszedł niedawno z pod prasy drukarskiéj zbiorek przekładów z Rudolfa Baumbacha [1]), Wiktora Scheffla [2]) i Juliusza Wolffa [3]). Książka ta, podzielona na pięć działów, stanowi, pomimo

---

[1]) Urodził się w Kranichfeld (S.-Meiningen) w roku 1842. Po odbyciu studyów przyrodniczych podróżował aż do roku 1870, kiedy osiadł na stałe w Tryeście. Stąd w roku 1885 przeniósł się do Meiningen. Wydał: „*Irlatorog*" (poemat); zbiorki drobnych utworów: *Lieder eines fahrenden Gesellen; Neue Lieder e. f. G. Abenteuer und Schwänke; Spielmanslieder; Mein Frühjahr; Von der Landstrasse; Wanderlieder aus den Alpen; Krug und Tinlenfass; Tühringer Lieder.*

[2]) Józef Wiktor Scheffel urodził się w Karlsruhe w roku 1826. Na uniwersytetach Heidelbergskim, Monachijskim i Berlińskim studyował prawo. W 1872 r. osiadł w Radolfszell nad jeziorem Konstancyeńskiém. Zmarł w 1886 r. w Karlsruhe. Najwybitniejsze utwory: *Trompeter von Säckingen; Frau Aventiure; Gaudeamus; Bergpsalmen; Waldeinsamkeit.*

[3]) Urodził się w r. 1834 w Quedlinburgu, Studyował w Berlinie filozofię i dyplomacyę. W 1869 r. założył pismo „*Harz-Zeitung*", poczem osiadł w Berlinie, gdzie dotychczas zajmuje się pracą literacką. Wydał: *Aus dem Felde; Singuf, Rattenfängerlieder*; poematy: *Till Eulenspiegel redivivus; Der Rattenfänger von Hameln; Der wilde Jäger; Die Pappenheimer; Tannhäuser; Lurlei; Renata*; *der Fliegende Hollender.*

różnorodnéj treści drobnych utworów, całość, związaną dewizą Marcina Lutra, przytoczoną, jako motto: „*Wer nicht liebt: Weib, Wein und Gesang*" i t. d. Otóż po prologu i paru wierszach „Z kopalnego Romansero" następują odpowiednie działy, poświęcone kobiecie, winu i pieśni, a na końcu jeszcze jeden, pod tytułem „...i znów kobiéta", mówiący nam, że jest ona alfą i omegą w życiu wędrownego grajka, który z pomiędzy kart książki ukazuje nam ciągle swoją pociągającą, junacką postać i twarz często wesołą, czasem przez łzy uśmiechniętą, a nieraz smutną i poważnie zamyśloną. Nie jest to dawny rycerz pieśni z czasów średniowiecznych, o wielkiém sercu, jak pochodnia gorejącém wielką miłością do wzniosłego ideału, do którego szedł przez ciernie i któremu był wierny przez całe życie, a nawet po śmierci — ale żywy, więcéj pokrewny naszym artystom, człowiek, na jutro niebaczny, w piersiach noszący głownię — nie serce, a na tarczy, jak mówi w prologu Baumbach, taką dewizę:

„Gorąca krew, wesoła myśl,
Co przeszło raz — z regestru kréśl".

Bez troski idzie grajek w obce strony, by zdobywać serca i szukać wrażeń. W wierszu Baumbacha, pod tytułem: „Na obczyźnie", powiada:

„Gdy w daleki pójdę kraj,
W obce grody, sioła,
To mi życie! To mi raj!"

I wędruje grajek w świat daleki, nie oglądając się po za siebie. Gdy zapylony stanie na wieczór u wrót gospody, czeka go pełny puhar, co myśl rozwesela, czeka go słodkie dziewczę, która po odejściu śpiewaka często rachunek ze drzwi fartuszkiem ściéra.

Kobiéty bohaterki pieśni i piosenek, zawartych w zbiorku, pochodzą z różnych sfer — królowa, przeorysza, albo dziewczyna z oberży, nalewająca pieśniarzowi wino do kielicha — lecz wszystkie one, o czém zresztą już wiemy z dwuwiersza Byrona:

„W rzeczach miłości największa królowa
Jest tyle warta, co i pokojowa",

mają jednakowe serce, którego utrzymać na wodzy nie umieją. Wszystkie kochają namiętnie, szczerze, lecz krótko. Niéma tu wzdychań do kochanka, przybywającego z kraju snów letniéj nocy miesięcznéj, z kwiecistych pól dziewiczéj wyobraźni — tu niéma snów, ani nerwowéj chorobliwéj tęsknoty, tutaj jest życie, płynące gorącą falą, tutaj uczucie różami na twarze wykwita, bo w sercach płynie krew żywa, a tęsknota rodzi się tylko z rozstania.

Piosenki, głoszące chwałę winu, wrą życiem, burszostwem i junactwem, lecz niéma w nich przesytu—jest tylko lekko wesoły nastrój satyra z plączącemi się nieco nogami i skrzywionym nieeo na bakier wieńcem winogradu na głowie.

Pod koniec książki gasną iskry podniecanego winem humoru, gaśnie uśmiech życia; śpiew wesoły milknie i lutnia pieśniarzy minorowo brząkać zaczyna. „Zmierzch wieczorny blisko" Baumbacha ma w sobie wiele melancholii. Wiersz „Ślę moje oczy stęsknione" Wolffa nosi znamię prawdziwéj tęsknoty, dla któréj niéma wyjścia, bo choć zna ona dróg tysiące, lecz „nie połączy dusz". Wiersz „Wysłuchaj mnie! tak smutno mi! tak ciemno!"—tegoż autora w przekładzie Nawrockiego wybucha głośną skargą i żalem, że znikł spokój z duszy śpiewaka. I nie wie on, co uczyniła z nim ta, która jest przedmiotem jego pragnień, jego tęsknoty. I wzywa tę „błogosławioną" i obiecuje wznieść ją do gwiazd „w szczęścia śnie", jeśli go tylko wysłucha. Daléj idzie pełna smutku i rezygnacyi prześliczna „Pieśń Wernera" (z poematu „Trębacz z Säckingen") Scheffla, w któréj każda zwrotka kończy się znanym w całych Niemczech refrenem:

> „Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi,
> Bóg z tobą, dziewczę, los inaczéj chciał".

Ostatnia strofa z włoskiego obrazka Scheffla, smutna, jak odblask zorzy wieczornéj po dniu pogodnym, stanowi epilog książki. Jest w nim żal za młodością i życiem, żal za niebem italskiém, ku któremu tak silnie ciążą wszyscy poeci niemieccy, zaczynając od przedstawicieli romantyzmu. W końcu opuszcza śpiewak na piersi zmęczoną głowę i, czując się bliskim progu wieczności, mówi z żalem, że „kości wędrowca niedługo już zbieleją i mchem porośnie grób nad niemi". Jest w tém naturalny smutek, w niczém nie dający się porównać do mniéj lub więcéj szczerych pesymistycznych narzekań. Tutaj powodem niezadowolenia jest pragnienie życia, tam życie bywa ciężarem, a owocem jego—przedmiot westchnień liryków—nirwana.

Etyka miałaby wiele do zarzucenia niektorym typom, odmalowanym w „pieśniach wędrownego grajka". Tak naprzykład „Przebiegły Opat" Baumbacha mógłby być pociągniętym do odpowiedzialności za to, że niektórzy mnichowie zostali „zawiani", senat, stary pedel i studenci—za pijaństwo w złotéj zgodzie; przeorysza z Wendhusen Wolffa—za naukę łaciny wraz z posłem od opata Jana z Michelstajnu. Antorowie jednak, a za nimi i niejeden czytelnik, nie czują do nich odrazy, bo w ich grzechach jest jakaś wesoła sympatyczna nuta, zawsze mówiąca o szczęściu. Tutaj się czuje, że występek wobec reguły nie jest jeszcze

śmiertelnym grzechem wobec życia. Zresztą nasi autorowie dalecy są wogóle od tendencyi moralnéj. Kochają oni życie tak *„in natura"*, jak nauczył ich kochać duch wielkiego poganina z Weimaru, i malują go takiém, jakiém jest, jakiém byćby mogło, lecz nie takiém, jakiém być powinno. Z życia czerpią materyał dla poezyi, potęgując wyraz charakteru i piękna—stosownie do zadań sztuki. To też przebiegłemu opatowi wybaczają winę za pomysł, jakim wywiódł w pole celnika, przeoryszy za „ciemne oko, ciemną brew", za wzrok, co, nakształt noża, serce przeszywał, darują naukę łaciny, jak niegdyś w kraju muz i laurów darowano pięknéj Fryne z Eleusis gorsze jeszcze winy — za piękność.

Przeważna część piosenek w *„Gaudeamus"* należy do Baumbacha. Cechują go: optymizm, zdrowie, prostota, połączona z wielkim artyzmem, lekki humor i świeżość, którą Hammerling porównywa do młodéj zieleni rozwiniętych świeżo pączków na drzewie.

Zostało nam jeszcze dorzucić kilka słów o przekładach. Oprócz niektórych utworów, przełożonych przez Łętowskiego dość szorstko i niezgrabnie, reszta jest bardzo dobra. Najpiękniejszemi są przekłady Czesława Jankowskiego i Nawrockiego. Cechą pierwszego — klasyczna czystość wiersza, drugi ma w swoich strofach nadzwyczajny wdzięk i muzykę, przy bardzo prostym doborze słów, co jednak pozwala mu prawie dosłownie trzymać się formy i treści oryginału. Niemojewski dał do zbiorku tylko krótką lecz po mistrzowsku przełożoną „Hulankę" z Baumbacha. *K. Gr.*

Michał Bałucki: „Zamki na lodzie". (Powieść z naszych czasów. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, 1898, str. 327).

Szaro przedstawia się świat w powieściach Bałuckiego, pisanych na tle społecznem. Arystokracya — spróchniała, szlachta ulegająca rozkładowi, a lud, ten lud ukochany—pozbawiony odrobiny jakichkolwiek uczuć i miłości, którego myśli obracają się około jednego tylko słowa: pieniądz. Nawet pobożność tego ludu—mówi autor, jest handlem zamiennym ze Stwórcą...

W dawniejszych utworach swoich ośmieszał Bałucki drobne mieszczaństwo; lecz był to śmiech pobłażliwy, choć bynajmniéj nie subtelny, gdyż humor autora, polegając przeważnie na konceptach, jest rubaszny. Inne powieści były gryzącą arystokracyę satyrą. Dziś zstępuje autor do niższych warstw, wykazując ich strony ujemne.

Pomijając ten „zgrzyt żelaza po szkle" na niekorzyść ludu (str. 70), zgrzyt pełen niechęci, p rzesadny i niezrozumiały,—a bezpośrednio ważnéj roli w powieści nie odgrywający,—wypada mi zapoznać czytelnika z treścią omawianego utworu.

Rzecz dzieje się—jak zwykle u Bałuckiego—w Krakowie i jego okolicy. Szlachecka rodzina Kalińskich, z czworga osób złożona, „budując zamki na lodzie", oddaje się różowym złudzeniom na przyszłość, a tymczasowy ciężar istnienia zwala na głowę rodziny, który w określeniu autora (niedobierającego zresztą porównań) zwie się „wołem roboczym". Jego obowiązkiem jest zaspakajać liczne potrzeby żony, córki i syna.

Syn, słuchacz praw, kszałci się łata całe, lecz o zarobku z jego strony mowy być nie może. Nadzieja jego—w bogatém zamążpójściu siostry, zupełnie przekonanéj o takiém zakończeniu swego panieństwa. Matka ma jeszcze nadzieję wygrania na loteryi, lub — świetnéj partyi, jaką jéj syn winien zrobić...

Przypadek zdarzył—do domu Kalińskich zawitał młody i bogaty hrabia, a oczarowany pięknością Ireny, ponawia odwiedziny. Panna mu sprzyja, pozwala zbyt łatwo na uściski i pocałunki, których matka jej stara się nie spostrzegać, czekając z bijącém sercem chwili oświadczyn ze strony hrabiego, będąc ich pewna, również jak Irena i jéj brat, Karol. Nawet stary Kaliński daje się przekonać, że hrabia stanowczo poślubi jego córkę.

Jeden tylko czytelnik — uprzedzony tytułem powieści — nie ma złudzeń. Hrabia spostrzegłszy, że Kalińscy liczą na małżeństwo, opuszcza ich dom gościnny na zawsze, bez słowa pożegnania.

Takie zakończenie dał autor tym pierwszym zamkom na lodzie (będzie ich jeszcze kilka) rozmyślanie, aż nadto niechętny swym bohaterom.

Głucha cisza zapanowała we dworze Kalińskich. Wśród niéj występuje na widownię działań — Karol. Pełen dobrych myśli, podejmuje wyprawę po złote runo, lecz zgrawszy się w Monaco, powraca do wsi w nędzy. Nie chcąc martwić rodziców swym opłakanym widokiem, by zaspokoić pierwsze potrzeby, pożycza od karczmarza pieniędzy na sfałszowany weksel, który w niedalekiéj przyszłości przyprawi o śmierć starego Kalińskiego.

Pani Kalińska, zawiódłszy się na losach loteryjnych, (których miała pełną torebkę) wszelkiemi środkami za pobiega ruinie, lecz daremnie: z chwilą śmierci jéj męża nadszedł i upadek.

Wieś kupił żyd, niegdyś pachciarz Kalińskich.

Po têm bankructwie, matka z córką—syn w łeb sobie palnął—zjeżdżają do Krakowa, by tu ratować się za okruchy dawnego mienia... Irena jeszcze piękna—może wyjść za mąż, a matka — ona poprzestanie na małem...

W rzeczywistości Irena na zebraniach u ciotki swéj, hrabiny, podobała się ogólnie, zwróciwszy na siebie uwagę mężczyzn. Pewien niemłody baron oświadczył się o jéj rękę, lecz i tu los nienawistny nasuwa przeszkodę w nagłym obłędzie narzeczonego. Zepsuta Irena nie daję za wygranę: poślubi choćby szaleńca dla jego pieniędzy!... Ale przeszkodziła temu rodzina barona...

Runął i ten zamek złudzeń, jak runie jeszcze niejeden—drobniejszy, aż w końcu Irena, uboga i odarta z pięknych kształtów i rysów, osamotniona przez śmierć matki, żyć zacznie — z miłosierdzia drugich.

Biedna ona: los nie oszczędził jéj ani spotkania z hrabią, na którego niegdyś tak bardzo liczyła, los nasunął jéj na oczy i młodego lekarza, który „żywił do niéj bałwochwalczą cześć prawie", a którego odrzuciła, gdyż był synem chłopa... Słowem, ze wszystkich kątów los-prześladowca zdaje się wołać: zemsta ci!...

Tak straszny koniec zgotował autor bohaterom swéj powieści, wykazując ich zepsucie moralne, ich nizkie instynkty, mające źródło w próżniactwie i chęci używania.

Pomimo ich wady, niechęć osobista autora i przesada zbyt łatwo dają się zauważyć i zauważyć; po ich usunięciu tło się rozjaśni, a ludzie przestaną rzucać tak przerażające cienie na swą biedną ziemię... Bo gdyby postaci powieści były uogólnieniem—ujrzelibyśmy przed sobą pustkę i zagładę, gdyż tam, gdzie szczeble spróchniałe, drabina nie runie z trzaskiem, ale stoczy się wolno, bezsilna W drabinie społecznéj przez Bałuckiego kreślonéj tylko drobne filisterskie mieszczaństwo jest szczeblem zdrowym; lecz nie mając warunków i mocy do poprawy lub podtrzymania innych klas — samo na nędzny i krótki żywot byłoby skazane...

Na szczęście — są to pesymizmu pełne „zamki na lodzie"...

Jest bezwątpienia wiele błota w każdém społeczeństwie, lecz wśród każdego i we wszystkich warstwach znajdzie się ogrom siły, zdrowia i cnót obywatelskich, któremi społeczeństwa stoją. I jeżeli zmienią się warunki bytu inteligencyi, wzmocnią się nerwy klas pracujących umysłowo; zdrowaoświata zmusi szare tłumy do podnioślejszego życia, u ludu przestanie być „komedyą"—jak się wyraża Bałucki.

Powyższą uwagę nasunie myśl każdemu czytelnikowi „Zamków na lodzie", które są niezaprzeczenie lekturą zajmującą—choć w szcze-

gółach nie nową — gdyż autor umiejętnie potrafi rozwinąć nić intrygi przy nadzwyczajnéj łatwości opowiadania.

Te zalety mają dość groźnych przeciwników w zaniedbaniu stylu i języka, na które autor zdaje się żadnéj nie zwracać uwagi, zapomina-nając, że utwory jego przy lepszém opracowaniu zyskałyby znacznie na wartości.

Takich uchybień jak: „...nie marudźcie po próżnicy, tylko marsz do piwnicy“ (str. 34) — „I nawet nie pożegnał się z nami — odezwała się Irena głosem przesiąkłym łzami“ (str. 83) — „Koń z nogami *obluzowanemi w zawiasach*“ — (str. 11) — „Był wygłodzony, *zmachany*“ (str. 17) — łatwo byłoby uniknąć autorowi utalentowanemu i nie od dziś dzierżącemu pióro.

L. Rutkowski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W szkołach zaczęły się lekcye. We wszystkich domach, w których spotkać się można z uczniem lub uczennicą, kwestye pedagogiczne były przez kilka tygodni na porządku dziennym. Powtarza się to co roku o téj porze. Warszawa zamienia się w jakieś wielkie kolegium, rozprawiające o nauce szkolnéj i domowéj, o systemie gimnazyalnym i realnym, o przeciążeniu i ćwiczeniach fizycznych. Przysłuchując się zdaleka, rzecby można, że jesteśmy plemieniem pedagogów, że nigdzie na kuli ziemskiéj społeczeństwo nie otacza młodego pokolenia taką pieczołowitością, że znajomość dydaktyki i pedagogiki nigdzie nie jest tak rozpowszechniona, jak u nas. Czy jest to może tylko pieczołowitość udana? O nie, społeczeństwo nasze myśli o swéj dziatwie więcéj niż o czém inném. W budżecie rodziny wychowanie dziecka wynosi w Warszawie bez porównania więcéj, niż w Berlinie, Paryżu lub Kopenhadze. W literaturze polskiéj pedagogia roztacza coraz szersze kręgi. Nie można nam zarzucić, że nie zajmujemy się młodém pokoleniem. Inna rzecz, czy w tém zajęciu się jego losami jest dosyć konsekwencyi, wytrwałości, panowania nad sobą i godzenia praktyki z teoryą. Smutnoby było, gdyby to wszystko, co się drukuje, a czego przecież część jakaś się czyta, pozostało frazesem, niezamienionym w czyn, nieskrystalizowanym w objaw realnego życia, nieodźwierciadlającym się ani w umyśle, ani w duszy młodego pokolenia....

Pozostaje atoli współczynnik drugi, nie mający równych praw i przywilejów, nie rozporządzający równym arsenałem środków, ale natomiast mający przewagę, jaką nadaje mu to, iż rozpoczyna wywierać wpływ na umysły wówczas, gdy jeszcze dziecko nie przekroczyło progu szkolnego, a działa jeszcze i wtedy, gdy już wpływ szkoły ustaje. Współczynnikiem tym jest dom i opieka domowa. Szkoła nie sieje ziarna na roli nieprzygotowanéj. Pierwszą skibę wyorało już otoczenie rodzinne, a choć wpływ tego otoczenia może chwilowo słabnąć, ma on niewyczerpane źródło w téj nieprzerwanéj ciągłości, która starczy za wiele.

Jakże więc społeczeństwo używa tego czynnika, którym rozporządzać może swobodnie? Chęci ma niewątpliwie dobre. Informuje się, gdzie może, bada, pyta, zagłębia się w teorye. Czy atoli postępki dorównywają tym chęciom? Czy ci, których widzimy dziś w mundurkach, będą mogli kiedyś powiedzieć, że w domu uzbrojono ich w to wszystko, czego zapotrzebowali późniéj w walce z życiém? Czy ościenni, patrząc na nich, będą im zazdrościli zasobów, wyniesionych z domu? Czy wobec rezultatów, któremi dom się dziś poszczycić może, cały ten czas poświęcony kwestyom wychowawczym, nie jest stracony?

Stracony nie jest, bo chcąc coś zdziałać dla istot bliskich i drogich, trzeba zastanawiać się nad tém przez niejedną godzinę; mógłby jednak może być zużytkowany lepiéj.

W całéj Europie szerzy się żałosny a usprawiedliwony niestety głos o przeciążeniu uczniów w szkołach publicznych. Skarżą się na to rodzice naszéj dziatwy szkolnéj, skarżymy się wszyscy. Zdawałoby się, że wobec tego dom rodzicielski unika skwapliwie wszystkiego, coby obarczonemu umysłowi dziecka narzucało nowe ciężary, zdawałoby się, że rodzice, wiedząc, iż malec będzie musiał niebawem podołać wątłem, siłami ciężkiemu zadaniu, zechcą mu oszczędzić wszelkiego zbytecznego trudu, zdawaćby się mogło, że nie narzucą mu nic, coby te siły przedwcześnie nadwérężyło i stargało. Czy rzeczywistość odpowiada tym oczekiwaniom? Czy uczeń, czując brzemię obowiązków szkolnych, nie ugina się równocześnie pod systemem wychowania domowego? Chcielibyśmy na oba te pytania odpowiedzieć przecząco, a nie możemy tego uczynić. Przeciążanie małéj, drobnéj, niemal z pieluch wydobytéj dziatwy jest u nas zjawiskiem codziennem. Roztkliwiamy się na myśl o pracy, jaka spadnie na dziesięcioletniego chłopca w szkole, ale zamiast przysposobić go do podołania jéj przez zaoszczędzenie jego zdolności, każemy mu targać kiełkujące siły umysłowe w przedwczesném uczeniu się liter, w popisach przed krewnemi i gośćmi. Obok przeciążenia szkolnego wytwarzamy przeciążenie domowe. Oddajemy szkole chłopca znużonego i po niewczasie żałujemy własnéj nierozwagi.

Ale zmęczenie nauką szkolną staje się podwójnie dotkliwe dla młodocianego organizmu, gdy organizm ten nie rozwija się należycie pod względem fizycznym, gdy nie hartuje się stale, gdy nie nabywa wytrzymałości na wszelkie wpływy zewnętrzne. Kto miał sposobność słuchać ulubionych naszych narzekań na ten temat, a równocześnie przypatruje się naszym rautom, balom, wintom i kolacyjkom, ten wyobraża sobie zapewne, że społeczeństwo, umiejące tak wymownie opisywać grozę zwyrodnienia fizycznego, a pozwalające sobie jeszcze na niejedną rozrywkę, postarało się przecież o to, ażeby ta młodzież o któréj losie tyle rozprawia, nabiérała dzielności cielesnéj. Mniemać by można, że rodzina ubolewająca nad nierównomiernością między wychowaniem umysłowém a cielesném, robi ze swéj strony wszystko, by tę nierównomierność wyrównać; mniemaćby można, że Warszawa posiada niezrównane sale gimnastyczne, że ma urządzone wybornie place zabaw, że młody Polak jest znakomitym, jeźdźcem, gimnastykiem, pływakiem, że jak niegdyś Soplica „na koniu śmiało jeździ, pieszo dzielnie chodzi", że godziny wolne od nauk spędza tak, żeby ćwiczenia cielesne zabijały w nim odziedziczone zarodki chorób, a przyspasabiały organizm do niepoddawania się otaczającym go zarazkom. Tak rozumować mógłby cudzoziemiec, sądząc, nas podług rozmów, którym przysłuchiwał się w salonach. Tak sądzić mógłby każdy, kto czyta w naszych pismach narzekania na upadek sił fizycznych i wzdychania do czasów, w których mięśnie polskie słynęły z wytrzymałości i siły. Krótki pobyt między nami wyleczyłby naiwnego cudzoziemca z jego złudzeń.

Wiek nasz pochlubić może się tém, co ludy cywilizowane robią dla wybawienia młodych pokoleń z przepaści, w jaką je spycha to wszystko, co zdrowiu i rozwojowi fizycznemu stoi na zawadzie. Do walki ze straszną klęską skarłowacenia pierwsi stanęli Anglicy. Odparli ją oni zwycięsko i stworzyli typ człowieka nowożytnego o grubych kościach i sprężystych muskułach, umiejącego dziś dosiąść konia, a jutro wyprosić Francuzów z Faszody, nielękającego się ani bałwanów morskich, ani lodowców alpejskich, ani niezliczonych tłumów Mahometan i Hindusów w Indyach. Za Anglikami poszli Francuzi i Niemcy. Niema w Niemczech miasteczka, posiadającego zakład naukowy, w korémby za staraniem obywateli nie powstał plac lub ogród publiczny, zaopatrzony za przykładem Anglików w przyrządy potrzebne do igrzysk i zapasów młodzieży. A u nas? Porównajmy to, co się przegrywa w totalizatora lub winta, z tém, co się łoży na walkę z charłactwem. Inni pracują nad odradzaniem pokoleń: my rozprawiamy tymczasem o zwyrodnieniu.

Gdyby przynajmniéj nie było gorzéj. Rzućmy okiem do koła a przekonamy się, że zamiast zachęcać młodzież do próbowania sił,

sami powstrzymujemy ją od tego. Opanowała nas jakaś parafiańska obawa nowości, jakaś dorobkiewiczowska żądza fałszywéj dystynkcyi, wyobrażamy sobie, że chuchając na chłopca i wychowując go na zniewieściałego niedołęgę, dajemy tém dowód wykwintnego smaku i wielkiéj dbałości pedagogicznéj. „Nie biegaj, bo upadniesz; nie dźwigaj— bo się zmęczysz; nie wyłaź, bo się rozbijesz; nie mocuj się, bo oberwiesz guza",—oto nieprzerwany szereg zasad zbawiennych, wpajanych w duszę przyszłych filarów społeczeństwa. Co dzień mówimy, że jest źle i codzień staramy się, żeby jutro było jeszcze gorzéj. Śmiejemy się z głupoty Anglików i Niemców, narażających się na kalectwo lub śmierć w niebezpiecznych wyprawach na szczyty alpejskie, a zapominamy, że ta ich lekkomyślność jest tylko przesadnym wyskokiem téj krewkości męskiéj, która wiodła nas niegdyś w knieje dla borykania się z dzikim zwierzem, a która, gdy ją żądza wiedzy ujarzmi, wiedzie podróżnika ku lodom podbiegunowym i pozwala mu szydzić z samotności, nocy, wichrów i widma śmierci głodowéj. Zapominamy także o tém, że z tylu setek Polaków, przejeżdżających przez Szwajcaryę, nieraz przez rok cały żadnego z nich, w najdosłowniejszém znaczeniu— żadnego, nie zbierze ochota wysiąść z wygodnego wagonu i zobaczyć, jak te doliny i przepaści wyglądają z nad krawędzi urwiska, gdzie tylko własna zręczność i siła chronią nas od zguby. Należemy do grupy społeczeństw, najbardziéj fizycznie zgnuśniałych, choć o potrzebie ratowania się umiemy rozprawiać nie gorzéj od narodów, kroczących na czele współczesnego ruchu ku odrodzeniu.

A cóż robi dom dla kształcenia charakteru, dla wyrabiania woli, wytrwałości i uczuć obywatelskich w przyszłych obywatelach kraju?

I tu narzekań nie brak. Narzekaniem, podejrzeniami drażnimy młodych, a często wprawiamy ich w stan gorączkowy, czyż jednak obok tego widzimy tę ciągłą, stateczną, do świadomego celu zmierzającą działalność, którąby świadczyła o tém, że społeczeństwo zdaje sobie sprawę z ostatecznych rezultatów wychowania, że wié, jakim być ma przyszły pracownik na téj wspólnéj niwie, i że do tego ostatecznego wyniku każdy dom dąży równolegle w miarę możności?

Cóż moglibyśmy jeszcze robić dla synów naszych, prócz tego, co robimy dzisiaj? Jeżeli żyjemy w biedzie, posyłamy ich w świat z radą, by przebijali się przez życie, a jeżeli środki nam pozwalają, skupujemy im naprzód drogie zabawki, potém drogie książki z obrazkami, przyjmujemy do nich po kolei Niemkę, Francuzkę, Angielkę, każemy ich uczyć tańczyć, prowadzimy na balet i do cyrku, jedném słowem robimy to wszystko, co robią znajomi z naprzeciwka.

Zapewne. Szkoda jednak, że nie można ułożyć statystyki tych

domów, które powiedziały sobie, że czasem trzeba się zdobyć na ofiarę większą. A przecież prosty rozsądek powiada nam, że między atmosferą domową, a młodziutką duszą, ktora w tej atmosferze wyrasta, jest związek nierozerwalny, a przecież na pierwszy rzut oka jest widoczném, że z tego kłębka, w którym się wylęgła, snuć ona będzie nitkę przez całe życie, snuć ją będzie nawet wówczas, gdy sama straci świadomość téj łączności. W ognisku domowém w którém panuje próżność, żądza używania, chęć dorównania możniejszym,—nie wyrasta pokolenie, umiejące odmawiać sobie rozkoszy, umiejące poprzestawać na małém. Chcielibyśmy wiedziéć ile rodzin w Warszawie powiedziało sobie, iż dom, który jest szkołą i szkołą być musi, powinien zarazem pozbywać się zwolna wszystkiego, co sprawia nam przyjemność, co nęci i bawi, ale z pedagogią pogodzić się nie da; chcielibyśmy wiedziéć, w ilu domach powiedziano sobie, iż przez wzgląd na młodzież trzeba zmniejszyć liczbę wieczorów karcianych, trzeba zaniechać plotek i obmowy, trzeba być oględnym w dobieraniu towarzystwa, trzeba dać przykład uszanowania pracy nawet pod wytartą suknią, trzeba z pogodnym umysłem wyrzec się czasem jakiegoś wyrafinowanego bawidełka.

Narzekamy bardziéj, niż którykolwiek inny naród na butę, arogancyę, pyszałkowatość tych, których nic uleczyć nie zdołało, ale sami nie przyczynimy się do wyplenienia tych wad, skoro tłomaczymy co dzień chłopcu, gdy idzie do szkły, by przy zawieraniu stosunków koleżeństwa zważał na różnice społeczne. Irytujemy się na Podfilipskich a sami wychowujemy drugie, czy dziesiąte ich pokolenie, oswajając młode ucho z nieustanną powodzią oskarżeń, potwarzy, zmyślonych zarzutów i potwornych baśni, którą z niezrównaném zamiłowaniem wylewamy na własne społeczeństwo; zaciskamy pięść, gdy nam się przywidzi, że ktoś niema dostatecznego uznania dla naszéj uczciwéj pracy, ale pielęgnujemy sami instynkta dorobkiewiczostwa i próżności, wszczepiając teoryę, że praca o tyle jest godna szacunku, o ile jest złączona z intratną posadą.

Dom taki, jaki na szczęście bywa jeszcze, choć rzadko, w naszém społeczeństwie—to instytucya potężna i wspaniała. Od samego społeczeństwa zależy, żeby był nie wyjątkiem, lecz regułą.

Tadeusz Śmarzewski.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Октября 1898 года.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum".

1 **Krótka etymologia języka polskiego.** Ułożył *Wł. Kokowski.* Łódź, nakł. L. Fiszera, 1898, 8-o, str. 87.

2. *Stanisław Bełza.* **Nad brzegami Bosny i Narenty.** Warsz. Gebethner i Wolff, 1899, 8-o, str. 307 z rysunk.

3. **Zarysy prawa pierwotnego** przez *Jana Witorta.* Warsz. nakł. Redakcyi „Głosu", 1899, 8-o, str. 177.

4. **Uprawa kartofli** według najnowszych źródeł. Opracował *Antoni Strzelecki.* Warsz. nakł. księg. Jana Fiszera, 1899; str. 86 i II.

5. **Listy i akta.** Piotra Myszkowskiego generalnego starosty ziem ruskich króla Jana Olbrachta, zebrane przez ś. p. *Adolfa Pawińskiego* wydał *Anatol Lewicki.* Krak. nakł. Akademii Umiej. 1898, str. 89.

6. *Platon.* **Obrona Sokratesa.** Przełożył z greckiego *Adam Maszewski.* (Wydanie z zapomogi Kasy im. d-ra J. Mianowskiego). Warsz. skł. gł. w księg. E. Wendego, 1899, str. 68 (cena kop. 30).

7. *Stanisław Piotrowski.* **Niemcy o Niemcach.** Warsz. nakł. księg. E. Wendego, 1899, 8-o, str. 63.

8. *Generał-lejt. Puzyrewski.* **Szarża jazdy pod Somo-Sierra** w Hiszpanii. Warsz. nakł. Konst. Treptego, 1899, str. 48 z rysunkami i planami.

9. *Tadeusz Korzon.* **Dola i niedola Jana Sobieskiego,** 1629 — 1674. Kraków, nakł. Akademii Umiej. 1898, trzy tomy, 8-o, str. 542+546+542 z mapą i tabl. genealog.

10. **Herold Polski** za rok 1898, zeszyt pierwszy. Redaktor Dr. *Fr. Piekosiński,* str. VI+kart. nlb. 9+ str. 32 + str. LXIV+32+52 z rysunkami.

11. **Pamiętnik** Zofii Kowalewskiéj. Przekład *J. Szczawińskiéj.* Warsz. nakł. księg. G. Centnerszwera 1899, 8-o, str. 321.

12. *Dr. Piotr Chmielowski.* **Estetyka Mickiewicza.** Lwów, nakł. księg. H. Altenberga, 1898, 8-o, str. 218.

13. *Wacław Gąsiorowski.* **Pamiętniki Nowonarodzonego.** Studyum fantastyczne z ilustracyami Bronisława Wiśniewskiego. Warsz. druk J. Cotty, 1899, str. 170.

14. *Fryderyk Spielhagen.* **Faustulus.** Powieść. Przełożyła *Malwina Blumberg.* Warsz. nakł. G. Centnerszwtra, 1899, 8-o, str. 303.

15. *Stańko.* **W złocie,** Powieść. Warsz. nakł. księg. Dubowskiego, 1899, 8-o, str. 307.

16. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, zeszyt 20 (ostatni).

17. **De doctrinis ad animarum praeexistenciam** spectantibus quatenus in Judaeorum et Christianorum theologiam vim quandam exercuerint, quaestiones, Auctore *Felice Laudowicz.* Lipsk, Gust. Fock, 1898, 8-o, str. 73.

18. *Zygmunt Gargas.* **Reforma drogowa** w Galicyi. Kraków, 1898, nakł. autora, str. 13.

19. *Tenże.* **Prawo do drogi z konieczności.** Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 8-o, str. 19.

20. *Martial Blanc.* **Król kości słoniowéj.** Przygody myśliwskie w kraju Zulusów i Hotentotów. Warsz. nakł. księg. Dubowskiego, 1899, 8-o, str. 147 z ilustracyami.

21. **Sfinks lodowy** przez *Juliusza Verne'a,* przekład *M. D.* Warsz. nakł. drukarni J. Sikorskiego, skład gł. w księg. A. Rzążewskiéj, 1898, 8-o, str. 319 z rycinami.

22. *M. Orżelskij.* **Polskij wopros.** Kijew, 1898, skład w drukarni Piotra Barskiego, 8-o str. 49 (cena 60 kop.).

23. *Kazimierz Gliński.* **Losy.** Powieść współczesna. Warsz. nakł. księg. Jana Fiszera, 1899, 8-o, str. 360.

24. **Boska Komedya** Dantego (Piekło). Przekład *Edwarda Porębowicza.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1899, w 16-ce.

25. **Katalog portretów** polskich, rosyjskich i zagranicznych oraz dzieł ilustrowanych księgarni antykwarskiéj B. Bolcewicza. № 1. Warsz. 1898, 8-o, str. 86 (cena 30 kop.).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.